



Millie Criswell



***Lekarstwo na
kłopoty***

Tytuł oryginału: Asking for Trouble



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ivy Swindel miała bzika na punkcie pornosów.

Podczas gdy większość siedemdziesięcioośmioletnich pań z oddaniem pielęgnowała swoje perskie koty lub popijała herbatę z porcelanowych filiżanek, cioteczna babka Beth Randall spędzała długie godziny przed komputerem, oglądając filmy pornograficzne. Jeśli weźmie się pod uwagę, że ojciec Ivy był duchownym Kościoła metodystów, a starsza pani wszem i wobec powtarzała, że seks to tylko wymiana płynów ustrojowych, jej zachowanie można uznać za dziwaczne, by nie rzec - nienormalne.

Cóż, nikt nie odważyłby się oskarżyć ani Ivy, ani jej młodszej siostry Iris o to, że są normalne.

Zresztą Beth uważała, że tak zwana normalność jest stanowczo przeceniana.

- Znalazłam dziś rano interesującą stronę internetową - oznajmiła Ivy przy śniadaniu. Miała przy tym minę psotnego dziecka.
- Nazywa się „Stalowe Jaja”. Bardzo oryginalne, prawda? No i te zdjęcia!

Beth uśmiechnęła się zdawkowo, bo dopiero po dłuższej chwili dotarło do niej, że nie chodzi o stronę poświęconą hodowli niosek. Jednak była zbyt skoncentrowana na Iris, by przejmować się wybrykami Ivy. Z ulgą zauważyła, że jej druga cioteczna babka jest dzisiaj wyjątkowo cicha. W mieście i tak już nazywano Iris

czarownicą, a jej fascynacja czarami przekraczała granice zdrowego rozsądku. W sumie nie wiadomo, co gorsze: magia czy pornosy.

Ivy nigdy nie zdradziła, dlaczego z takim upodobaniem ogląda męskie genitalia, jednak Beth podejrzewała, że jest to swoista próba powrotu do młodości. Starsza pani już jako dziecko przysparzała swej rodzinie wiele kłopotów. Została starą panną i często powtarzała, że nie brakuje jej męskiego towarzystwa. Podobno zakosztowała tego i owego, jak lubiła się chwalić, lecz jeszcze nie poznała nikogo godnego jej ręki.

Niestety pewnego feralnego dnia Beth podarowała jej swój stary komputer, a Ivy odkryła internet. Z fascynacją, która przerodziła się w obsesję, zaczęła odwiedzać strony z pornografią. Nie pomagały prośby ani groźby Beth. Ivy jej nie usłuchała. Dobrze chociaż, że okazywała zainteresowanie jedynie nagimi mężczyznami.

Beth postawiła talerz gorących bułeczek, przed chwilą wyjętych z piekarnika, na małym okrągłym, mahoniowym stoliku. Znajdowała się w apartamencie ciotek mieszczącym się na trzecim piętrze. Popijając gorącą herbatę, po raz kolejny podziękowała Bogu, że te dwie cudowne starsze panie zagościły w jej życiu.

„Pensjonat u Sióstr” był kiedyś rodzinnym domem sióstr Swindel. To Iris i Ivy namówiły Beth, by zmieniła zabytkową wiktoriańską rezydencję w pensjonat. Twierdziły, że również inni powinni się cieszyć pięknem tego miejsca. Beth postąpiła zgodnie z ich radą, a ciotki z radością wczuły się w rolę rezydentek.

Jak było w zwyczaju, zaznajamiała ciotki z programem dnia:

- Dzisiaj przyjeżdżają państwo Rogersowie z Ohio. On jest dentystą. Będą u nas świętować dwudziestopięciolecie ślubu.

- Cudownie. Jak długo się u nas zatrzymają? - spytała Iris, nie kryjąc entuzjazmu. Była intrygującym zlepkiem różnych osobowości. Czasami zachowywała się jak dobrotliwa niania z bajek, a innym razem jak złośliwa jędza. Potrafiła zachowywać się jak prawdziwa inna, innym razem wykazywała się całkowitym brakiem taktu.

- Dwa dni, może trzy. - Miała nadzieję, że zostaną trochę dłużej, bo na gwałt potrzebowała pieniędzy.

- Czy ten mężczyzna jest dobrze wyposażony? - chciała wiedzieć Ivy. Pochyliła się nieco i wlepiła w Beth tak badawcze spojrzenie, że ta z trudem powstrzymała się od śmiechu. - Ci moi mężczyźni, których oglądałam w internecie, naprawdę mieli się czym pochwalić. Może udałoby się ściągnąć do naszego pensjonatu zespół chippendale? Och, byłoby cudownie! Na wszelki wypadek już zaczęłam zbierać banknoty jednodolarowe.

- Jak ci nie wstyd - syknęła Iris. - Dzieci mają bardzo bujną wyobraźnię. Tyle razy ci to mówiłam, a jesteś niepoprawna. Chcesz zdemoralizować Beth?

Trzydziestoczteroletnia Beth nigdy nie powiedziałaaby o sobie, że ma bujną wyobraźnię. Nie zwykła marzyć. Na ogół jej głowę zaprzętały kłopoty i liczne wątpliwości oraz brak wiary w siebie. To ostatnie zawdzięczała między innymi byłemu mężowi.

Greg Randall nieustannie ją krytykował i nigdy nie przebierał w słowach. Jeszcze do dziś prześladowały ją jego opinie: „Boże, ależ ty

jesteś głupia!". „Co mnie podkusiło, żeby się z tobą ożenić?". „Jeśli będę ciekaw twego zdania, to sam cię zapytam".

- Nie znam państwa Rogersów - wyjaśniła Beth. W duchu dodała, że wcale nie jest ciekawa męskich atrybutów pana Rogersa. - Przyjeżdżają do nas pierwszy raz. - I zapewne ostatni, pomyślała, jeśli Ivy nie zaprzestanie swoich gadek. Wciąż trudno jej było uwierzyć, że ta słodka i kochana ciotka, która czytała jej bajki na dobranoc, teraz z zapalem rozprawia o męskich walorach. - Pod koniec tygodnia przyjeżdżają do nas nowożeńcy, Joan i Charles Murray z Wirginii. Kiedy rozmawiałam z nimi przez telefon, wydali mi się bardzo sympatyczni.

- Świetnie! Na pewno wniosą tu trochę życia. Umieść ich w pokoju z tą wielką szafą, to będziemy mogli...

- Ivy Swindel! - krzyknęła Iris ostrzegawczo. - Na litość boską, już wystarczy. Co powiedziałby papa, gdyby cię usłyszał! Na pewno przewraca się w grobie.

- Tak myślisz? - spytała z nadzieją starsza z sióstr.

Beth pociągnęła kilka razy nosem, a potem zmarszczyła go z niesmakiem.

- Co tu tak okropnie śmierdzi? - Saszetki o zapachu cytrynowym, których dotychczas używały ciotki, gdzieś znikły i zostały zastąpione podejrzaną substancją o dziwnej woni, nieco zbliżonej do marihuany. Beth nie była ekspertem w tej dziedzinie, ale Greg od czasu do czasu popalał trawkę.

- To takie ziółka, kochanie - powiedziała Iris. - Próbuję nowych zaklęć, a ten zapach pozwala mi się skupić i wprawia w odpowiedni nastrój.

- Iris próbuje wskrzeszać zmarłych i rozmawiać z duchami - rzuciła kpiąco Ivy. Kiedy się uśmiechnęła, liczne zmarszczki na jej twarzy jeszcze się pogłębiły. - Powiedziałam jej, że powinna zacząć od Phinneasa Pickensa. Ktoś powinien wprowadzić tego starego osła na orbitę. Wpadłam na niego ostatnio, kiedy byłam w banku. Udawał, że mnie nie poznaje, a przecież przez osiem lat uczyłam go angielskiego. Pewnie ma sklerozę. Po prostu zachowuje się jak żywy trup.

Iris próbuje wskrzeszać umarłych? Na litość boską, po co? W tej sytuacji trudno powiedzieć, która z ciotek jest bardziej postrzelona.

- Może rzeczywiście pan Pickens ma krótką pamięć - powiedziała uspokajającym tonem Beth, zerkając przy tym na zegar. Nie sądziła, by ciotki zadowolily się tym wyjaśnieniem, bo wszyscy w miasteczku wiedzieli, że pan Pickens ma umysł ostry jak brzytwa. - W każdym razie wkrótce tu zawita, bo wystąpiłam o kolejny kredyt.

Nie miała wątpliwości, że pan Pickens doskonale zna stan jej finansów. Wiedziała, jak wiele zależy od wyniku tej wizyty. Jeśli nie pozyska dodatkowych funduszy, pensjonat upadnie. Przez sześć miesięcy panował martwy sezon, dlatego już nie mogła doczekać się Święta Dziękczynienia i Bożego Narodzenia. Potem jednak przychodziły długie zimowe miesiące i ruch turystyczny niemal zamierał. Komu chciałoby się przyjeżdżać do małego i nieco ospałego miasteczka w Pensylwanii?

Owszem, zdarzały się obfite opady śniegu, ale brakowało bazy. Narciarze i snowboardziści ruszali na północ. Można było liczyć jedynie na miłośników historii, szczególnie tych, których pasjonowała wojna secesyjna. To zbyt mało, by miasteczko czerpało z tego zyski.

- Beth, kochanie, tak mi przykro, że nie możemy ci pomóc. - Iris otarła usta serwetką i westchnęła. - Kiedy podarowałyśmy ci ten dom, nie zdawałyśmy sobie sprawy, że będzie dla ciebie takim ciężarem.

- Przestań. Ja kocham ten dom. Trzeba trochę czasu, by rozkręcić interes. Poza tym remont i modernizacja pochłonęły mnóstwo pieniędzy. - Iris co prawda kiwnęła głową, ale nadal wyglądała na zmartwioną. Beth poklepała ją po dłoni. - Naprawdę jestem wam bardzo wdzięczna za wszystko, co dla mnie zrobiliście. Wyciągnęłyście do mnie pomocną dłoń, kiedy tego najbardziej potrzebowałam. - Rzeczywiście, propozycja ciotek spadła Beth jak z nieba. Jej życie właśnie rozpadało się na kawałki, bo dowiedziała się, że mąż romansuje z koleżanką z pracy.

Greg był nauczycielem wychowania fizycznego w szkole średniej i trenerem miejscowej drużyny futbolowej. Wybranka jego serca, Penelope Miller, prowadziła w szkole dziewczęcą drużynę siatkarską i piłkarską.

Tych dwoje było dla siebie wprost stworzonych. Beth nigdy nie podzielała pasji męża, nie interesowała się sportem. Właściwie nawet nie była w typie Grega. Uwielbiał kobiety o dużym biuście, długonogie i bezmózgie.

Patrząc na wszystko z perspektywy czasu, rozwód był najlepszą rzeczą, jaką mogła jej się przydarzyć. Teraz to Penelope musiała się

zмагаć z obrzydliwym charakterem Grega i jego niewybrednym słownictwem. Dobrze im tak, pomyślała Beth mściwie i uśmiechnęła się. Po rozwodzie miała ochotę podkulić ogon i uciec, gdzie pierz rośnie, bo w miasteczku aż huczało od plotek. Na szczęście Beth wzięła się w garść, przemieniła swą złość w energię i zajęła się urządzaniem pensjonatu. Zaprażyła uporządkować życie, chociaż nadal borykała się z wieloma problemami. Była zdeterminowana, by osiągnąć sukces.

- Ten dom był za duży dla dwóch starych kobiet - zauważyła Ivy. - Kochałaś go równie mocno jak my, dlatego uznałyśmy, że na niego zasługujesz. Nie chciałyśmy, by dostał się w obce ręce, a oprócz ciebie nie mamy innej rodziny. Oczywiście oprócz twojej matki, która chyba jest szczęśliwa w Kalifornii.

I dzięki Bogu, pomyślała Beth. Kochała matkę, ale nie lubiła jej zbyt. Wcale nie marzyła, by mieszkać bliżej rodzicielki.

Margaret Shaw miała paskudny charakter i działała wszystkim na nerwy. Beth potrafiłaby wyliczyć kilkadziesiąt powodów, dla których powinna unikać matki. Na szczęście Margaret zjawiała się rzadko i nigdy nie zatrzymywała się na długo. Kłóciły się niemal o wszystko. Matka z sadystycznym upodobaniem wytykała Beth wszystkie błędy i złe cechy charakteru.

- Lubiałam tu przyjeżdżać jako dziecko. Z tym domem wiąże się wiele pięknych wspomnień.

- Owszem. Pamiętasz na przykład, jak pomagałaś Elmerowi Forrestowi malować werandę i wylałaś mu na buty całe wiadro farby?

- spytała ze śmiechem Ivy.

- Pan Forrest nie odzywał się do mnie przez kilka miesięcy.
- Elmerowi zrobiło się głupio, kiedy powiedziałyśmy mu o rozwodzie twoich rodziców.

Beth westchnęła ciężko. Często zastanawiała się, czy rodzice rozwiedli się przez nią, jednak ciotki zapewniały ją, że Melvin Shaw był po prostu niepoprawnym babiarzem. Jako dziecko nie rozumiała, co to znaczy, jednak pewnego dnia matka z przerażającymi detalami wyjaśniła jej, co zrobił ojciec. Dla Beth, która go uwielbiała, było to bardzo bolesne odarcie z iluzji.

- Kochanie, czy dobrze się czujesz? - spytała zmartwiona Iris. - Trochę kiepsko wyglądasz.

Beth pokręciła głową i zmusiła się do uśmiechu. Postanowiła szybko wrócić do poprzedniego wątku konwersacji.

- Kiedy dostanę kredyt, uporządkuję ogród i spłacę część długu, który zaciągnęłam na remont domu. Zamierzam przekupić pana Pickensa słoikiem waszych słynnych śliwkowych powideł. Pani Pickens za nimi przepada.

- Hm - mruknęła Ivy lekceważąco i wydeła usta. - Finnola Pickens zadziera nosa, a była bardzo kiepską uczennicą. O ile sobie przypominam, prawidłowe użycie przyimków wciąż jest dla niej tajemnicą.

Tak samo jak dla mnie, pomyślała Beth, choć przyznanie się do tego byłej nauczycielce groziło poważnymi konsekwencjami. Nie znosiła gramatyki, chociaż uwielbiała czytać, zwłaszcza romanse. Lubiła szczęśliwe zakończenia.

Szkoda, że sprawy w prawdziwym życiu układały się zupełnie inaczej.

- Wiesz, kochanie, uważamy, że nie powinnaś pokazywać panu Pickensowi naszej piwnicy. Tam jest tak zimno i brudno. Prawda, Ivy? - Iris zerknęła nieco nerwowo na siostrę i bezwiednie zaczęła gnieść serwetkę.

- Tak, tam jest paskudnie. Wiemy, jak bardzo nie lubisz tego miejsca.

Beth użyłaby innego słowa. Nienawidziła piwnicy i zazwyczaj omijała to miejsce szerokim łukiem.

- To prawda, ale nie mam wyjścia. Jestem zdesperowana. Nie martwcie się, wezmę Bustera, na pewno udzieli mi moralnego wsparcia.

Ivy parsknęła i pokręciła głową.

- Boisz się schodzić do piwnicy, a ten pies nadaje się na stróża jak ja na primabalerinę. Kiedy pan Jessup przynosi pocztę, Buster od razu rzuca się na niego z jęczymem.

Czarny labrador Buster może nie był równie dzielny jak sławna Lassie, ale Beth bardzo go kochała. Dał jej to, czego brakowało jej w małżeństwie - bezwarunkową miłość.

- Nie martwcie się, jakoś sobie poradzimy. Wpadnę do was po południu i powiem, jak się udało spotkanie z panem Pickensem. Spróbujcie nie wpakować się dzisiaj w żadne kłopoty, dobrze?

Starsze panie spojrzały na siebie porozumiewawczo, a potem zaczęły chichotać.

Gdy oparła rękę na starych drzwiach prowadzących do piwnicy, poczuła, jak mocno bije jej serce. By powstrzymać narastającą panikę, zaczęła głęboko oddychać. Trochę pomogło.

Może to i głupie, ale wciąż bała się tego ciemnego, ponurego miejsca. Gdy miała sześć lat, spędziła tam kilka niemiłosiernie długich godzin, uwięziona pomyłkowo przez nieuważną sprzątaczkę. Do diabła, musi wziąć się w garść! Pan Pickens będzie tu lada moment. Słoik dobrych śliwkowych powideł na pewno poprawi mu humor.

Owszem, Beth była tchórzem, ale miała też dużo zdrowego rozsądku. Westchnęła głęboko i spojrzała na kręcącego się niecierpliwie Bustera.

- No już, uspokój się, zaraz tam wejdziemy. - Nadal stała jak zamurowana, próbując opanować drżenie nóg. - Damy radę. Otwórz te drzwi - nakazała sobie. - Nie masz całego dnia. - Buster warknął potakująco. - Zamknij się! - krzyknęła zdenerwowana. - Kto cię pytał o zdanie?

Zacisnęła spocone palce na klamce i pociągnęła. Na chwilę wstrzymała oddech i zaczęła się modlić, by nie powitał jej na progu duch zamordowanego Lyle'a McMurtry'ego. Gdy poczuła, że coś ociera się jej o nogi, wrzasnęła przeraźliwie. Na szczęście to był tylko Buster.

Wreszcie otworzyła drzwi. Oświetliła latarką schody do piwnicy. W powietrzu unosił się smród zgniłej cebuli, choć od lat nikt nie trzymał tu żadnych warzyw. Zmarszczyła nos i stanęła na pierwszym stopniu. Dam radę, przekonywała samą siebie. Pomyśl o

bohaterce „Tomb Raider”. Ona odwiedzała znacznie gorsze miejsca, niczego się nie bała, jednym kopniakiem powalała każdego napastnika. Drewniany schodek zaskrzypiał złowieszczo. Beth zatrzymała się w pół kroku, próbując uspokoić rozszalałe serce. Najchętniej zrezygnowałyby z wyprawy do piwnicy, ale ciotki tak bardzo na nią liczyły. Co stanie się z Ivy i Iris, gdy stracą dom? Gdzie się wszystkie podzieją?

Omiotła światłem latarki ciemne pomieszczenie. Miała nadzieję, że nie natknie się na pająki lub, co gorsza, na szczury, których nienawidziła jeszcze bardziej. Boże, jakżeż brzydziła się tych stworzeń z cienkimi różowymi ogonami i ostrymi zębami!

Gdy coś przebiegło jej po nodze, podskoczyła tak gwałtownie, że niemal straciła równowagę. Opuściła latarkę, która z głośnym hukiem wylądowała na drewnianej podłodze. W jej świetle zobaczyła wstrętny pysk gryzonia.

- Sio! - krzyknęła i klasnęła. Oby nie było ich więcej, pomyślała.

Do diabła z Larą Croft i Indianą Jonesem.

Piwnica w tym domu cieszyła się bardzo ponurą sławą. Krążyły plotki, że ponad pięćdziesiąt lat temu został tu zamordowany Lyle McMurtry, narzeczony Iris. Społeczność Mediocrity szeptała, że ekscentryczne siostry Swindel są zamieszane w tę sprawę.

Owszem, były ekscentryczne, ale czy posunęłyby się do morderstwa?

Beth poczuła na plecach zimny dreszcz, ale szybko otrząsnęła się z tych niedorzecznych rozmyślań. Jej ciotki nie były morderczyniami, a duchy nie istnieją. Podniosła latarkę i

kontynuowała wędrówkę. Dotarła do ściany ze starymi półkami, na których pyszniły się równe rzędy wspaniałych przetworów i puszek. W rogu stała zardzewiała kosiarka z lat pięćdziesiątych i inne narzędzia ogrodnicze. Tuż obok piętrzył się wysoki na dwa metry stos pudeł i kartonów różnych rozmiarów. Stanowiły poważne zagrożenie pożarowe. Beth wiedziała, że prędzej czy później będzie musiała zrobić tu porządek.

Zdjęła z półki słoik powideł, wytarła o dżinsy i zawołała psa, który jednak nie przybiegł.

- Buster, gdzie jesteś? Chodź tutaj, dam ci coś smacznego.

Gdy pies się nie pojawił, Beth westchnęła ciężko i ruszyła w drugi koniec piwnicy. W świetle latarki zobaczyła stary drewniany stół. Na blacie leżała mała metalowa szufelka. Beth przypomniała sobie wreszcie, kiedy ostatnio widziała to narzędzie. To było w dniu, kiedy jej ciotki zostały aresztowane za kradzież ze sklepu Herba Meyera.

Ivy ukryła szufelkę pod płaszczem, by zobaczyć, czy uda się jej niepostrzeżenie umknąć z łupem. Nie udało się. Beth musiała wtedy użyć całego swego czaru i siły perswazji oraz obieca solennie, że odtąd będzie zawsze kupować narzędzia w sklepie Meyera, chociaż były dwa razy droższe niż w sieci Builder's World. Dopiero wtedy właściciel sklepu wycofał oskarżenie.

Gdy skierowała latarkę bardziej w prawo, zobaczyła, że Buster z zapamiętaniem drapie drewnianą podłogę.

- Przestań! - krzyknęła. Bała się, że pies może uszkodzić stare rury, a nie mogła sobie teraz pozwolić na dodatkowe wydatki.

Podeszła bliżej, by zbadać sprawę. - Buster, co ty wyprawiasz?
Musimy już iść. Chodź tutaj, natychmiast.

Gdy oświetliła znalezisko psa, zastygła z otwartymi ustami.
Zobaczyła dużą brudną kość. Kopiając zapamiętała, Buster odsłonił
część szkieletu.

Nagle przypomniały się jej słowa ciotki: „Wiesz, kochanie,
uważamy, że nie powinnaś pokazywać panu Pickensowi naszej
piwnicy. Tam jest tak zimno i brudno”.

Poczuła, że zbiera się jej na mdłości. Nie sądziła, że to
niestrawność spowodowana łakomstwem. Owszem, zjadła aż cztery
ciepłe bułeczki z dżemem truskawkowym, ale żołądek rozboleł ją z
zupełnie innego powodu.

Dlaczego ciotki tak bardzo nie chciały, by zeszła do piwnicy?

Nie, to wszystko tylko jej się przywidziało. Latarka trzymana w
drżących dłoniach rzucała zwodnicze cienie. Ujęła ją mocniej,
próbując się opanować.

Tak, to bez wątpienia były kości. Skąd się tu wzięły?

Tylko ciotki często schodziły do piwnicy. Było tu chłodniej,
więc trzymały tu przetwory i puszki. Nagle przypomniało się jej coś
jeszcze. Iris próbuje wskrzeszać umarłych.

- Lyle McMurtry - szepnęła Beth, a potem potrząsnęła głową.
Nie, to zbyt niedorzeczne.

A może jednak...

ROZDZIAŁ DRUGI

Beth nadal gapiała się na kości, a jej myśli podążały w dość przerażającym kierunku.

To prawda, że ostatnio Ivy i Iris zachowywały się jeszcze dziwniej niż zazwyczaj. Od dawna uchodziły za ekscentryczki zdolne niemal do wszystkiego. Kochała ciotki, jednak nie miały łatwych charakterów.

Zaczęła gorączkowo myśleć, co powinna teraz zrobić, aż wreszcie podjęła decyzję. Najlepiej będzie ponownie zakopać kości. Jeśli ktoś je znajdzie, ciotki wpadną w kłopoty.

No tak, ale jeżeli starsze panie naprawdę mają coś na sumieniu?

Co, jeżeli było tak, jak wszyscy podejrzewali? Iris pozbyła się Lyle'a McMurtry'ego, a potem wraz z siostrą zakopały biedaka w piwnicy. To przypuszczenie być może dalece odbiega od prawdy, lecz jednak należałoby je sprawdzić.

Jeżeli ponownie zakopie kości, złamie prawo, bo ukrywanie dowodów jest przestępstwem. Czy miała jednak inny wybór? Ciotki i tak już były podejrzane, bo szeryf Murdock uparcie twierdził, że miały coś wspólnego ze zniknięciem McMurtry'ego. Beth czuła się za nie odpowiedzialna i nie mogła ich zawieść. Przecież zawsze ją wspierały.

Wzięła łopatę i zaczęła zakopywać kości. Może i nie podjęła najmądrzejszej decyzji, ale w tym momencie naprawdę nie mogła zrobić nic lepszego.

Najrozsądniej zapewne byłoby porozmawiać z policją, jednak komu chciałoby się wracać do sprawy sprzed pięćdziesięciu pięciu lat. Zresztą zdrowie i życie ciotek było najważniejsze. Kto wie, jak by się wszystko skończyło, ostatecznie każdego dnia wielu niewinnych ludzi zostaje skazanych za zbrodnie, których nie popełniło.

Owszem, starsze panie były mocno zwariowane, ale kochała je całym sercem i musiała je chronić. Właśnie dlatego nie zamierzała opowiadać im o upiornym znalezisku. Niepotrzebnie by się zdenerwowały.

A jeśli są winne?

Nie, nie będzie teraz o tym myśleć.

Lada chwila zjawi się tu pan Pickens. Gdy już obejrzy wszystko i zakończy wizytę, Beth zastanowi się, co powinna zrobić. Na razie cała sprawa musi pozostać w tajemnicy. Jeśli dociekliwy pan Pickens natknie się na choćby najmniejszą kosteczkę, z pewnością nie udzieli Beth kredytu.

Gdy jedna z gałęzi poruszona wiatrem uderzyła w zakurzoną szybę, Beth nerwowo podskoczyła. W sumie nie ma się czemu dziwić, bo przecież nie co dzień znajduje się w piwnicy stare szkielety.

Starła się zakopać kości najlepiej, jak umiała, gdy nagle jej uwagę zwrócił jakiś błysk. Odłożyła łopatę i czubkiem buta oczyściła tajemniczy przedmiot.

Złoty medalion wyglądał na bardzo stary. Podniosła go, dokładnie obejrzała, a potem spróbowała otworzyć. Wieczko wreszcie odskoczyło i Beth zobaczyła dwie małe czarno-białe fotografie. Na jednej, bez wątpienia widniała ciotka Iris, młoda, promienna i

szczęśliwa. Na drugim zdjęciu zobaczyła przystojnego uśmiechniętego mężczyznę, zapewne Lyle'a McMurty'ego.

Zdumiona patrzyła na medalion, potrząsając głową. Bez wątpienia znalazła ważny dowód.

Zaraz, to jeszcze nie oznacza, że ciotka jest winna. Owszem, to zapewne jej medalion, który w ten lub inny sposób znalazł się na miejscu zbrodni, o ile w ogóle coś takiego miało tu miejsce.

Cóż, nie jestem Larą Croft, a w dodatku nie mam żyłki detektywistycznej, w przyływie wisielczego humoru pomyślała Beth.

Włożyła medalion do kieszeni dzinsów, a potem opadła na czworaka i zaczęła kopać w tym samym miejscu, co wcześniej Buster. Miała nadzieję, że znajdzie coś jeszcze, co rzuci nieco światła na całą sprawę.

Już miała się poddać i odetchnąć z ulgą, gdy nagle natrafiła na coś jasnego. Stękając z wysiłku, wygrzebała kawałek materiału, prawdopodobnie płótna. A te brązowawe plamy to chyba krew. A może resztki jakiegoś wzoru?

W każdym razie wyglądało to jak strzępek męskiej koszuli. Położyła materiał obok kości i wszystko starannie zakopała. Ledwie zdążyła odłożyć łopatę, rozległ się dzwonek do drzwi.

Powinna się pośpieszyć, bo inaczej pan Pickens stanie się kolejną ofiarą, zwłaszcza że ciocia Ivy wyraźnie go nie lubiła.

Boże, co też mi przychodzi do głowy! - pomyślała w popłochu.

Z pewnością to wszystko można łatwo wytłumaczyć.

Niemożliwe, żeby doszło tu do zbrodni. Nie pójde do więzienia,

uspokajała się. Mam rude włosy i w pomarańczowym kombinezonie wyglądałabym fatalnie.

- Nie rozumiem, dlaczego zwolniłeś mnie ze szkoły, przecież i tak zaraz są ferie. Poza tym Missy Stuart zaprosiła mnie na przyjęcie. Wszyscy tam będą, a ja akurat musiałam wyjechać.

Brad Donovan zerknął kątem oka na dwunastoletnią córkę, a potem znów skoncentrował się na drodze. Jak zwykle o tej porze dnia ruch na międzystanowej szosie nr 95 mógł wyprowadzić z równowagi najspokojniejszego kierowcę.

Zamierzał wyjechać wczoraj w nocy, ale miał kilka pilnych wezwań do pacjentów. Najpierw Bobby Bartley złamał obojczyk podczas gry w bejsbola, potem trzeba było zrobić tracheotomię półtorarocznemu dziecku, które próbowało połknąć klocek lego. Właśnie dlatego tkwił teraz w koszmarnym korku i będzie musiał przez kilka najbliższych godzin wysłuchiwać biadolenia Stacy.

- Stacy, przecież już ci wszystko tłumaczyłem. Martwię się o dziadka, bo zupełnie jakby zapadł się pod ziemię. Nie zadzwonił, nie napisał. To nie w jego stylu.

- Przecież przysłał ci pocztówkę.

- Owszem, przyszła pocztówka z „Pensjonatu u Sióstr”, ale był to jedyny znak życia. - Brad kilka razy nagrał się na hotelowej sekretarce, ale nikt do niego nie oddzwonił. Mocno zaniepokojony postanowił pojechać do Mediocrity i zbadać sprawę na miejscu. Właścicielka pensjonatu z pewnością będzie w stanie udzielić mu jakichś informacji.

Takie zniknięcie nie było w stylu Roberta Donovana. Był zawsze bardzo zorganizowany, punktualny i obowiązkowy. Gdy owdowiał osiem lat temu, zamieszkał z synem i wnuczką. Wydawało się co prawda, że już pogodził się ze śmiercią żony, jednak Brad podejrzewał, że ojciec nadrabiał miną. Robił co mógł, by go wspierać, lecz z dość miernym skutkiem.

Sześć tygodni temu zupełnie niespodziewanie Robert wrzucił kilka rzeczy do starego chevy impala i oznajmił niewzruszonym tonem, że zamierza odwiedzić Pensylwanię, by obejrzyć pola bitewne wojny secesyjnej. Brad zaproponował, że pojedą wszyscy, jednak ojciec, zazwyczaj tak grzeczny, ostro zaprotestował. Wyraźnie nie życzył sobie towarzystwa. Ciekawe dlaczego?

- Dziadek na pewno ogląda kolejne nudne pole bitwy - oznajmiła Stacy. Wyjęła z torebki błyszczycy i zaczęła z pietyzmem nakładać go na usta.

Moja córeczka stanowczo za szybko dorasta, pomyślał Brad. W ciągu tych czterech lat, które minęły od śmierci matki, Stacy zmieniła się z brzydkiego kaczątka w pięknego łabędzia. Była teraz w trudnym wieku i Brad uważał, że niezbyt sobie radzi z problemami wychowawczymi. Był przerażony, kiedy musiał z nią porozmawiać o pierwszym biustonoszu i menstruacji, ale z czasem robiło się coraz gorzej. Stacy zaczęła się malować, słuchała głośnej muzyki i zauważyła istnienie chłopców. Skończył trudne medyczne studia, był niezłym pediatrą, ale zupełnie nie sprawdzał się jako ojciec zbuntowanej nastolatki.

Ostatnio kiepsko się dogadywali, a on nie wiedział, jak temu zaradzić. Gdy krytykował zbyt wyzywające stroje córki lub zabraniał oglądać jakieś telewizyjne programy, mówiła, że jest staroświecki. Gdy zasugerował, by poświęciła więcej czasu na odrabianie zadań domowych, oskarżyła go o zbyt krytycyzm, który ją niszczy i łamie jej psychikę.

Było to niezwykle frustrujące dla człowieka, który z dużym sukcesem leczył i troszczył się o cudze dzieci. Niestety zupełnie nie umiał poradzić sobie z własną córką.

- Tato, jak myślisz, czy jestem ładna? Pytanie padło zniemacka, jak wszystkie pytania

Stacy. Brad bez słowa wrzucił trzeci bieg w bmw, ignorując klakson jadącego za nim vana.

- Stacy, jesteś bardzo ładna, tak jak twoja mama. Mówiłem ci to już wiele razy.

- To dlaczego Billy Carson powiedział, że jestem płaska jak deska i powinnam pomyśleć o implantach? Powiedział też, że mam straszną przerwę między górnymi jedynkami.

Zielonowłosa i okolczykowany Billy Carson miał mały mózdzek, jednak nie powstrzymywało go to przed częstym wyrażaniem swych krytycznych opinii. Był pacjentem Brada, który nigdy za nim nie przepadał. I pomyśleć, że ten mały erotoman śmiał oceniać biust jego córki.

- Według mnie Billy nawet nie wie, co to są implanty. Poza tym wcale nie jesteś płaska jak deska, po prostu rozwijasz się trochę wolniej niż twoje koleżanki. - Uznał, że córki nie zadowolą te

wyjaśnienia, toteż dodał: - Chyba zauważyłaś, że wszystkie czołowe modelki mają raczej małe biusty. Takie sylwetki są na topie.

- Jasne, może i tak, ale chłopcy wolą dziewczyny z dużymi cyckami.

Faceci też, dodał Brad w myślach.

- Na pewno spodoba ci się pensjonat, w którym się zatrzymamy.

Na tej pocztówce od dziadka prezentował się zupełnie nieźle.

Stacy zmarszczyła nos i odparła:

- Pewnie będzie tam czuć stęchliznę, zupełnie jak kiedyś w domu babci Ruth.

- Babcia była trochę staromodna, ale od starych ludzi można się wiele nauczyć.

- To dlaczego bez przerwy pouczasz dziadka? A jeśli wie więcej niż ty?

Brad rozmyślał przez chwilę nad sensowną odpowiedzią. Zamierzał podkreślić, że jako głowa rodziny musi mieć nad wszystkim kontrolę, ale zanim zdążył otworzyć usta, Stacy zasłoniła uszy słuchawkami, włożyła do ust kolejny listek gumy do żucia i zamknęła oczy.

Może czasami przesadzał, ale od śmierci żony obsesyjnie dążył do uporządkowanego życia. Potrzebował rutyny i lubił, gdy wszystko przebiegało gładko i po jego myśli.

Po śmierci Carol jego świat wywrócił się do góry nogami. Pograżył się w rozpacz, nie potrafił wypełnić przerażającej pustki. Przez wiele miesięcy żył w chaosie, z dnia na dzień. Teraz, gdy wszystko niemal wróciło do normy, bał się wszelkich zmian.

Nie podobał mu się pomysł wycieczki do Pensylwanii. Wolałby spędzić wolny czas w zupełnie inny sposób. Nie był również zachwycony czekającą go rozmową z nieuprzejmą właścicielką pensjonatu, która nie miała w zwyczaju odpowiadać na telefony.

- Odezwę się do ciebie w sprawie kredytu, Beth. Nie zapomnij podziękować ciotkom za powidła. Żona będzie zachwycona.

Gdy urzędnik bankowy wyszedł za próg, Beth zatrzasnęła drzwi i oparła się o nie ciężko. Po chwili odetchnęła z ulgą, że inspekcja wreszcie dobiegła końca.

Pan Pickens zabawił w pensjonacie o wiele dłużej, niż przewidywała. Okazał się niezwykle dociekliwy, by nie powiedzieć - wścibski. Zajrzał do każdego piekarnika, do każdej lodówki. Dokonał inspekcji wszystkich toalet i pokoi. Wcale by się nie zdziwiła, gdyby w pewnym momencie założył białe rękawiczki, by sprawdzić, czy odkurzyła dziś rano meble. Nie odkurzyła.

Jednak najgorzej było, gdy wtargnął do piwnicy. Beth aż wstrzymała oddech, czekając z przestraszaniem, kiedy odkryje kości. Na szczęście pan Pickens nie okazał się na tyle dociekliwy.

Odziedziczony po dziadku zegar wybił czwartą. Beth wiedziała, że ciotki już czekają na nią z herbatką, spragnione najnowszych wieści.

Już zmierzała w stronę schodów, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Beth pobiegła otworzyć, przekonana, że pan Pickens jeszcze sobie o czymś przypomniał.

Gdy otworzyła drzwi, zobaczyła ciemnowłosego wysokiego mężczyznę. Sądząc po zmarszczkach w kąciach jego oczu, kilka lat

temu przekroczył trzydziestkę. Gdy się uśmiechnął, zauważyła, że ma wspaniałe białe zęby. Zapewne jego rodzice wydali fortunę na wizyty u dentysty, pomyślała z przekąsem. Cóż, przynajmniej ta inwestycja okazała się trafiona. Był bardzo przystojny i prawdopodobnie dobrze o tym wiedział. Jak niemal wszyscy przystojni faceci.

- Panna Randall? - zapytał.

- Pani Randall. W czym mogę pomóc? - spytała i dopiero wtedy zobaczyła stojącą obok mężczyzny dziewczynkę. Mała miała tak wrogie spojrzenie, że Beth na chwilę zamilkła. Rzadko zdarzało się, by ktoś już na początku znajomości tak jawnie manifestował swą niechęć.

- Owszem, liczę na pani pomoc. Nazywam się Bradley Donovan.

- Witam w „Pensjonacie u Sióstr”, panie Donovan. - Wyciągnęła rękę, za co została obdarzona kolejnym olśniewającym uśmiechem.

- Właściwie wszyscy zwracają się do mnie „doktorze Donovan”. Nagrałem się kilka razy na pani automatycznej sekretarce. Chciałem spytać o mojego ojca, Roberta Donovana. Kilka tygodni temu zatrzymał się w pani pensjonacie, a potem zniknął bez śladu.

Beth poczuła, jak jej puls przyśpiesza. Pamiętała Roberta Donovana. Kilka razy grał w karty z ciotkami. To już drugi mężczyzna z ich otoczenia, który zaginął. To wszystko coraz mniej jej się podobało.

- Ponieważ nie odpowiedziała pani na moje telefony, postanowiłem przyjechać osobiście i zapytać, co pani wie o moim ojcu. Ja i Stacy bardzo się o niego martwimy.

Beth, zbyt zaabsorbowana wizytą pana Pickensa, rzeczywiście nie odpowiadała na telefony.

- Przykro rai, doktorze Donovan, ale chyba niewiele mogę panu pomóc. Pamiętam pana ojca, jednak nie wiem, dokąd pojechał.

- Ja wcale nie martwię się o dziadka - weszła jej w słowo Stacy Donovan. - Nie mieszaj mnie do tego, tato. Nadal uważam, że dziadek zwiedza te głupie pola bitewne. Za bardzo się wszystkim przejmujesz. Wyluzuj, dobra?

- Na pewno masz rację - poparła ją Beth i wyciągnęła do dziewczynki rękę. Stacy zaczęła jeszcze głośniejsze żuć gumę. - Nazywam się Beth, a ty?

- Stacy Donovan - odpowiedziała po chwili wahania. - Nie chciałam tu przyjeżdżać, ale tata się uparł. Jest niemożliwy. W tym domu śmierdzi starością, zupełnie jakby mieszkały tu same trupy.

Ta mała ma dobrego nosa, pomyślała Stacy z uznaniem.

- Stacy, natychmiast przeproś panią Randall.

- W porządku, nic się nie stało - szybko powiedziała Beth.

- Przepraszam - mruknęła Stacy bez większego przekonania.

- Proszę wejść - powiedziała Beth, przypominając sobie o dobrych manierach. Zaprowadziła ich do salonu. Był to przytulny jasny pokój o żółtych ścianach. Podwójne okno zdobiły piękne koronkowe firanki. - Wiesz, Stacy, ten dom rzeczywiście jest bardzo stary. Liczy sobie ponad sto lat. Natomiast zapach, który tak cię drażni, to zapewne kadzidełka, które pali moja ciotka. Porozmawiam z nią o tym, bo mnie też to przeszkadza.

- Zwróciła się do Bradleya Donovana. - Przepraszam, że nie odpowiadałam na pana telefony, doktorze Donovan. Miałam dziś sporo na głowie i nawet nie zdążyłam odsłuchać wiadomości na automatycznej sekretarce. -No i musiałam jeszcze zakopać w piwnicy szkielet, prawdopodobnie nieszczęsne szczątki Lyle'a McMurtry'ego. Kto wie, czy nie leżą tam również kości pańskiego ojca? - dodała w duchu.

Bradley Donovan usadowił się na kanapie i pociągnął za sobą córkę.

- Ojciec wyjechał z Charlottesville prawie sześć tygodni temu. Wiem, że się tu zatrzymał, bo przesłał pocztówkę. - Wyjął z kieszeni widokówkę i pokazał Beth.

- Tak, są we wszystkich pokojach. Goście otrzymują je w prezencie. Podczas pobytu pana ojca nie zdarzyło się nic szczególnego. Może moje ciotki wiedzą coś więcej, bo grywały z panem Donovanem w karty. Zaraz je zapytam.

Na chwilę uspokojony skinął głową, a potem zaczął rozprawiać o urokach okolicy, korkach na drodze i pogodzie. Próbowwała słuchać go uważnie, nawet od czasu do czasu kiwała głową, lecz niewiele do niej docierało, bo jego niebieskie oczy po prostu ją hipnotyzowały. Po rozwodzie spotykała się z kilkoma mężczyznami, ale nigdy nie zwracała uwagi na takie rzeczy, jak kolor oczu. Zresztą były to bardzo krótkie znajomości i żadna z nich nie zakończyła się romanssem.

Stacy Donovan obserwowała ją uparcie. Gdyby wzrok mógł zabijać, Beth wkrótce dołączyłaby do Lyle'a McMurtry'ego.

- Ona na ciebie leci, tato. Wyośmy się stąd.

- Wystarczy, Stacy! Co dzisiaj w ciebie wstąpiło? - spytał ze złością.

- Nic podobnego! - Beth gwałtownie potrząsnęła głową, czując, jak płoną jej policzki. - Nawet mi to przez myśl nie przeszło. - Już raz się sparzyłam, wystarczy.

- Ależ oczywiście, pani Randall - powiedział Brad, wyraźnie rozbawiony jej zakłopotaniem.

- Doktorze Donovan, czy chce pan wynająć u mnie pokój? - spytała chłodno.

- Tak, ale nie wiem, jak długo się tu zatrzymamy. Popytam ludzi o mojego ojca, no i pójdę na policję.

Przerażona Beth z największym trudem zmusiła się do uśmiechu.

- W takim razie dam wam dwuosobowy pokój na pierwszym piętrze.

- W porządku. I proszę mi mówić po imieniu.

- Mam nadzieję, że nasz pokój nie jest obok twojego - odezwała się Stacy, marszcząc z niesmakiem nos. - Daj spokój mojemu tacie, on nie lubi kobiet.

Beth uniosła brwi, obserwując z rozbawieniem, jak kolor twarzy pana doktora przechodzi od bladego różu do głębokiej purpury.

- Ach tak, cóż, ja...

- Stacy gada głupoty - wpadł jej w słowo Brad. Widząc, że córka znów zamierza coś powiedzieć, warknął: - Idź do samochodu po swoje rzeczy, ale już!

Dziewczynka westchnęła teatralnie i wyszła powoli z pokoju. Beth nie była tym specjalnie zmartwiona. Nigdy nie miała cierpliwości do dzieci, a zwłaszcza do pyskatech, bezczelnych nastolatek.

W odróżnieniu od większości kobiet, Beth nie marzyła o dzieciach. Sama miała nieszczęśliwe dzieciństwo, a jej małżeństwo okazało się katastrofą. Według niej nie miała kwalifikacji na dobrą matkę. Lubiła niezależność, wyżywała się w prowadzeniu interesu. Nie miała męża, który mówiłby jej, co powinna robić, ani dzieci, który chwilami byłyby kulą u nogi.

- Niech pani nie zwraca uwagi na Stacy. Jest jej ciężko, bo cztery lata temu straciła matkę - powiedział Brad. - Każdą kobietę traktuje jako potencjalne zagrożenie.

- Nie ma problemu. - Uśmiechnęła się ze zrozumieniem. - A tak przy okazji, jestem Beth. Ja też kiedyś byłam w wieku Stacy, co do dziś niektórzy wspominają ze zgrozą. - Od dziesiątego roku życia wychowywała się bez ojca, dlatego świetnie rozumiała Stacy.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Potem otworzyły się drzwi i do pokoju ponownie wkroczyła córka Brada. Całe szczęście, bo Beth nie życzyła sobie żadnych komplikacji.

Beth zaprowadziła Brada i Stacy do ich pokoju. Rozmowa z doktorem Donovanem mocno ją zdenerwowała, a okropne znalezisko w piwnicy nie dawało jej spokoju. Złoty medalion niemal parzył jej skórę.

Pomimo tych wszystkich niefortunnych okoliczności Beth doszła do wniosku, że Bradley Donovan jest bardzo sympatycznym i

przystojnym mężczyzną. Cóż, Greg też był przystojny, a jednak okazał się nic niewartym łajdakiem. „Nie wszystko złoto, co się świeci”, z upodobaniem zwykły powtarzać ciotki. Beth również nie powinna o tym zapominać.

 Nie potrzebowała kolejnego faceta.

RS

ROZDZIAŁ TRZECI

- Beth, kochanie, nareszcie jesteś. Ivy i ja już zaczynałyśmy się o ciebie martwić, a herbata prawie wystygła. Co ty tam tak długo robiłaś?

Zajmowałam się pewnym miłym doktorem i jego córeczką z piekła rodem, miała ochotę powiedzieć, bo jako nastolatka była bardzo pyskata. Z pewnością jednak nie była tak niegrzeczna jak Stacy Donovan. Chociaż Beth wiedziała, z czego wynika zachowanie dziewczynki, nie umiała przejść nad tym do porządku dziennego.

- Przepraszam za spóźnienie. Pojawili się niespodziewani goście, doktor Donovan z córką. Musiałam zaprowadzić ich do pokoju.

- Widziałam przez okno, jak podjeżdżają - oznajmiła Ivy. Wyprostowała się i skrzyżowała nogi w kostkach. Gdy tak siedziała godnie na samym brzegu czerwonego pluszowego fotela, wydawała się uosobieniem dobrotliwej babuni. Kto by pomyślał, że ta stateczna starsza pani wcale nie jest grzeczną starowinką. - Ten facet jest zupełnie przystojny. Powinnaś się kolo niego zakręcić. Już od bardzo dawna nie miałaś bliższego kontaktu z mężczyzną, jeśli wiesz, o czym mówię. Doktor Donovan wygląda na bardzo dobrze wyposażo...

- Ciociu Ivy! - Beth uniosła dłoń, nie chcąc dłużej słuchać dosadnych komentarzy. Miała wystarczająco dużo problemów. Tylko tego brakuje, by ciotka zaczęła bawić się w swatkę. - Nie obchodzi mnie ani doktor Donovan, ani żaden inny facet. Ile razy jeszcze mam powtarzać, że jestem zadowolona ze swojego życia? A tak na

marginesie, córka Brada Donovana traktuje mnie bardzo wrogo. Już choćby z tego powodu powinnam omijać go szerokim łukiem. - Mówiła szczerą prawdę. Przeżywała miłosne uniesienia z bohaterkami romansów i romantycznych komedii. To jej wystarczyło, niczego więcej nie pragnęła.

Ivy uśmiechnęła się przebiegle. Było jasne, że nie wierzy w ani jedno słowo ciotecznej wnuczki, którą zresztą nazywała siostrzenicą.

Iris naląła wszystkim herbatę z różowego chińskiego czajniczka. Nagle spojrzała bystro na Beth i spytała, nie kryjąc zdziwienia:

- Zaraz, czegoś tu nie rozumiem. Powiedziałaś, że ta dziewczynka cię nie lubi? Przecież nawet cię nie zna.

- Stacy kilka lat temu straciła matkę. - Beth bezradnie wzruszyła ramionami. - Każdą kobietę, która zainteresuje się jej ojcem, postrzega jako rywalkę. Obawia się, że musiałyby walczyć o jego uczucia. Jej niechęć byłaby zrozumiała, gdybym zamierzała go poderwać. Jednak jak już powiedziałam, nie jestem zainteresowana.

- Hm, biedne dziecko. - Ivy wzięła od siostry filiżankę z herbatą. - Musi być bardzo samotna. Spróbuję się z nią zaprzyjaźnić. Może też lubi komputery. Jeśli tak, mogłybyśmy razem...

- Ciociu Ivy, błagam, żadnej pornografii! - zdenerwowała się Beth. - Większość - już miała powiedzieć „normalnych”, ale ugryzła się w język - ludzi nie pochwała pornografii.

- Och wiem ! - Ciotka aż prychnęła z oburzenia, że Beth tłumaczy jej tak oczywiste rzeczy. - Chociaż ja naprawdę nie rozumiem, o co tyle krzyku. Przecież w muzeum też można zobaczyć posągi nagich mężczyzn. Co więcej, jeden stoi na rynku. Nagość jest

zdrowa i naturalna. Gdybym była młodsza i miała lepszą figurę, chodziłabym na plażę dla nudystów. To musi być coś wspaniałego. Zresztą kto wie, może kiedyś jeszcze spróbuję.

Beth oczyma wyobraźni natychmiast zobaczyła niezwykle sympatycznego, ale też niesłychanie pomarszczonego pieska rasy szar-pei.

Iris na chwilę zamarła z otwartymi ustami, ale szybko doszła do siebie i powiedziała:

- Siostrzyczko, posąg, o którym mówiłaś, to kopia rzeźby Michała Anioła. Nazywa się „Dawid” i jest powszechnie uznawany za wybitne dzieło sztuki.

- Przecież właśnie o tym mówię. Ten Dawid to chłop na schwał. Jeśli wszyscy Włosi tak wyglądają, to chętnie wybiorę się do słonecznej Italii.

- Czy pamiętacie może naszego gościa, Roberta Donovana? Może wiecie, dokąd potem pojechał? - przerwała jej Beth. - O ile pamiętam, często grałyście z nim w karty. Może coś wam powiedział?

Na policzkach obu starszych pań pojawiły się rumieńce, i chociaż obie zgodnie potrząsnęły przecząco głowami, Beth mogłaby przysiąc, że zobaczyła w oczach ciotek zakłopotanie. Były winne, bez dwóch zdań.

- Kochanie, nic nie wiemy na ten temat. - Iris szybkim, nerwowym ruchem wygładziła spódnice. - Nie zdołałyśmy zbyt dobrze poznać pana Donovana. Prawda, siostro?

- Tak - poparła ją Ivy.

- Zaraz, ale ja naprawdę pamiętam, że grywałyście z nim w karty - upierała się pełna najgorszych przeczuć Beth. Była pewna, że ciotki coś ukrywają. Bony i Clyde, Iris i Ivy... Boże, co też mi przychodzi do głowy! Jednak... - Doktor Donovan przyjechał, by dowiedzieć się czegoś o ojcu. Bardzo się o niego martwi. Starszy pan nigdy przedtem nie zniknął bez słowa wyjaśnienia.

- Och, z pewnością nic się nie stało. - Ivy prychnęła. - Zresztą Robert... - Urwała gwałtownie, a jej policzki przybrały kolor pańskiej róży. - Pan Donovan wyglądał na w pełni poczytalnego mężczyznę. Młodzi powinni mieć więcej zaufania do rozsądku starszych osób. My też, mimo podeszłego wieku, zupełnie nieźle sobie radzimy.

Co prawda, to prawda, pomyślała ponuro Beth, przypominając sobie makabryczne odkrycie w piwnicy.

- Na pewno niczego przede mną nie ukrywacie? Bardzo proszę, przyznajcie się... to znaczy zwierzcie mi się ze wszystkiego.

- Kochanie, nic więcej nie wiemy - odparła Iris, robiąc minę niewiniątka, po czym szybko zmieniła temat: - Może opowiesz nam wreszcie, jak przebiegło spotkanie z panem Pickensem. Wprost umieramy z ciekawości.

Beth westchnęła ciężko, bo dobrze wiedziała, że nic więcej nie wyciągnie ze starszych pań. Kiedy chciały, potrafiły być bardzo uparte. Opowiedziała im o spotkaniu z bankierem, jednak wciąż prześladowało ją przeczucie, że Iris i Ivy coś przed nią ukrywają. Nie sprzyjało to spokojowi ducha, zwłaszcza że w piwnicy leżał szkielet. Będą kłopoty.

- Iris, nienawidzę okłamywać Beth. - Ivy nerwowo krążyła po pięknym dywanie, który ich przodek, Isaac Swindel, przywiózł z Anglii. - Wiesz, jaka ona potrafi być uparta i zajadła. Kiedy wbije sobie coś do głowy, nie spocznie, póki nie dopnie swego. A kiedy się dowie, co zrobiliśmy... Boże...

- Przestań gadać, to nic nie pomoże - odparła gniewnie Iris, choć dobrze wiedziała, że siostra ma rację. - Nie możemy mieszać do tego Beth. Chcesz wpakować ją w kłopoty? Zresztą już to omówiliśmy. Trzymajmy się wcześniejszych ustaleń. Poza tym nie okłamałyśmy jej, zataiłyśmy tylko niektóre informacje, by ją chronić, a to co innego.

Ivy nerwowym gestem poprawiła okulary i niepewnie spojrzała na siostrę.

- Czuję, że zaraz będę miała migrenę. Wezmę proszek i pójde się położyć.

- W porządku, kochanie. A ja poćwiczę zaklęcia. Chyba robię coś nie tak.

- Może powinnaś zażywać viagrę? Dodałaby ci sił, tak jak...

- Ivy Swindel, wstydź się.

- Tak, masz rację, ale w moim wieku mogę już sobie pozwolić prawie na wszystko. Staruszkowie powinni traktować życie jako zabawę. - Ivy uśmiechnęła się promiennie. - Wiesz, zastanawiam się, czy nie założyć w naszym miasteczku Stowarzyszenia Czerwonych Kapeluszy. Należą tam kobiety po pięćdziesiątce. Wszystkie noszą fioletowe sukienki i czerwone kapelusze i robią wiele szokujących i zabawnych rzeczy. Bawią się, piją wspólnie herbatę, włączają się po

knajpach. Może zgodziłabym się, byś do nas dołączyła. Kto wie? -
Wyszła z pokoju.

Iris potrząsnęła głową i powróciła do lektury książki. W pewnym momencie poczuła, że ktoś ją obserwuje. Drzwi do pokoju prawie zawsze były otwarte, bo rzadko kto zapuszczał się aż na trzecie piętro.

Beth często zarzucała im, że są zbyt ufne i przyjdzie taki dzień, kiedy któryś z gości połakomi się na jakiś cenny bibelot. Na razie nic takiego nie miało miejsca i Iris wątpiła, że kiedykolwiek do tego dojdzie.

Beth w ogóle nie ufała ludziom, ale trudno się dziwić. Nie miała szczęśliwego dzieciństwa, a były mąż traktował ją naprawdę podle. Iris mimo wszystko wierzyła, że większość ludzi jest z natury dobra.

Zerknęła przez ramię w kierunku otwartych drzwi i zobaczyła jasnowłosą dziewczynkę. To musiała być córka Bradleya Donovana.

- Cześć - przywitała ją z uśmiechem. - Zgubiłaś się?

Dziewczynka, ubrana w dżinsy i różowy sweterek ozdobiony aplikacjami w kształcie serduszek, potrząsnęła głową.

- Nie. Po prostu chciałam sprawdzić, co tu jest. Ja i tata mieszkamy w tym pensjonacie.

- Wejdz, proszę - powiedziała Iris. Ta mała na pewno umie czytać i na pewno widziała tabliczkę z napisem: „Apartamenty prywatne”. - Ty chyba jesteś Stacy Donovan. Moja siostrzenica Beth opowiadała mi o tobie.

Dziewczynka skinęła głową i z wahaniem weszła do środka. Przez chwilę oglądała masywne meble, dywan i koronkowe firanki, a potem skrzywiła się.

- To wszystko musi być potwornie stare. Dom mojej babci wyglądał podobnie. Dobrze przynajmniej, że na meblach nie ma pokrowców.

Iris zamknęła książkę i przesiadła się na fotel przy kominku, wskazując dziewczynce sąsiedni.

- Nie mam wielu gości, a zawsze lubiłam rozmawiać z młodymi ludźmi. - Wciąż z rozrzewnieniem wspominała lata spędzone w szkole. Lubiła uczyć.

- Nic dziwnego, że nikt cię nie odwiedza - odparła Stacy, marszcząc z niesmakiem nos. - Co tu tak śmierdzi?

Iris zachnęła się zaskoczona. Nie przywykła do tak bezczelnych odzywek.

- Paliłam kadzidełko.

- Fajnie. - Stacy była naprawdę pod wrażeniem. - Popalasz czasem trawkę?

- Na Boga, nie! - krzyknęła przerażona Iris. - A ty?

- Skąd. Tata by mnie zabił. Poza tym marihuana uzależnia, a potem ludzie często sięgają po twardsze narkotyki. Dużo o tym wiem, bo mój tata jest lekarzem. A dlaczego palisz kadzidełka?

- Uczę się nowych zaklęć.

- Jesteś wiedźmą?

- Niektórzy tak o mnie mówią - odparła Iris z uśmiechem.

- Ale jazda!

- Może poczęstujesz się ciasteczkami. Mam owsiane.

- Fatalnie. Nie znoszę ich. - Widząc rozczarowanie na twarzy Iris, dziewczynka przypomniała sobie o dobrych manierach: - To znaczy nie, bardzo dziękuję.

- Opowiedz mi coś o sobie i twojej babci. Czy często ją odwiedzasz? - Iris zawsze chciała mieć dzieci i wnuki, niestety po tym, co się stało... Szybko odepchnęła bolesne wspomnienia.

Stacy wyjęła z kieszeni gumę i włożyła do ust.

- Babcia umarła, kiedy byłam małą, mama też. Mam tylko tatę i dziadka, który w dodatku gdzieś zniknął. Tata bardzo się o niego martwi.

Iris z trudem wytrzymała odgłos przeżuwania gumy i mlaskania, ale powstrzymała się od komentarza.

- Tak, Beth opowiadała mi o tym. Przykro mi z powodu twojej mamy. Śmierć bliskiej osoby jest zawsze bardzo bolesna. - Iris na chwilę zapatrzyła się w okno, zatopiona w myślach. Gdy odwróciła głowę w stronę dziewczynki, zobaczyła w jej oczach łzy.

- Mama chorowała na raka. Po jej śmierci tata długo nie mógł się pozbierać. Słyszałam, jak płacze po nocach, a myślałam, że tylko ja tak rozpaczam.

Iris zalała falą współczucia. To jasne, że Stacy jeszcze nie pogodziła się ze śmiercią matki.

- Ja też straciłam ukochaną osobę. To było dawno temu, ale wciąż to rozpamiętuję.

- To był twój mąż?

- Lyle i ja zamierzaliśmy się pobrać, ale stało się inaczej. Czasami Stwórca ma w stosunku do nas inne plany. Cóż można zrobić, trzeba to zaakceptować. - I trwać dalej, dodała w myślach, choć to takie trudne, zwłaszcza gdy jeden nieprzemyślany czyn zrujnuje całe twoje życie.

- Tak, tata mówił to samo. Czy twój chłopak był przystojny? Wiesz, mnie przystojniacy ze szkoły zupełnie ignorują. Może dlatego, że jestem płaska jak deska.

Iris pochyliła się i poklepała Stacy po kolanie.

- Kochanie, masz na te sprawy jeszcze mnóstwo czasu. Ciesz się swoją młodością, bo młodym jest się tylko raz. Często powtarzałam to Beth, kiedy dorastała. Jak widzisz, wyrosła na wspaniałą kobietę.

- Pewnie tak - odparła Stacy bez większego przekonania.

- Wracając do twojego pytania, to owszem, Lyle był bardzo przystojny. Najatrakcyjniejszy chłopak w naszym miasteczku. - Uśmiechnęła się łagodnie na wspomnienie jego czarnych włosów i błękitnych oczu. - Chcesz zobaczyć jego zdjęcie?

- Jasne.

Iris sięgnęła do szuflady pięknego mahoniowego stolika i wyciągnęła fotografię w srebrnej ramce.

- Zostało zrobione ponad pięćdziesiąt lat temu. Wkrótce mieliśmy się pobrać.

Stacy spojrzała na czarno-białą fotografię uśmiechniętego mężczyzny. Wyglądał, jakby cały świat leżał u jego stóp.

- Niezły, ale mój tata jest przystojniejszy. Lecą na niego wszystkie kobiety. Twoja siostrzenica też. Tata nie zamierza powtórnie

się ożenić. Wciąż kocha moją mamę. - Powiedziała to z tak wielkim przekonaniem, jakby zaklinała rzeczywistość.

Iris zabrała Stacy zdjęcie. Poczula, że do oczu napływają jej łzy. Jeszcze raz spojrzała na mężczyznę, którego kochała i z którym miała nadzieję dzielić życie. Jednak Lyle odszedł, a wraz z nim jej dziewczęce marzenia o szczęściu. Rozwiały się jak mgła, ale pozostaną na zawsze w jej sercu.

- Był dobrym człowiekiem. Spędziliśmy razem mnóstwo cudownych chwil. - Iris zauważyła, że Stacy czuje się bardzo nieswojo. Uśmiechnęła się przepraszająco i powiedziała: - Przepraszam, ale coraz częściej wspominam przeszłość. Rozmyślam, co mogło się zdarzyć, a co naprawdę się zdarzyło. To mnie zasmuca. Tak to już jest, kiedy się starzejemy.

- Nie smuć się. - Stacy ujęła pomarszczoną, pokrytą wątrobianymi plamami dłoń Iris. Czułość i delikatność dziewczynki mile zaskoczyły starszą panią. - Przynajmniej żyje w twoich wspomnieniach. Kiedy mnie jest smutno, tata mówi, że powinnam wspominać najmiłsze chwile, które spędziłam z mamą. Książki, które razem czytałyśmy, piosenki, które mi śpiewała. Dzięki temu zawsze będzie ze mną.

- Twój tata to bardzo mądry człowiek. Chętnie go poznam.

- Tak, jak na ojca jest zupełnie w porządku. - Stacy wstała z fotela. - Lepiej już pójdę. Jeśli tata po przebudzeniu zobaczy, że mnie nie ma, na pewno się zdenerwuje.

- Odwiedź mnie jeszcze kiedyś, Stacy. Przedstawię cię mojej siostrze. Ivy na pewno cię polubi.

- Czy ona też jest wiedźmą?

- Na Boga, nie! - Iris roześmiała się. - Ivy ma zupełnie inne zainteresowania. - Które pewnego dnia zapewne wpędzą ją w niezłe kłopoty, dodała w duchu.

Stacy pożegnała się grzecznie i wyszła. Iris przycisnęła do piersi fotografię Lyle'a i westchnęła rozdzierająco. Ciężko było starzeć się samotnie, choć z drugiej strony spędziła w samotności większość życia. Lyle McMurtry był ostatnim mężczyzną, którym się interesowała. W głębi serca i duszy czuła, że wciąż są jednością. Ani czas, ani śmierć nie mogą zniszczyć tak wielkiej miłości.

Szkoda, że Lyle nie potrafił tego zrozumieć. Kto wie, czy wówczas sprawy nie potoczyłyby się zupełnie inaczej.

Ku wielkiemu zadowoleniu Beth nowym szefem kuchni w pensjonacie została Lori Cooper. Pewnego dnia pojawiła się po prostu na progu i spytała, czy nie potrzebują kucharza. Potrzebowali, Beth zamieściła nawet kilka ogłoszeń. Lori była świetna, pracowała w kilku najlepszych restauracjach w Filadelfii. Terminowała u znakomitych mistrzów, a uczyła się w słynnej szkole kulinarnej w Nowym Jorku. Nie przedstawiła co prawda żadnych referencji, ale okazała się osobą na wskroś uczciwą i świetną w swoim fachu.

Mimo wszystko unosiła się nad nią mgiełka tajemnicy. Była drobna, ciemnowłosa i wyglądała na głęboko nieszczęśliwą osobę. Beth domyślała się, że Lori przeżyła jakąś tragedię. Świadczyło o tym choćby jej zachowanie. Często rozglądała się nerwowo, jakby spodziewając się ataku. Owszem, ten zawód był stresujący, mimo wszystko jednak zachowanie Lori było dość niezwykle.

Uroczyste otwarcie restauracji miało nastąpić w Święto Dziękczynienia, siłą rzeczy zatem Beth i Lori miały mnóstwo pracy. Musiały ułożyć menu, przyjąć i wyszkolić obsługę kuchenną i kelnerów.

Teraz siedziały obie przy stole w kuchni i oceniały posiłki, które Lori przygotowała na dzisiejszy wieczór. Goście pensjonatu byli bardzo zadowoleni i w specjalnie przygotowanej ankiecie wyrazili się bardzo pochlebnie. Brad Donovan napisał tylko jedno słowo: „wyśmienite”, co Beth sprawiło szczególną przyjemność.

- Twoja kaczka zrobiła furorę. Wszyscy zachwycali się wiśniowym sosem, z którym ją podałaś. Pilaw też był wspaniały, że już nie wspomnę o orzechowej tarcie. Jeśli tak dalej pójdzie, strasznie utyję.

- W takim razie będziemy podawać kaczkę tylko zimą. - Lori uśmiechnęła się. - Włączę jeszcze do menu pieczeń jagnięcą i cielece eskalopki. Mogłabym również podawać solę, o ile masz dobrego i zaufanego dostawcę.

Beth zapisała te wskazówki w notatniku, a potem spytała:

- A co sądzisz o truflach? Umiesz je przyrządzać?

Lori upiła łyk dietetycznej coli, którą zawsze miała pod ręką.

- Jasne, ale są dosyć drogie. Można je z powodzeniem zastąpić czymś innym. Sama mówiłaś, że nie masz za dużo pieniędzy.

- A co tam, zamówimy prawdziwe trufle. To ma być inauguracja w wielkim stylu. Chcę powalić wszystkich na kolana. Kilka wpływowych osób z miasteczka już zrobiło rezerwację, na przykład burmistrz Lindsay i Hilda Croft z towarzystwa historycznego. To

może być dla nas świetna reklama. Jeśli szepną o nas tu i tam dobre słówko, przetrwamy nawet martwy sezon.

Lori uwielbiała robić nadzienie z trufli, choć nie ona je wymyśliła. Korzystała z przepisu sławnego Billa Thackery'ego, z którym kiedyś pracowała. Wyjeżdżając z Filadelfii, zabrała jego słynną księgę z przepisami, a także komplet ukochanych noży.

Cóż, była pewna, że jej wyjazd zmartwił go o wiele mniej niż utrata noży.

Decyzja o opuszczeniu Billa nie należała do łatwych. Był jej mentorem, nauczył ją podstaw sztuki kulinarnej, za co będzie mu do śmierci wdzięczna. Marzyła jednak o tym, by wyrwać się spod jego skrzydeł i zaistnieć samodzielnie, nie jako jego protegowana. Szanowała go i uwielbiała, ale nie chciała z nim dłużej pracować. Był w pewnym sensie tyranem. Wymagał, by ściśle wykonywała jego polecenia, nie pozwalał na żadną inwencję. Czasami ze złości miała ochotę krzyczeć.

Z biegiem czasu zaczęli kłócić się niemal o każdy szczegół: składniki chili, temperatura, w jakiej powinno się podawać pieczoną kaczkę, i ile drożdży dodawać do ciasta chlebowego. Tuż przed wyjazdem Lori wybuchła między nimi piekielna awantura o pasztet z kaczych wątróbek, przygotowany przez Lori. Bill uznał, że smak jest zbyt „płaski”. W odwecie Lori ukradła mu noże i księgę z przepisami.

Ta ostatnia kłótnia przepełniła czarę goryczy. Lori uznała, że ma dość. Musi trochę odpocząć, a potem pomyśli, co dalej. Na szczęście trafiła do „Pensjonatu u Sióstr” i czuła, że uda się jej rozwinąć tu skrzydła.

Wiedziała, że Bill nie darzy jej miłością. Wciąż dręczyły ją wyrzuty sumienia, bo odeszła bez słowa wyjaśnienia. Pocieszała się, że przecież był jej coś winien, bo przez lata ciężko dla niego pracowała i była wobec niego lojalna. Utrata przepisów i kompletu noży była i tak małą karą za jego gwałtowne usposobienie, częste zmiany nastroju i paskudne traktowanie Lori. Modliła się, by nie wpadł na jej trop. Potrafił być groźny, a nie lubił przegrywać.

- Wszystko w porządku? Trochę zrzęda ci mina, zwłaszcza gdy wspomniałam o truflach. Zamów je i...

Lori potrząsnęła głową, uśmiechnęła się przeproszająco i wstała od stołu.

- Beth, nie chodzi o trufle. Po prostu jestem zmęczona. Jeśli mnie już nie potrzebujesz, pójdę się na chwilę położyć.

- Oczywiście, idź odpocząć. Wiesz co, rano przygotowuję śniadanie, żebyś mogła dłużej pospać. - Beth może i nie była tak wspaniałą kucharką jak Lori, ale potrafiła usmażyć jajka na bekonie.

- Nie trzeba, do jutra mi przejdzie, ale dzięki za troskę.

Zaintrygowana Beth przez chwilę patrzyła za Lori i po raz kolejny zachodziła w głowę, co też trapi tę młodą kobietę. Jednak nie dane jej było zbyt długo o tym rozmyślać, bo drzwi do kuchni otworzyły się i w progu stanął Brad Donovan. Po kolacji poszedł się przebrać, teraz był w dżinsach i niebieskiej koszulce polo.

Spojrzała na niego z uznaniem, ale zaraz potem pomyślała: O rany, co to za facet, skoro prasuje nawet dżinsy.

Perfekcjonista w każdym calu. Uwielbia uporządkowaną przestrzeń i marzy o idealnej partnerce. Zdystansowany, kontrolujący emocje. Czyli jej przeciwieństwo.

Jednak gdy się uśmiechał, w jego policzkach pojawiały się takie urocze dołeczki, a kiedy na nią patrzył, miała wrażenie, że to spojrzenie przenika ją na wskroś. Może dlatego czuła się przy nim trochę nieswojo.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale sama powiedziałaś, żebym czuł się tutaj jak w domu. Stacy poprosiła, żebym przyniósł jej szklankę mleka. Mogę?

- Oczywiście. Zaraz to załatwię. - Zamierzała wstać, lecz popchnął ją delikatnie na krzesło. - Nie rób tego. - Strząsnęła jego dłoń.

- Przepraszam, nie chciałem...

- Nieważne. - Beth wiedziała, że zareagowała zbyt gwałtownie. Nie lubiła, gdy dotykali jej ludzie, których niezbyt dobrze znała.

- Jeśli pozwolisz, przysiadę się na chwilę. Może uda mi się wyżebrać filiżankę kawy? Chyba ci nie przeszkadzam? Wiesz, czasami mam ochotę dla odmiany pogadać z kimś dorosłym.

Uśmiechnęła się ze zrozumieniem i wskazała dzbanek z kawą,

- Częstuj się.

- Dzięki. - Nalał kawę do dwóch kubków i usiadł obok Beth.

- Nie przeszkadzasz mi. Właśnie przeglądałam menu.

- Masz wspaniałego szefa kuchni. Kaczka bardzo mi smakowała. Była taka, jak lubię, soczyste mięso i chrupiąca skórka.

- Dziękuję. Chciałabym, by moja restauracja stała się słynna w okolicy. Z pomocą Lori może mi się uda.

- Na pewno. Dlaczego zajęłaś się tym interesem? Nie jesteś na to zbyt młoda? Większość pensjonatów, w których nocowałem, była zarządzana przez dość wiekowe małżeństwa.

Beth roześmiała się i upiła łyk kawy. Powoli zaczęła się rozluźniać. Brad Donovan okazał się niezłym kompanem, w dodatku słuchał tego, co miała do powiedzenia.

- Nie jestem taka młoda, jak ci się wydaje. - Opowiedziała, jak wspólnie z ciotkami postanowiły przekształcić rodzinną rezydencję w pensjonat. - Po rozwodzie byłam w dość kiepskim stanie. Musiałam czymś się zająć, a prowadzenie pensjonatu okazało się miłym zajęciem. To duże wyzwanie. Czasami jest trudno, ale gdy widzę zadowolonych gości, odczuwam wielką satysfakcję. Naprawdę.

- Pewnie nigdy nie czujesz się samotna, bo wciąż kręci się tu pełno ludzi. Po śmierci żony samotność bardzo mi doskwierała. Było gorzej, niż mógłbym to sobie wyobrazić. - Na chwilę zamknął oczy.

- Na co zmarła?

- Rak jajników - odparł ze smutkiem. - Zbyt późno ją zdiagnozowano. Już nic się nie dało zrobić.

- Tak mi przykro. Zostałeś sam z malutką córeczką. To musiało być straszne.

- Cóż, nie było łatwo. Pozbierałem się tylko dzięki Stacy. Pomogła mi zrozumieć, co jest ważne. Idę naprzód i nie rozpamiętuję przeszłości.

Było oczywiste, że nadal kochał zmarłą żonę. Musiało ich łączyć coś wyjątkowego, o czym Beth mogła tylko marzyć. Kiedy wychodziła za mąż, też wydawało się jej, że rozdzieli ich dopiero śmierć. Sparzyła się tak bardzo, że nie miała ani siły, ani ochoty, by podjąć kolejną próbę.

- To prawda, rzadko bywam sama. - Jednak czasami, gdy leżała w zimnej pościeli, tęskniła do ciepłych, czułych objęć. Owszem, Buster sprawdzał się jako ogrzewacz, ale to przecież nie to samo. - Mam ciotki, gości, no i psa. Czasami to trochę wkurzające, bo kiedy na przykład chcę obejrzeć film, ciągle ktoś mi przeszkadza.

- Nawet nie pamiętam, kiedy po raz ostatni oglądałem film. Zresztą bez Carol to już nie to samo, a Stacy ma zupełnie inny gust. Ja uwielbiam stare czarno-białe filmy.

- Dzieciaki w wieku Stacy lubią filmy akcji, no wiesz, strzelanina i wybuchy. Moja najlepsza przyjaciółka, Ellen, też to lubi. Jest wielką fanką Bruce'a Willisa. Zupełnie nie docenia szlachetnej prostoty i dyskretnego humoru klasycznych filmów. Ja lubię „Opowieść filadelfijską”, a ona twierdzi, że to porażająca nuda. Mam niezłą kolekcję starych filmów na DVD.

Zaczęła opowiadać o ulubionym filmie z Humphreym Bogartem i Lauren Bacali, a Brad słuchał jej z dużym zainteresowaniem. Podobał mu się uśmiech Beth, wesołe iskierki w oczach, pasja, z jaką rozprawiała o kunszcie aktorskim Bogarta.

Bez wątplenia Beth Randall była bardzo atrakcyjną kobietą. Spodobała mu się od pierwszego wejrzenia, a teraz dostrzegał w niej

jeszcze więcej zalet. Działała na niego równie mocno jak Carol, co go trochę peszyło.

Nie były do siebie podobne. Jasnowłosa i niebieskooka Carol przypominała chłodne piękności z filmów Hitchcocka. Beth miała na głowie burzę ciemnomiedzianych loków i wydawała się o wiele bardziej przystępna. Była wyluzowana, taka swojska i naturalna.

- Brad, czy coś się stało? Patrzysz na mnie, jakby wyrósł mi drugi nos.

- Nie, ten, który masz, jest wystarczająco ładny. Naprawdę. Spłonila się lekko i zawstydzona opuściła wzrok.

- Dziękuję - szepnęła.

- Byłbym wdzięczny, gdybyś powiedziała mi coś o moim ojcu.

Pytanie spadło na Beth zupełnie niespodziewanie. Próbowwała zachować spokój, przybrała nawet dość nonszalancką pozę.

- Niestety nie mam nic więcej do dodania. Nie rozmawiałam jeszcze z ciotkami - skłamała. - Zajmę się tym.

- Myślisz, że one coś wiedzą? Ilekroć wspominam o moim ojcu, robisz się dziwnie nerwowa. - Spojrzał na nią tak badawczo, jakby próbował czytać w jej myślach.

- Nerwowa? - Beth próbowała się roześmiać, ale dźwięk, który wydobył się z jej gardła, przypominał raczej skrzek. - Co ty wygadujesz, po prostu jestem zmęczona. Miałam ciężki dzień, więc jeśli pozwolisz...

Zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, wybiegła z kuchni. Dopiero gdy dotarła do pokoju, przypomniała sobie o mleku dla

Stacy. Trudno, nie zamierzała wracać do kuchni. Brad jakoś sobie poradzi.

Będzie go unikać, dopóki nie dowie się, kto jest pochowany w piwnicy.

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

Aubrey Fontaine był dumny zarówno ze swego bystrego umysłu, jak i dość dobrze zakonserwowanego ciała. Owszem, miał lekką nadwagę, ale nie mógł sobie odmówić pączków. Mimo to uważał jednak, że jak na pięćdziesięciolatka trzymał się zupełnie nieźle.

Nawykł do wydawania poleceń, które zawsze wykonywano bez słowa sprzeciwu. Chyba nigdy w życiu niczego nie uprał, nie ugotował ani nie odkurzył. Miał do tego ludzi. Właśnie dlatego patrzył teraz trochę przerażony na stos kartonów wypełnionych po brzegi papierami, gazetami i innym śmieciem, które znalazł w gościnnej sypialni matki. Myślał ze wzrastającym strachem o czekającym go zadaniu.

Isabel Fontaine zmarła pięć dni temu na raka jelita grubego. Dziękował za to niebiosom, bo pod koniec bardzo cierpiała. Zrobił wszystko, co w jego mocy. Opłacił prywatną pielęgniarkę i pojedynczy pokój w najlepszym szpitalu, ale czasami pieniądze to za mało. Tylko Bóg mógł uratować Isabel, ale widocznie nie chciał.

Aubrey westchnął ciężko i niecierpliwym gestem przeczesał rzednące siwe włosy. Był zły, bo nie miał czasu na porządkowanie rzeczy matki. Prowadził firmę, czekało go wiele ważnych rozmów. Dorobił się majątku, bo potrafił dobrze inwestować. Nie był stworzony do tego, by grzebać w jakichś starych szpargałach, jednak matka na łożu śmierci wymusiła na nim tę obietnicę.

Isabel była dobrą matką, choć niezbyt czułą, a obietnica to rzecz święta. Człowiek jest wart tyle, ile jest warte jego słowo. Wyznawał tę zasadę również w interesach. Uczciwy człowiek też może odnieść sukces, musi tylko być sprytniejszy niż konkurencja. Musi w porę dostrzec okazję i dobrze ją wykorzystać.

Zdjął marynarkę i krawat i usiadł na krześle. Podwinął rękawy koszuli i zaczął grzebać w kartonach. Już wcześniej uprzątnął z szafy ubrania rodziców, w tym również ojca, Chestera Fontaine'a, który zmarł na atak serca trzydzieści lat temu. Spakował wszystko porządnie i postanowił przekazać jakiejś organizacji dobroczynnej, najlepiej opiekującej się weteranami. Aubrey nie był w wojsku z powodu wady kręgosłupa, ale nigdy nie odmawiał pomocy tym biedakom, którzy mieli mniej szczęścia w życiu. Co równie ważne, darowizny mógł odpisać od podatku. Cholerne pijawki z urzędu skarbowego nieustannie patrzyły mu na ręce.

Odebrał dzwoniącą komórkę i usłyszał zaprawiony histerią głos swojej asystentki, Myry Lewis. Była bardzo kompetentna, ale zbyt często dawała się ponieść emocjom, co uważał za wysoce nieproduktywne.

- Powiedz temu dupkowi Connorsowi, że jeśli nie przystanie na nasze warunki, zrywamy rozmowy - przerwał jej gwałtownie. - Na litość boską, Myra, ja nie prowadzę organizacji dobroczynnej. Albo zgodzi się na moją cenę, albo rezygnuję z kupna tej posesji. Zrozumiałaś? - Gdy pisnęła, że tak, rozłączył się i zirytowany pokręcił głową.

Czasami marzył, by jego komórka przestała choć na chwilę dzwonić. Doceniał wagę tego wynalazku, lecz nieustanna łączność ze światem miała swoje ciemne strony. W dawnych czasach człowiek mógł po prostu wyjść z biura i cieszyć się spokojem. Teraz był niczym niewolnik, zawsze sprężony i gotowy. Komórką można było robić zdjęcia, wysyłać SMS-y i mejle... Ciekawe, co jeszcze wymyślą.

Na chwilę zapatrzył się w okno i znów westchnął ciężko, potem włączył starą metalową lampę i zaczął porządkować papiery matki. W jednej z szuflad biurka znalazł wyciąg bankowy. Ze zdumieniem odkrył, że matka zaoszczędziła prawie osiem tysięcy dolarów. Po śmierci ojca wspomagał ją finansowo, ale część z tych pieniędzy wpłacała na konto.

- No, no, mamó, kto by się spodziewał - mruknął. Pazerni kuzyni, którym zapisała tę sumę, na pewno się ucieszą. Aubrey, jako główny spadkobierca, miał otrzymać z polisy niewiele więcej, bo około dziesięciu tysięcy dolarów. To zapewne wystarczy na pochówek.

Odłożył papiery i wyciągnął z szuflady brązową skórzaną aktówkę. W środku było kilka pożółkłych wycinków z prowincjonalnej gazety "The Mediocrity Messenger". Nigdy nie był w Mediocrity, ale wiedział, że jest to małe rolnicze miasteczko, odległe o trzy godziny jazdy od przedmieść Filadelfii, gdzie obecnie mieszkał.

Nie znosił wsi, był miejskim chłopakiem. Dostawał drgawek na sam widok krowich placków, nie mówiąc już o smrodzie.

Pierwszy wycinek był o starym domu należącym do rodziny Swindelów. Aubrey nie pamiętał, by matka kiedykolwiek wspominała to nazwisko.

Nie mógł się mylić, bo szczylił się tym, że ma świetną pamięć do nazwisk i dat. W biznesie to prawdziwy dar. Czasami takie na pozór nieistotne szczegóły mogą zadecydować o sukcesie lub klęsce. On wiedział, że wszystko jest ważne, i mało co umykało jego uwadze.

Jako właściciela domu wymieniano wielebnego Swindela z kościoła Świętego Marka, pastora metodystów. Aubrey skrzywił się. Nie cenił zinstytucjonalizowanych kultów religijnych, nie wierzył też w przychylność niebios lub w szczęście. Mądrzy ludzie wiedzą, że sami są kowalowi własnego losu. Nie życzył sobie, by jakiś człowiek mieniący się namiestnikiem Boga wytykał mu grzechy. Sam dobrze wiedział, co robi źle, ale nie zamierzał za to pokutować.

Następny wycinek pochodził z kroniki towarzyskiej:

Pastor Swindel wraz z małżonką z przyjemnością zawiadamiają o zaręczynach ich córki Iris z Lyle'em McMurtrym, synem Davida i Louise McMurtrych, mieszkańców naszego miasta. Ślub planowany jest na wiosnę.

Wycinek pochodził z maja 1952 roku.

- Cóż, mam, na pewno miałaś jakiś powód, by przechowywać te śmieci. Tylko jaki? - Już miał schować wycinki z powrotem do szuflady, gdy zauważył jakiś urzędowy dokument.

Ze zdumieniem odkrył, że jest to metryka urodzenia. Zobaczył swoje imię. Dziwne, bo przecież jego metryka leżała w bankowym sejfie. Zapisano go jako Aubreya Swindela, a nie Fontaine'a.

Coraz bardziej zaszokowany, czytał wpisy w kolejnych rubrykach.

Imię matki: Iris Swindel

Imię ojca: Lyle McMurtry

Gdy wreszcie dotarło do niego, co odkrył, niemal zalała go krew.

- O kurwa! - krzyknął. Całe jego życie było jednym wielkim kłamstwem. - Na miłość boską, mamó,- dlaczego mi to zrobiłaś? Dlaczego, ty stara wredna suko? - Wciąż z niedowierzaniem patrzył na dokument. - Zrobiłaś ze mnie durnia. Oszukałaś mnie. Pewnie teraz zaśmiewasz się do rozpuku. Prawda, mamusiu?

Aubrey nienawidził niespodzianek, a już na tę, którą przygotowała mu mateczka, zupełnie nie był przygotowany. Nic dziwnego, że tak obsesyjnie upierała się, by przejrzał jej papiery. Chciała, by odkrył prawdę, by dowiedział się, kim byli jego prawdziwi rodzice.

- Dlaczego cały czas mnie okłamywałaś? Jak mogłaś mi to zrobić?

Odpowiedź na to pytanie nasuwała się sama: był bękartem.

Zmiał dokument i rzucił nim o ścianę. Potem kopnął pojemnik pełen śmieci, tak mocno, że cała zawartość wysypała się na podłogę. Wymyślał głośno przybranym rodzicom, przywołując z pamięci najgorsze obelgi. Teraz już nie mógł być niczego pewien.

Wreszcie trochę się uspokoił i w miejsce wściekłości pojawiła się ciekawość. Dlaczego Iris Swindel i Lyle McMurtry oddali go do adopcji? Czy był tak nędznym, niegodnym miłości stworzeniem, że

nawet własna matka nie chciała go zatrzymać? Musiał poznać odpowiedź na to pytanie, dlatego postanowił pojechać do Mediocrity i odszukać biologicznych rodziców. Jeśli jeszcze żyją, powinni to i owo mu wyjaśnić.

Ciężka praca zawsze oczyszczała jej umysł, dlatego Beth lubiła być zajęta. Ciotki często powtarzały, że gdy człowiek próżnuje, to diabeł harcuje. Po co zaprzątać sobie głowę jakimś szkieletem w piwnicy? Lepiej zebrać dynie i kalebasy z ogródka.

Rano obudziła się zmęczona, bo długo nie mogła zasnąć. Rozmyślała o znalezisku w piwnicy i o doktorze Bradleyu Donovanie. Zaczęła nawet liczyć barany, ale i to nie pomogło, tak samo jak na nic się nie zdało podziwianie różnorodnych dziurek pokrywających jej narzutę.

Kiedy wreszcie zasnęła, śniła o pewnym postawnym i przystojnym mężczyźnie. Jak by się czuła w jego ramionach? Czy delikatny dotyk jego rąk uleczyłby jej obolałe ciało i zranione serce?

By odegnąć te niestosowne rozważania, próbowała myśleć o Gregu, o ich nieudanym małżeństwie, niewierności męża i cierpieniach, jakich doznała. Chociaż bardzo się starała, w końcu musiała przyznać, że Brad Donovan był absolutnym przeciwieństwem Grega Randalla. To tak, jakby porównywała wizytę u dentysty z wakacjami na Karaibach.

Greg był bezwzględny i okrutny. Brad nie byłby zdolny do jakiegokolwiek podłości. To jednak jeszcze nie znaczyło, że powinna się nim zainteresować. Lepiej trzymać się na dystans, zwłaszcza dopóki nie wyjaśni się sprawa zniknięcia jego ojca.

Kłęcząc na zimnej ziemi, z zapalem wyrywała chwasty.
Spojrzała na czyste niebo, ciesząc się ciepłymi promieniami słońca.

- Ładnie dzisiaj, prawda, Buster? - zwróciła się do leżącego obok psa.

W odpowiedzi zamachał kilka razem ogonem. Ostrożnie wkładała małe dynie do koszyka, gdy nagle usłyszała czyjeś kroki. Buster poderwał się i zaczął energicznie machać ogonem.

Beth osłoniła oczy i ujrzała Stacy. Uśmiechnęła się na powitanie, ale nic nie powiedziała. Była zbyt zmęczona, by wdawać się w pogawędki z pyskatymi nastolatkami.

- Co robisz? - nieco napastliwie spytała dziewczynka i poklepała psa. Gdy Buster zaczął z zapalem lizać ją po dłoniach, zachichotała.

Po raz pierwszy Beth ujrzała uśmiech na jej twarzy.

- Zbieram dynie i kalebasy, by udekorować frontową werandę. - Wraz ze zmianą pór roku, Beth zmieniała również dekoracje, a jesień dawała jej szczególne pole do popisu. Oprócz dyń i kalebas wykorzystwała też kolby kukurydzy i zrobiła bukiety z suszonych liści. W tym roku była już trochę spóźniona.

- Po co robisz coś tak głupiego? - Stacy skrzywiła się, jakby zjadła cytrynę.

- Bo chcę, żeby pensjonat ładnie wyglądał. Pomożesz mi? - spytała odruchowo, bo tak naprawdę wcale nie pragnęła towarzystwa.

Kiedy Stacy pokręciła głową, Beth niemal odetchnęła z ulgą.

- Nudzę się, ale nie aż tak. Poza tym mój tata płaci za pobyt. Miałabym cię wyręczać w pracy? Jestem tu gościem.

- zaproponowałam ci to, bo pomyślałam, że się nudzisz.

Oczywiście nie musisz mi pomagać. Ty nie robisz nigdy żadnych dekoracji na Święto Dziękczynienia? Ja to uwielbiam.

- Robiłam, dopóki mama żyła. - Stacy wzruszyła ramionami. - Tę zupełnie przestało to obchodzić. W zeszłym roku nawet nie oświetlił domu na Boże Narodzenia, a w dodatku kupił sztuczną choinkę. Mama nigdy by na to nie pozwoliła, kochała żywe drzewka.

- Rozumiem.

- Nie, nic nie rozumiesz. Nie mów tak, bo nie wiesz, jak to jest stracić mamę.

Beth wstała powoli, otrzepała dzinsy. Z trudem zachowywała spokój. Ta dziewczynka reagowała jak ranne zwierzę, które atakuje wszystko, co stanie mu na drodze.

- Masz rację. Moja mama nadal żyje i mieszka w San Francisco. Tata odszedł od nas, gdy miałam dziesięć lat. Wiem, jak to jest stracić bliską osobę.

- Umarł? — spytała Stacy o wiele łagodniejszym tonem.

- Rodzice się rozwiedli. Nie widziałam ojca od wielu lat. -

Rodzice rozstali się w okropny sposób, głównie przez matkę, która nie szczydziła ojcu obelg i publicznych upokorzeń. Może i na to zasługiwał, lecz Beth nigdy nie umiała się pogodzić z tym, że matka pozbawiła ją ojca.

Zresztą on też nie był bez winy, bo nigdy nawet nie próbował się z nią skontaktować. Okazał się nieodpowiedzialnym, pozbawionym zasad tchórzem. Czasami zastanawiała się, czy założył nową rodzinę. Może miał dzieci, na które przelał całą miłość. Gdy była młodsza,

często o tym myślała. Nawet teraz, chociaż minęło wiele lat, wciąż cierpiała z tego powodu.

Kochała dwóch mężczyzn i obaj ją zawiedli, a potem porzucili. Już nigdy nie odda swego serca żadnemu mężczyźnie.

- To nie to samo. Moja mama już nigdy nie wróci — oznajmiła Stacy agresywnym tonem. - Ty być może jeszcze zobaczysz ojca.

Beth pomyślała, że to raczej mało prawdopodobne, ale nie chciała ciągnąć tego tematu.

- Tęsknisz za mamą, prawda? Twój tata powiedział mi...

Stacy zacisnęła dłonie w pięści, jej oczy rzucały gromy.

- Trzymaj się z daleka od mojego taty! - krzyknęła. - On nie szuka żony, nie rób sobie złudnych nadziei. Dużo kobiet próbowało go poderwać, ale on kocha tylko moją mamę.

- Posłuchaj, Stacy. - Beth z trudem zachowywała spokój. - Nie marzę o ślubie z twoim tatą ani z nikim innym. Moje małżeństwo zakończyło się paskudnym rozwodem. To było bolesne doświadczenie, którego nie zamierzam powtarzać.

- Nic dziwnego, że mąż się z tobą rozwiódł. Nie jesteś ani ładna, ani zbyt mądra.

Beth przez chwilę stała jak ogłuszona. Nie wiedziała, jak zareagować. Przez wiele lat Greg częstował ją podobnymi uwagami, aż w końcu udało mu się osłabić jej wiarę w siebie.

- Czy ktoś ci już kiedyś powiedział, że jesteś wyjątkowo niesympatyczna?

Stacy wyglądała na lekko oszołomioną. Jej twarz była zupełnie pozbawiona wyrazu, ale policzki nieco się zaróżowiły. Czyżby ze wstydu? - zastanawiała się Beth.

- Nie mów mojemu tacie, co ci powiedziałam, dobra? Na pewno by się wściekł, a ja byłabym uziemiona.

- Zastanowię się, ale tylko jeśli mi obiecasz, że będziesz najpierw myśleć, a potem mówić. Słowa ranią bardziej niż pociski. Na pewno coś o tym wiesz. - Gimnazjum i liceum to niezła szkoła życia, nawet dla tych najbardziej wyszczekanych dzieciaków. Zawsze znajdzie się ktoś większy, silniejszy, bardziej wygadany, kto sprowadzi cię do parteru. Stacy wkrótce się o tym przekona, o ile jeszcze o tym nie wiedziała.

- No dobra. - Stacy kiwnęła głową, a nawet lekko się uśmiechnęła.

- A tak przy okazji, czy tata wie, gdzie się podziewasz?

- Powiedziałam mu, że wybieram się na spacer. Poza tym jest bardzo zajęty i na pewno nie chciałby, żebym mu przeszkadzała.

- Wątpię. A co właściwie robi?

- Siedzi na werandzie i rozmawia z twoimi ciotkami. Próbuje ustalić, czy wiedzą coś o zniknięciu dziadka.

- Naprawdę? - szepnęła bliska paniki Beth. Ciotki były nieprzewidywalne. Mogły nagadać Bradowi różnych głupot i ściągnąć na siebie podejrzenia.

Dlaczego Bradley Donovan pojawił się w jej życiu właśnie teraz? Nie potrzebowała dalszych komplikacji. Nie chodziło tylko o dociekliwe, niewygodne pytania, które zadawał na temat swojego

ojca. Brad sprawiał, że odczuwała emocje, których absolutnie sobie nie życzyła i na które nie mogła sobie pozwolić. Pożądanie, zauroczenie, pragnienie bliskości. Komu to potrzebne? Mnie na pewno nie, bo mam zbyt wiele do stracenia, pomyślała.

- Pójdę sprawdzić, co porabiają moi goście, i muszę jeszcze udekorować werandę.

- Czy mogę wziąć Bustera na spacer? Nie pójdziemy daleko.

Buster, który energicznie wymachiwał ogonem i cały czas krążył wokół Stacy, wydawał się zachwycony tym pomysłem. Beth wiedziała jednak, że nie będzie zbyt długo towarzyszył dziewczynce. Był raczej tchórzliwy, a gdy miał już dość spaceru, po prostu wracał sam do domu.

- Dobrze, ale nie pozwól mu wchodzić do stawu. O tej porze roku woda jest już zimna i mógłby się przeziębic.

Gdy tylko dziewczynka i pies ruszyli w stronę pobliskich pól, Beth wzięła koszyk i skierowała się na werandę. Oby tylko Iris i Ivy znów czegoś nie zmalowały.

Szczerze mówiąc, szanse na to są zerowe.

Ledwie o tym pomyślała, zaczęła biec.

- Może dolać panu jabłecznika, doktorze Donovan? - spytała Iris. - Beth robi najlepszy jabłecznik na świecie. Używa cynamonu w laskach, a nie tego sproszkowanego.

Brad uśmiechnął się do obu kobiet. Siedziały naprzeciwko niego na białych bujanych fotelach i wyglądały jak bóstwa opiekuńcze kwiatnych ogrodów. Iris miała sukienkę w róże, a Ivy w

niezapominajki. Ich białe włosy przypominały kępki bawełny. Panie zachowywały się dość dziwnie, ale poza tym były urocze.

- Nie, dziękuję. Jest pyszny, ale mam już dość. Hm...

zastanawiam się, czy panie mogłyby mi odpowiedzieć na kilka pytań dotyczących mojego ojca. Bardzo się o niego martwię. Dawno nie miałem od niego żadnych wieści, a to zupełnie nie w jego stylu. - Brad rano sprawdził nagrania na domowej sekretarce i mejle.

Iris spojrzała znacząco na Ivy, przez moment coś rozważała w myślach, a potem odparła:

- Doktorze Donovan, nie bardzo rozumiem, o co panu chodzi. Jak już powiedziałyśmy Beth, nie zdążyłyśmy zbyt dobrze poznać pana ojca. O ile mnie pamięć nie myli, mieszkał u nas dość krótko.

- Siostra ma chyba początki sklerozy. - Ivy uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

Patrząc na starsze panie, Brad coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że nic z nich nie wyciągnie. Siedział tu z nimi od dwudziestu pięciu minut, rozmawiali o wszystkim, tylko nie o jego ojcu. Intuicja podpowiadała mu, że Iris i Ivy wiedzą znacznie więcej, niż mówią. To samo zresztą dotyczyło Beth. Wszystkie trzy odpowiadały wymijająco na jego pytania lub wręcz zbywały je milczeniem.

Ani starsze panie, ani Beth nie potrafiły kłamać. W twarzy Beth mógł czytać jak w otwartej księdze. Po wczorajszej rozmowie doszedł do wniosku, że coś przed nim ukrywa i próbuje kogoś chronić.

Wybiegła z kuchni jak oparzona, bo nie miała ochoty odpowiadać na jego pytania.

- Jakie wrażenie sprawił na was mój ojciec? Był zły, przybity, zakłopotany? To mogłoby mi pomóc w poszukiwaniach. - Najbardziej obawiał się, że ojciec w nagłym ataku demencji błąka się gdzieś bez celu.

Ostatnio Robert Donovan cierpiał na depresję. Brad namawiał go na wizytę u lekarza, przekonywał, że są lekarstwa, które mogą mu pomóc. Ojciec tylko się zdenerwował i oświadczył, że jest zupełnie zdrow na ciele i umyśle, a najlepszym lekarstwem będą dla niego świeże powietrze i zmiana otoczenia.

- Wydawał się bardzo nieszczęśliwy i przybity - wyznała Ivy, potwierdzając najgorsze przypuszczenia Brada. - Po rozmowie z nim uznaliśmy, że trzeba mu pomóc. Najdelikatniej, jak to możliwe.

- Ivy! - Iris potrząsnęła głową i spojrzała karcąco na siostrę. Potem uśmiechnęła się do Brada, który patrzył na nią pytająco, nie kryjąc przestachu. - Ivy lubi trochę koloryzować, doktorze Donovan. Proszę jej wybaczyć.

- Co panie miały na myśli, mówiąc „najdelikatniej, jak to możliwe”. Proszę mi to wyjaśnić zażądał.

Starsze panie zaczęły się nerwowo wiercić. Niedobrze, pomyślał Brad. Im więcej z nich wyciągał, tym bardziej był zaniepokojony.

- Nasza siostrzenica często mówi do siebie. Zauważył pan to, doktorze Donovan? - spytała Iris, podsuwając mu talerz ze słodkimi bułeczkami.

- Proszę zjeść jeszcze jedną. - Uśmiechnęła się promiennie.

- Nie, dziękuję. A wracając do mojego ojca...

- Martwimy się, że Beth ponownie nie wyjdzie za mąż - dodała Ivy. - Bez przerwy czyta romanse i ogląda komedie romantyczne. Uwielbia Cary'ego Granta i Katharine Hepburn. Według mnie żyje w nierealnym świecie. - Westchnęła dramatycznie. - Niedobrze, naprawdę fatalnie.

Oszołomiony nieco tymi informacjami Brad popadł w krótkotrwałą zadumę.

- Naprawdę? - mruknął. - Nigdy bym tego o niej nie powiedział. Owszem, Beth powiedziała mi, że lubi stare filmy, ale według mnie stąpa twardo po ziemi. Nie słyszałem też, by mówiła do siebie. Jak często jej się to zdarza?

- Bez przerwy - pośpieszyła z odpowiedzią Iris. - Co gorsza, czasami zadaje sobie pytania i sama na nie odpowiada.

Brad aż zamrugał ze zdziwienia. W tej rodzinie szaleństwo chyba jest dziedziczne.

- Jej małżeństwo było wyjątkowo nieudane. Myślę, że teraz Beth czeka na rycerza w lśniącej zbroi. - Ivy ugryzła kawałek bułeczki i po chwili kontynuowała: - Dzisiaj młode kobiety są takie delikatne i wrażliwe. Trudno im mierzyć się z brutalną rzeczywistością.

- Ivy, chyba jesteś trochę niesprawiedliwa - napomniała siostrę Iris. - Beth świetnie sobie radzi. Sama zarządza całym pensjonatem.

- Owszem, ale znalazła tu też bezpieczną kryjówkę, prawda? Kobieta w wieku Beth nie powinna spędzać tyle czasu z dwoma starszymi paniami. Dlaczego nigdzie nie wychodzi, nie cieszy się życiem? Oby tylko małżeństwo z tym okropnym Gregiem Randallem

nie sprowadziło jej na złą drogę. Przestała interesować się mężczyznami i być może... no, sami wiecie.

Brad na chwilę zastygł z otwartymi ustami. Mógłby powiedzieć o Beth wiele rzeczy, ale na pewno nie to, że jest lesbijką. Nie, to niedorzeczne.

- Ivy Swindel! Co ty wygadujesz!

- Mówię, co myślę. - Ivy wzruszyła ramionami, wyraźnie urażona.

Kiedy Brad odwrócił się, by pomachać na pożegnanie państwu Rogersom, którzy wybierali się na wycieczkę, uśmiechnęła się i mrugnęła porozumiewawczo do siostry.

- Gdzie się podziewa Beth? - Iris zerknęła na zegarek. - Powiedziała, że w ogrodzie nie będzie zbyt długo.

- Może pójde jej poszukać? - zaproponował Brad. Czuł, że jeśli zostanie tu choćby jeszcze chwilę dłużej, to zwariuje.

Nawet nie zdążył wstać z krzesła, gdy na werandę wkroczyła Beth. W ręku trzymała koszyk, w który piętrzyły się dynie i kalebasy. Miała zaróżowione policzki, a włosy w nieładzie, lecz jej uśmiech z pewnością olśniłby najbardziej nieczułego człowieka.

- Dzień dobry wszystkim. Przepraszam za spóźnienie.

- Widziałaś może Stacy? - zapytał. - Nie chcę, by włóczyła się po okolicy. Nie zna tego miejsca i może się zgubić.

- Rozmawiałam z nią kilka minut temu. Poszła na spacer z Busterem. Nie martw się, nic jej nie będzie. W okolicy nie czyhają na nią żadne niebezpieczeństwa.

- Doktor Donovan wypytywał nas o swojego ojca - oznajmiła Iris. - Niestety nie mamy w tej sprawie wiele do powiedzenia.

- Na pewno próbowaliście pomóc. - Beth podziękowała Bogu, że tym razem ciotki wykazały się przytomnością umysłu i trzymały język za zębami.

- Tak. Niektóre wypowiedzi twoich ciotek okazały się bardzo... inspirujące.

Komentarz Brada nieco zbił ją z tropu. Dzisiaj zachowywał się zupełnie inaczej. Wydawał się mniej przyjacielski i otwarty. Zresztą może jej się tylko coś ubzdurało. Nie pierwszy i nie ostatni raz. Możliwe też, że po przykrych uwagach Stacy dopatrywała się ukrytego znaczenia tam, gdzie go wcale nie było.

- To prawda, od moich ciotek można się wiele nauczyć.

Starsze panie zachichotały, a potem wstały.

- Zostawiamy cię sam na sam z doktorem Donovanem - oznajmiła Ivy, rzucając siostrze porozumiewawcze spojrzenie. - Iris uczy się nowych zaklęć, próbuje wskrzeszać zmarłych - wyjaśniła Bradowi, który aż zaniemówił ze zdumienia.

- Idźcie do siebie i trochę odpocznijcie. Nie wolno wam się przemęczać. - Beth poczuła, że palą ją policzki. Uśmiechnęła się przepraszająco do Brada. Ciekawe, co też sobie pomyślał.

Jej ciotki zachowywały się jak wariatki. Były wariatkami!

Kątem oka zauważyła Bustera. Biegł przez trawnik, trzymając w pysku dużą kość.

- Ożeż ty...! - krzyknęła, a potem szybko zakryła usta dłonią. Zerknęła na Brada, by przekonać się, czy ją usłyszał.

Cholera, co za okropny dzień... a właściwie rok.

- Co takiego? - Brad spojrział na nią dziwnie.

- Nic, po prostu zobaczyłam mojego psa. Chyba... wygrzebał coś... ze śmieci. Tak, to na pewno ze śmietnika. Wstydź się, Buster!

Drzwi od piwnicy były wypaczone i same się otwierały. Czy właśnie tam Buster znalazł kolejną kość?

Cholera jasna!

A jeśli Stacy widziała, jak Buster wykopuje kości, i powiedziała o tym ojcu?

Beth zgrabnie przeskoczyła przez poręcz werandy, do czego zresztą wprawiała się od dziecka, i pobiegła do psa. Musi natychmiast uprzątnąć piwnicę, zanim doktor Bradley Donovan zawiezie je wszystkie do psychiatryka lub na posterunek.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Brad cały dzień myślał o Beth. Próbował sobie wmówić, że z powodu jej dziwnego zachowania, ale chodziło o coś więcej.

Był nią zauroczony. Uwielbiał jej śmiech, sposób, w jaki marszczyła nos, lubił patrzeć, jak się porusza. Uważał, że ma świetną figurę. Jednocześnie martwiło go, że może być zamieszana w zniknięcie jego ojca.

No i była jeszcze jedna sprawa. Beth bardzo mu się podobała, ale więcej ich dzieliło, niż łączyło. Żyła chwilą, a on lubił wszystko planować i nie pozostawiał niczego przypadkowi. Wykupił nawet miejsce na cmentarzu, tuż przy Carol, i od dawna zbierał pieniądze na dalszą edukację Stacy. Starannie dobierał ubrania, podczas gdy Beth chyba wkładała to, co akurat wyciągnęła z szafy. Z drugiej strony jednak trzeba przyznać, że we wszystkim było jej do twarzy. Mimo tych różnic, coraz bardziej go fascynowała.

Była pełna pasji, kochała ciotki, z oddaniem prowadziła pensjonat. Ciekawe, jaką byłaby kochanką. Na pewno wspaniałą, był o tym przekonany. Miała temperament.

Nie bała się ciężkiej pracy. Uprawiała ogród, pomagała w kuchni, sprzątała pokoje gościnne. Była też wyjątkowo miła. Rozmawiając z jego córką, nie okazywała zniecierpliwienia ani gniewu, choć Stacy zachowywała się okropnie.

Zobaczył, że Beth niesie do śmietnika dwa wypchane worki plastikowe.

- Pomóc ci? - zapytał.

Jęknęła głośno i złapała się za gardło.

- Ale mnie wystraszyłeś. Nie powinieneś się tak skradać.

Chcesz, żebym umarła na atak serca? Wstydz się.

- Przepraszam. - Wskazał na worki i potrząsnął głową. - Chyba powinnaś je zawiązać. Gdy je tak po prostu wrzucisz do pojemnika, narobisz straszego bałaganu.

Nie potrafił ukryć oburzenia, co ją wyraźnie rozbawiło.

- To już nie moje zmartwienie. A ty co, patrol śmieciowy?

Wiesz co, lepiej wejdź do środka, jest bardzo zimno.

- Przyłączysz się do mnie? Zamierzałem przejść się nad staw.

- Sama nie wiem... - Zawahała się.

- Chodź. - Ujął jej dłoń. - Według mnie potrzebujesz chwili oddechu. Zbyt ciężko pracujesz.

Ich dłonie wydawały się dla siebie stworzone.

- Wiesz, nikt tego za mnie nie robi - wyjaśniła. - Są dni, kiedy padam z nóg i mam wszystkiego dosyć, ale są też takie, kiedy czuję dobrą energię emanującą z tego miejsca i czuję się szczęśliwa.

- To tak jak w mojej pracy. Bywa męcząca jak diabli, ale trzyma mnie przy życiu.

- Ratujesz ludziom życie. To musi być wspaniałe uczucie.

Uśmiechnął się, usiadł na zwałonym pniu i pociągnął ją ku sobie.

- Tak, nieporównywalne z niczym. Warto tak długo się uczyć i ciężko pracować, by tego doświadczyć.

- Świetnie cię rozumiem. To miejsce jest dla mnie wszystkim. Nigdy nie sądziłam, że mi się uda. Po rozwodzie straciłam resztki pewności siebie.

- Sprawiasz wręcz przeciwne wrażenie.

- Moja matka ma dość trudny charakter i silną osobowość.

Często mnie krytykowała i w końcu uwierzyłam, że wszystko robię źle. Na studiach poznałam Grega Randalla. Pochlebiało mi jego zainteresowanie, więc kiedy wreszcie poprosił mnie o rękę, natychmiast się zgodziłam. Marzyłam o tym, by wyrwać się z domu, uciec od wiecznie niezadowolonej matki.

- Jednak sprawy potoczyły się nie tak, jak sobie wymarzyłaś.

- Małżeństwo z Gregiem nie rozwiązało moich problemów. - Westchnęła ciężko. - Właściwie jeszcze je pogłębiło. Udało mi się wyjść z cienia matki, ale Greg jeszcze bardziej mnie przytłoczył. Nie pozwolił mi być sobą. Straciłam resztki pewności siebie, ogarnęło mnie zwątpienie. Dopiero po latach zrozumiałam, że nie powinnam była wychodzić za niego za męża, a przede wszystkim że nie jestem tak głupia i żalosna, jak próbował mi wmówić. Po raz pierwszy w życiu jestem naprawdę szczęśliwa. Robię coś ważnego i dobrze sobie radzę. Lubię siebie taką, jaką teraz jestem.

- Ja też cię taką lubię, Beth. - Objął ją i tym razem nie straciła jego dłoni. - Dziękuję, że mi to wszystko powiedziałaś.

- Sama nie wiem, co mnie do tego skłoniło. Przepraszam, chyba jestem bardziej zmęczona, niż myślałam.

- A może po prostu musiałaś z kimś pogadać. Ja też czasami odczuwam taką potrzebę.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Zobaczył w jej oczach tęsknotę, ale też strach. Pragnął ją pocałować, ale wiedział, że nie pozwoliłaby mu na to.

Poczuł się zupełnie zagubiony.

Phinneas Pickens zajmował się kredytami w jedynym banku w Mediocrity od dwudziestu lat. Cieszył się powszechnym szacunkiem.

Ubierał się zawsze z niezwykłą starannością. Do pracy zakładał trzyczęściowy garnitur. W kieszonce marynarki nosił złoty zegarek na długim łańcuszku, spadek po dziadku. Miał zwyczaj sprawdzać czas mniej więcej co piętnaście minut, by upewnić się, że wszystko przebiega zgodnie z ustalonym planem.

Punktualność uważał za jedną z najważniejszych cnót. Matka wbiła mu to głowy, gdy miał sześć lat i pewnego dnia spóźnił się na kolację. Dostał takie lanie, że przez tydzień nie mógł siedzieć. To było jego pierwsze i ostatnie spóźnienie.

Miał wiele rutynowych nawyków, których obsesyjnie się trzymał. Tego słonecznego popołudnia jadł obiad w „Emma's Cafe” na Main Street. Jadał tu pięć razy w tygodniu. Zawsze.

We wtorki Emma serwowała klopsy, które Phinneas uwielbiał. Szczerze mówiąc, uwielbiał wszystko, co gotowała Emma Harris, bo wytwory kulinarne jego żony pozostawiała, mówiąc łagodnie, wiele do życzenia. Finnola miała kłopot nawet z zagotowaniem wody. Szczerze kochał żonę, ale nienawidził jej kuchni.

Przy tym samym stole siedział Seth Murdock, miejscowy szeryf, jeden z najlepszych przyjaciół Phinneasa. Był to wysoki, postawny mężczyzna, znany z wilczego apetytu i zamiłowania do wędkowania.

Musiał szyć mundury na miarę, bo z wiekiem jego brzuch rozrósł się do potężnych rozmiarów. Tak to już jest, gdy ktoś wlewa w siebie hektolitry piwa i zagryza solonymi orzeszkami.

- Wczoraj byłem na inspekcji w domu Swindelów - poinformował przyjaciela Phinneas. Włożył do ust kolejną porcję tłuczonych ziemniaków i aż westchnął z zachwytem. Swoją drogą ciekawe, dlaczego w puree Finnoli jest zawsze tyle obrzydliwych i twardych grudek. - Beth wystąpiła o kredyt, bo chce skończyć remont pensjonatu. Ciekaw jestem, czy sobie poradzi.

Szeryf pokiwał głową.

- Według mnie to tylko wyrzucanie pieniędzy w błoto. Nigdy nie lubiłem tych dwóch starych wiedźm. Mój ojciec też im nie ufał. - Zjadł trochę brukselki i mówił dalej: - Jeśli chcesz znać moje zdanie, to uważam, że wtedy, przed laty, zamordowały narzeczonego Iris. To niemożliwe, żeby facet tak po prostu rozpląnął się w powietrzu. Te czarownice go załatwiły. Ugotowały go we wrzącym oleju, a potem jeszcze rzuciły na niego klątwę. Tak, to prawdziwe wiedźmy. Mój tata był przekonany o ich winie, ale nie miał dowodów. Może mnie bardziej się poszczęści. Nie spocznę, póki nie rozwiążę tej sprawy.

- Ja też czuję się w ich towarzystwie bardzo nieswojo. - Phinneas pokiwał głową. - Ivy Swindel była niedawno w banku. Próbowałem za wszelką cenę jej uniknąć, ale to równie bezskuteczne, jak gdybyś próbował przejść suchą nogą przez ocean. Nie mogę znieść tych jej gadek o starych czasach, kiedy jeszcze byłem jej uczniem. Według niej fatalnym, co tylko świadczy, że Ivy Swindel ma już potężną sklerozę. Zawsze bardzo dobrze się uczyłem. Jednak bardzo lubię ich

siostrzenicę - dodał z o wiele łagodniejszym wyrazem twarzy. - To dobra kobieta i ciężko pracuje. Nic dziwnego, że chce stanąć na nogi po nieudanym małżeństwie z trenerem Randallem. - Zniesmaczony potrząsnął głową. - Ależ to był skandal. Swoją drogą, ten facet to kompletny idiota.

- Rozumiem twój punkt widzenia, ale często powtarzano mi, że jabłko nie pada daleko od jabłoni. Według mnie Beth też nie jest takim niewiniątkiem. Nie mówi nam wszystkiego, pewnie kryje te dwie stare wiedźmy.

- Co ty opowiadasz! Kiedy zniknął Lyle McMurtry, Beth jeszcze nie było na świecie.

- Nie wiem, po prostu mam takie przeczucie. - Szeryf pokręcił głową, a potem poklepał się po potężnym brzuchu. - Pyszny klops.

Przy sąsiednim stoliku Brad w milczeniu zajadał kanapkę z indykiem. Odwiózł Stacy do kina, a teraz postanowił się posilić. Uznał, że jedzenie w tej knajpce jest o wiele gorsze niż w pensjonacie.

Nie zamierzał tu długo przesiadywać, ale kiedy szeryf zaczął mówić o siostrach Swindel i zaginionym narzeczonemu Iris, zainteresował się sprawą. Najpierw zaginął Lyle McMurtry, teraz jego ojciec. Czy te sprawy coś łączy, czy to zwykły zbieg okoliczności? Postanowił to wyjaśnić.

Odwrócił się na krześle i delikatnie klepnął szeryfa w ramię.

- Przepraszam, szeryfie, jestem doktor Bradley Donovan z Charlottesville z Wirginii. Przypadkiem usłyszałem, jak panowie rozmawiają o siostrach Swindel.

Szeryf uśmiechnął się i wyciągnął dłoń.

- Witamy w Mediocrity. Nazywam się Seth Murdock. W czym mogę panu pomóc?

- Szeryfie, nie przyjechałem tu na wakacje. Zatrzymałem się w „Pensjonacie u Sióstr”, bo tam po raz ostatni widziano mojego zaginionego ojca.

Szeryf uniósł brwi, potem szepnął coś Phinneasowi na ucho i przysiadł się do stolika Brada.

- A więc pana ojciec zaginał. Kiedy to się stało? - Mówił bardzo cicho, co chwila rozglądając się na boki, by sprawdzić, czy nikt ich nie podsłuchuje. Wnosząc z jego zachowania, produkowanie i roznoszenie plotek było ulubionym zajęciem mieszkańców Mediocrity.

- Ojciec wyjechał sześć tygodni temu - wyjaśnił Brad, a potem wspomniał o pocztówce z pensjonatu.

- Czy zawiadomił pan policję z Charlottesville, doktorze?

- Nie, myślałem, że jest na to jeszcze za wcześnie, jednak teraz naprawdę się martwię, zwłaszcza po tym, co pan powiedział o zaginionym narzeczoną panny Swindel. - Ledwie to powiedział przypomniał mu się film „Arszenik i stare koronki”.

- Te dwie starsze panie są naprawdę bardzo dziwne. Coś mi mówi, że nie mają zupełnie czystego sumienia.

- Rozmawiałem z nimi o moim ojcu - przyznał coraz bardziej ponury Brad. - Powiedziały, że nic nie wiedzą, ale według mnie kłamią.

- Dlaczego pan tak sądzi? - ożywił się szeryf.

- Moje pytania były im nie w smak. Panny Swindel zrobiły się bardzo nerwowe. Od razu wyczułem, że nie chcą rozmawiać o moim ojcu. Unikały odpowiedzi na moje pytania.

- A Beth?

Brad wzruszył ramionami, zastanawiając się, jak dużo powinien powiedzieć. Nie chciał szkodzić Beth, bo mogło okazać się, że jest zupełnie niewinna. Jednak jeśli coś ukrywała, a według niego tak właśnie było, trzeba to wyjaśnić. Od tego mogło zależeć życie jego ojca.

- Pani Randall też nie chciała ze mną rozmawiać i unikała odpowiedzi na moje pytania. Nie muszę panom mówić, jak bardzo się martwię. Ojciec nigdy w ten sposób nie zniknął, nawet gdy wyjeżdżał, był z nami w stałym kontakcie. Przysyłał kartki albo dzwonił i zawiadamiał, gdzie jest i kiedy wróci. Wczoraj odsłuchiłem wiadomości na mojej domowej sekretarce. Ojciec wciąż się nie odezwał.

- Jak pan myśli, co się stało?

- Nie mam pojęcia. - Brad potarł kark. - Mam nadzieję, że nic złego.

Murdock pochylił się i spojrzał badawczo na Brada.

- Czy według pana siostry Swindel miały coś wspólnego ze zniknięciem pańskiego ojca?

- Być może. - Westchnął ciężko. - A co pan o tym sądzi? Może ma pan jakieś informacje, które mogłyby mi pomóc? Dotąd słyszałem tylko dość mętne opowieści. Jak to właściwie było z narzeczoną Iris?

- Lyle McMurtry i Iris Swindel zaręczyli się niedługo przed jego zniknięciem - zaczął szeryf. - Tych dwoje szaleńczo się kochało, tak przynajmniej twierdził mój ojciec, ale potem coś się popsuło. Tak naprawdę nikt nie wiedział, o co chodzi. Podejrzewam, że McMurtry ją oszukał, a Iris to odkryła. Musiała się na niego bardzo rozgniewać, bo nagle zniknął. Zresztą ona też znikła na kilka miesięcy. Myślę, że Iris zamordowała narzeczonego w szale zazdrości, a następnie, oczywiście z pomocą siostry, pozbyła się ciała. Później musiała na jakiś czas zniknąć, by wszystko się uspokoiło. Mój ojciec nigdy nie odnalazł ciała McMurtry'ego, dlatego nie mógł aresztować tej starej wiedźmy.

- Ta historia raczej nie pomoże mi wyjaśnić, co stało się z moim ojcem. Będę musiał jeszcze raz porozmawiać z pannami Swindel. Mocno je przycisnę i wreszcie zaczną mówić.

- Najpierw, doktorze Donovan, powinien pan przyjść na posterunek i zgłosić zaginięcie. Tego wymaga procedura i na tej podstawie będę mógł wszcząć oficjalne śledztwo. Niech pan da spokój tej sprawie, lepiej zostawić to zawodowcom. - Szeryf wręczył Bradowi wizytówkę. - Po skończonym posiłku wracam od razu do biura. Proszę przyjść, natychmiast nadamy sprawie odpowiedni bieg. Musi pan złożyć pisemne oświadczenie, podać rysopis ojca i tak dalej. Bardzo prawdopodobne, że pański ojciec po prostu stracił poczucie czasu, ale lepiej to sprawdzić.

- Przyjdę na pewno. Dziękuję, szeryfie. Doceniam, że jest pan taki chętny do pomocy.

- Przede mną szeryfem był mój świętej pamięci ojciec.

Przyrzekłem sobie, że rozwiklam tajemnicę sióstr Swindel. Jestem mu to winien, poza tym wiem, jak to jest stracić ojca i w pełni rozumiem pana uczucia.

- Jeszcze raz dziękuję, szeryfie, i życzę smacznego.

Szeryf skinął głową i wrócił do swojego stolika. Brad też postanowił skończyć kanapkę, ale nagle stracił apetyt. Zaniepokoiło go to, co szeryf powiedział o siostrach Swindel i ich siostrzenicy.

Beth zamknęła dokładnie drzwi sypialni, opadła z impetem na łóżko i wykręciła numer Ellen Golden.

Ellen pracowała jako dziennikarka śledcza w „Inquirer”, największej filadelfijskiej gazecie. Była inteligentna i miała świetne kontakty. Przyjaźniły się od dziecka.

Beth nie miała zbyt wielu przyjaciół z tamtego okresu, bo matka, jako osoba nadopiekuńcza, prawie nikogo nie chciała zaakceptować. Zrobiła wyjątek dla Ellen, szczupłej i nieśmiałej dziewczynki, w której nie dostrzegła żadnego zagrożenia. I dobrze.

Ellen i Beth były praktycznie nierozłączne w gimnazjum i liceum. Trzymały się zawsze trochę na uboczu. Nie potrzebowały innego towarzystwa.

- Ellen Golden - rozległo się w słuchawce.

- Cześć, to ja. - Beth niemal szeptała. - Potrzebuję twojej pomocy.

- Nie mogę długo gadać, bo właśnie się pakuję. O co chodzi? Chyba czymś się martwisz, bo masz bardzo smutny głos. Coś z twoimi ciotkami? Mam nadzieję, że nie. Przepadam za nimi.

Beth westchnęła, zastanawiając się, jak wiele może jej powiedzieć. Ona i Ellen nigdy nie miały przed sobą sekretów. Wiedziały, kiedy każda z nich miała pierwszy okres i kiedy oraz z kim straciła dziewictwo.

- Owszem, martwię się z powodu moich ciotek, ale to nie ma nic wspólnego z ich zdrowiem - powiedziała wreszcie. - One czują się świetnie, to ja jestem na skraju załamania nerwowego.

- Naprawdę? - zdziwiła się przyjaciółka. - Co się stało?

- Pamiętasz te wszystkie opowieści o zniknięciu Lyle'a McMurtry'ego?

- Jak mogłabym zapomnieć? Nawet po tylu latach wciąż o tym mówiono. Wielu uważało, że Iris zamordowała narzeczonego i od tej pory dom jest nawiedzony. Co za bzdury! A o co właściwie chodzi?

- Bardzo możliwe, że... ona go zamordowała. - Mówiąc to, Beth poczuła się okropnie.

- Co ty opowiadasz! - krzyknęła Ellen po chwili milczenia. - Oskarżasz Iris o morderstwo?! Chyba zwariowałaś. Zawsze byłaś święcie przekonana o jej niewinności. Co się nagle stało? Ta słodka i urocza staruszka miałaby mieć coś wspólnego ze zniknięciem McMurtry'ego? Chyba sama w to nie wierzysz.

- No... nie wiem. Wczoraj zeszłam do piwnicy po słoik powideł i znalazłam stare kości. Właściwie to Buster je odkopał.

- Jakie kości?! - Ellen niemal zachłysnęła się ze zdumienia.

- Nie jestem pewna, ale chyba ludzkie.

- Jasny gwint! Już rozumiem, czemu jesteś taka zdenerwowana.

Czy ktoś jeszcze wie o tych kościach?

- Nie, no co ty! Nie powiedziałam o tym nawet ciotkom. One nie potrafią trzymać języka za zębami i wkrótce wiedziałyby o tym całe miasteczko. Muszę najpierw ustalić, o co w tym wszystkim chodzi, i dopiero potem z nimi porozmawiam.

- Masz rację. Jak mogłabym ci pomóc?

- Poczekaj chwilę, ktoś tu idzie - odparła Beth, słysząc pukanie do drzwi.

- Beth, wszystko w porządku? - krzyknęła Ivy. - Chyba słyszałam jakieś głosy.

- Tak, ciociu, wszystko w porządku, po prostu rozmawiam z Ellen.

- Kochanie, pozdrów ją ode mnie. To taka miła dziewczyna.

- Oczywiście, ciociu.

- No dobrze, nie będę ci dłużej przeszkadzać. Chciałam cię tylko poinformować, że wychodzę, bo umówiłam się na lunch z Louise Wilson. Zamierzam omówić z nią pewien pomysł. Myślę o założeniu w naszym miasteczku filii Stowarzyszenia Czerwonych Kapeluszy.

- Świetny pomysł. Mam nadzieję, że potem wszystko mi opowiesz.

- Miłej rozmowy, kochanie.

Słuchając oddalających się kroków ciotki, Beth odetchnęła z ulgą.

- Przepraszam - rzuciła do słuchawki - to była moja ciotka.

- Domyśliłam się. A wracając do naszej rozmowy, jak mogę ci pomóc?

- Poślę ci jedną z kości. - Tę, którą Buster rano przytargał na trawnik. Beth schowała ją w szafie, tuż obok kolekcji lalek Barbie. - Masz różne znajomości. Oddaj to do jakiegoś laboratorium i poproś, żeby ustalili, czy to jest ludzka kość.

- To raczej niemożliwe, bo dziś po południu wyjeżdżam na wycieczkę. Nie wiem dokładnie, kiedy wrócę, ale na pewno nie wcześniej niż za dziesięć dni.

- Och nie!

- Przykro mi, Beth.

- Jedź i baw się dobrze. - Beth nagle zrobiło się wstyd. Jak mogła być taka samolubna? - Może spotkasz jakiegoś przystojniaka.

- Wątpię. Chwilowo nie mam ochoty na żadne miłosne afery. Pogadamy o tym przy innej okazji. Wiesz co? Przyślij mi tę kość. Oddam ją do laboratorium zaraz po powrocie.

- Proszę cię, nikomu o tym nie mów. Nie chcę narażać ciotki.

- A jeśli jest winna? Rozważałaś taką możliwość? Nie wiem, czy dobrze robisz, ukrywając takie istotne fakty. Jeszcze oskarżą cię o...

- Wiem, wiem. - Beth nie kryła frustracji. - Później będę się martwić. Muszę postępować bardzo powoli i rozważnie, i liczyć na łut szczęścia. Może tym razem uniknę katastrofy.

- W porządku. Wspólnymi siłami uda nam się rozwikłać tę sprawę. Zresztą za wcześnie na jakiegokolwiek wnioski, poczekajmy na wynik ekspertyzy. Mam znajomego, który będzie mógł mi pomóc. To może trochę potrwać, bo w Filadelfii jest dużo morderstw i gliny mają pełne ręce roboty.

- Mam jeszcze jeden problem.

- Jeszcze gorszy? Aż trudno w to uwierzyć.

- Zaginął pewien starszy pan, który mieszkał w moim pensjonacie. Jego syn bardzo się niepokoi i zaczął go szukać. A jeśli jego ojciec został pochowany w mojej piwnicy? Nie miałam czasu sprawdzić.

- Przestań histeryzować. Przyznaję, to wszystko jest trochę podejrzane, ale musisz zachować zdrowy rozsądek i chłodny umysł. Twoje ciotki są stare, ale nie mają morderczych instynktów i jeszcze nie oszalały. Po co miałyby mordować gości? To bez sensu.

- Szczerze mówiąc, mam nieco wątpliwości co do ich zdrowia psychicznego. - Beth westchnęła ciężko..- Ciocia Iris próbuje wskrzeszać umarłych.

- Rany boskie! Powiedziała, dlaczego? A kogo próbuje wskrzesić? Chyba nie myślisz, że...

- Nie zamierzam pytać. Niektórych rzeczy lepiej nie wiedzieć. Tak jest bezpieczniej.

- Przyślij mi kość - powtórzyła Ellen. - Postaram się wszystko jak najszybciej załatwić.

- Dzięki, El. Dobra z ciebie przyjaciółka - westchnęła z ulgą.

- A jak wygląda ten facet, który przyjechał szukać ojca?

Przystojny? Kim jest z zawodu?

- Brad Donovan to niezły przystojniak. Jest pediatrą, mieszka w Wirginii i ma nastoletnią córkę, która mnie nienawidzi.

- Szkoda, że nie jest ginekologiem. Beth roześmiała się.

- Jesteś zboczona, wiesz?

- A ty świętoszkowata. Wyjdź wreszcie ze swojej skorupy i poużywaj życia. Greg to już przeszłość. Nie wszyscy mężczyźni są łajdakami.

- To dlaczego ty jesteś ciągle sama? - spytała Beth, choć dobrze знаła odpowiedź.

Ellen wciąż cierpiała po rozstaniu z Randym. Miała nadzieję, że to ten jedyny, tymczasem okazał się wielkim zerem.

- Mam pracę, to mi na razie wystarczy. Poza tym jeszcze nie spotkałam nikogo, za kogo chciałabym wyjść za mąż.

- Więc mnie rozumiesz. Przestań się mnie czepiać. Czasami jesteś gorsza niż moje ciotki.

- A skoro już o nich mowa, to co Ivy sądzi o twoim doktorku?

- Uważa, że jest wart grzechu, ale ja nie jestem nim zainteresowana. Chwilowo mam co innego na głowie.

- Racja. Dlatego ci odpuszczę. Chwilowo. Jak wrócę, pogadamy o twoim gorącym doktorku.

- On nie jest moim doktorkiem. Poza tym wątpię, by był mną zainteresowany, zwłaszcza gdy okaże się, że moje ciotki zamordowały jego ojca i zakopały go w naszej piwnicy.

- Słusznie. No dobra, musisz jakoś wytrzymać do mojego powrotu i przestań się tak zamartwiać, bo wreszcie zwariujesz.

- Niestety, na takie rady już chyba za późno.

Brad odwiedził posterunek i udzielił szeryfowi Murdockowi wszystkich niezbędnych informacji. Potem odebrał z kina Stacy i wrócił do pensjonatu.

Kiedy córka oznajmiła, że musi się zdrzemnąć, postanowił pozwiedzać okolicę. Musiał sobie oczyścić umysł, pozbierać myśli, poukładać w głowie informacje, którymi nafaszerował go Seth Murdock.

Iris Swindel, którą poznał, zupełnie nie pasowała do obrazu nakreślonego przez szeryfa. Ta miła i słodka staruszka miałaby być morderczynią? Co prawda pięćdziesiąt lat temu nie była jeszcze stara, a z wiekiem ludzie nabierają rozumu i zmieniają się na lepsze. Mógłby przysiąc, że w młodości Iris miała diabła za skórą. Co zaś do Ivy... wciąż go miała.

Z rozmyślań wyrwało go głośne szczekanie psa. Spojrzał w tamtym kierunku i zobaczył Beth bawiącą się z Busterem. Rzuciła mu piłkę i zaśmiewała się z jego niezręczności. Patrząc na nią, Brad poczuł szybsze bicie serca.

Zganił się w duchu za tę reakcję. Nieważne, co czuje do Beth, musi zachować odpowiedni dystans. Na pewno wiedziała o zniknięciu jego ojca więcej, niż chciała powiedzieć. Zresztą nawet gdyby była niewinna, nie powinien myśleć o niej jako o ewentualnej partnerce.

Był szanowanym lekarzem, zasiadał w zarządzie szpitala, jego pozycja wymagała, by związał się ze zrównoważoną, odpowiedzialną kobietą, która odnajdzie się w roli żony lekarza. Jeśli spotka kogoś takiego na swojej drodze, prawdopodobnie ponownie się ożeni. Samotność zaczynała mu już ciążyć, a Stacy też potrzebowała kobiecej ręki.

Z drugiej strony jednak bał się ryzyka. Bał się, że ukochana opuści go, tak jak zrobiła to Carol. Drugi raz nie przeżyłby takiej tragedii.

O czym ja w ogóle myślę? - zdenerwował się. Ledwie znam te kobiety, a Stacy żywiłowo jej nie znosi. W dodatku nie wiem, gdzie podziewa się ojciec.

Potrząsnął głową i ruszył w kierunku, z którego rozległo się szczekanie psa. Miał wrażenie, że popycha go tam niewidzialna siła, której nie umiał się przeciwstawić.

Kiedy Beth zauważyła Brada, w pierwszym odruchu chciała uciec, schować się gdzieś głęboko pod ziemią.

Pomachał do niej i zawołał.

A niech to! - pomyślała.

- Jak udała się twoja wyprawa do miasta?

- spytała, zmuszając się do uśmiechu.

- Świetnie. Wiele dowiedziałem się o Mediocrity, a także o tutejszych mieszkańcach.

- Naprawdę? To fantastycznie. - Zaniepokojona jego bliskością i intensywnym, badawczym spojrzeniem, odsunęła się nieco, ale wtedy on postąpił krok do przodu. - Muszę... muszę zrobić kilka ozdób ze słomy. Właśnie kończę jesienną dekorację. Dlatego...

- Beth, musimy porozmawiać - przerwał jej.

- Poznałem dziś szeryfa Murdocka.

- Jestem naprawdę bardzo zajęta - odparła. Nagle potwornie rozbolał ją żołądek. - Porozmawiamy kiedy indziej, dobrze?

- Nie, Beth, porozmawiamy teraz. Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej i Lyle'u McMurtrym. Był zaręczony z twoją ciotką Iris, a później gdzieś zniknął. Dlaczego mi o nim nie powiedziałaś? O co tu chodzi?

- Bo niewiele o nim wiem. Ciotka nie lubi o nim wspominać. Nie mam pojęcia, dlaczego zerwali. Zresztą to nie mój interes.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że mój ojciec nie jest jedyną osobą, która zaginęła w tym miasteczku?

- Przecież to było pięćdziesiąt lat temu.

Dlaczego łączysz tę sprawę ze zniknięciem ojca? Poza tym nie mam w zwyczaju rozmawiać z obcymi osobami o życiu osobistym mojej ciotki. Zostaw to, ona już dość wycierpiała.

- Dlaczego wszyscy w miasteczku, nie wyłączając szeryfa Murdocka, uważają, że twoja ciotka miała coś wspólnego ze zniknięciem Lyle'a McMurtry'ego?

- Skąd mam to wiedzieć? Niektórzy po prostu lubią plotkować i oczerniać bliźnich. Snują bezpodstawne spekulacje.

- Czy wiesz, co przydarzyło się Lyle'owi McMurtry'emu?
Beth pomyślała o kościach w piwnicy i nagle zrobiło się jej gorąco, jednak zdecydowanie potrząsnęła głową.

- Nie, skądże. Kiedy zniknął, nie było mnie na świecie.

- A wiesz może, gdzie podziewa się mój ojciec? Beth, jeśli...

- Nie mam pojęcia. Przykro mi, że zaginał, ale...

- Coś przede mną ukrywasz.

Zacisnęła pięści, w jej oczach zapłonął gniew.

- Jak śmiesz oskarżać mnie o takie rzeczy? Nawet mnie dobrze nie znasz.

- Może i nie za dobrze, ale już zdążyłem się przekonać, że nie umiesz kłamać.

- A ty nie jesteś dżentelmenem. Przepraszam, ale muszę już iść. Ruszyła do przodu, ale złapał ją za rękę.

- Nie tak szybko. Mam jeszcze kilka pytań.

- Co ty wyprawiasz! Zabieraj te łapy! Puść mnie, bo...

- Bo co?

- Bo zacznę wrzeszczeć na całe gardło. Puszczaj! Słyszysz?

Próbowała się uwolnić, ale wzmocnił uścisk. Otworzyła usta do krzyku, lecz wtedy Brad zaczął ją całować.

Zaszokowana Beth nie mogła zebrać myśli. Zresztą teraz liczyły się tylko odczucia. Brad miał zimne dłonie, ale jego usta były miękkie i gorące. Umiał całować, umiał sprawić, by kobieta w jego ramionach zapomniała o wszystkich kłopotach. Ona jednak nie mogła sobie pozwolić na taki luksus.

Odepchnęła go, a potem wymierzyła mu siarczysty policzek. Za to, że okazał się impertynentem, i za to, że obudził w niej emocje, których sobie nie życzyła. Dźwięk, jaki towarzyszył temu uderzeniu, ranił jej serce.

- Jak śmiesz! Nie dotykaj mnie! Nie masz prawa!

Objęła się ramionami. Tak, była oburzona, a jednak odpowiedziała na jego pieszczotę.

- Przepraszam, trochę mnie poniosło, ale wcale nie żałuję, że cię pocałowałem. Podobało mi się, i to tak bardzo, że jestem gotów

nadstawić drugi policzek. - Chociaż niechętnie, dodał w duchu, bo bardzo zaboląło. Ciekawe, czy Beth chodzi na siłownię.

Bez słowa odwróciła się i ruszyła w stronę pensjonatu, z wysoko podniesioną głową, wyprostowana jak struna.

Brad westchnął ciężko. Beth była cudowną kobietą i coraz bardziej mu się podobała. Wiedział jednak, że nic z tego nie będzie. Chciałby ją całować do utraty tchu, kochać się z nią, jednak z drugiej strony zachowywała się dość dziwnie, jakby miała coś na sumieniu.

Romans z taką kobietą mógł oznaczać jedynie kłopoty.

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Nie bardzo rozumiem. Co to za klub, skoro nie obowiązują w nim żadne zasady.

- Taki, do którego ludzie wstępują, by dobrze się bawić - wyjaśniła Ivy i uśmiechnęła się do Louise Wilson, swojej byłej uczennicy i najlepszej przyjaciółki. Jadły razem lunch w herbaciarni „Srebrna Łyżeczka”, należącej do Myry Fletcher.

Louise była najlepszą uczennicą Ivy. Połączyła je miłość do Szekspira. Zadzierzgnięta nie przyjaźni przetrwała. Louise poszła w ślady swej mentor-ki i została nauczycielką. Była miła i urocza, ale brakowało jej pewności siebie, cechy niezbędnej u lidera.

- Stowarzyszenie powstało właśnie po to, by dojrzałe kobiety mogły robić, na co tylko przyjdzie im ochota. Powygłupiać się, trochę poszaleć. Nie ma żadnych zasad oprócz tej, że wszystkie członkinie muszą nosić fioletowe suknie i czerwone kapelusze. To pomysł zaczerpnięty z pięknego wiersza. Autorka napisała, że kiedy się zestarzeje, będzie chodzić w fioletach, pić brandy i cieszyć się życiem. A przede wszystkim nauczy się pluć na odległość. - Ivy klasnęła w dłonie, nie kryjąc entuzjazmu. - Znalazłam ich stronę w internecie i od razu pomyślałam, że to coś dla mnie.

- Czerwień z fioletem? - Louise skrzywiła się lekko. - Ivy, kochanie, to trochę dziwaczne. Wszyscy będą nas wytykać palcami i wyzywać od wariatek. Owszem, nie robię się coraz młodsza, ale nadal lubię ubierać się zgodnie z modą.

Osoby tak tradycyjne jak Louise nie potrzebowały modnych ciuchów, lecz otwartego rachunku w sklepach sprzedających klasyczną odzież.

Ivy upiła łyk herbaty i zjadła kawałek kanapki z pastą jajeczną. Uśmiechnęła się szeroko i odparła wesoło:

- Kochanie, uchwyciłaś sedno sprawy. Pora wyzwolić się z rutyny. W naszym wieku już możemy sobie na to pozwolić. Zresztą, jak wiesz, zawsze byłam wolnym duchem.

- Tak, nie przejmowałaś się tym, co ludzie o tobie gadają. Nawet twoje metody nauczania były dość niekonwencjonalne. Pamiętam, jak pewnego razu przyszałaś przebrana za Katarzynę z „Poskromienia złościcy”. Dyrektor Andrews prawie zemdlał na twój widok. Myśleliśmy wtedy, że cię wyrzuci. I tak bez przerwy zwracał ci uwagę, że nosisz za krótkie spódnice.

Ivy uśmiechnęła się na to wspomnienie.

- Harvey Andrews był sztywniakiem, jak mawiają teraz młodzi ludzie. Wściekał się na mnie, bo wcale się go nie bałam i zawsze pyskowałam.

- Ja nie umiałabym się zdobyć na taką odwagę.

- Louise potrząsnęła głową.

- Cóż, jesteś jeszcze młoda, dlatego liczysz się z opinią innych.

Dałaś się zniewolić społecznym nakazom, ale pewnego dnia zrozumiesz, że nie warto tego robić. Masz prawo być taką, jaką chcesz być, i żyć, jak ci się podoba.

- Myślisz, że ktokolwiek zechce się do nas przyłączyć? Finnola Pickens szczyci się swoim kółkiem ogrodniczym, ale kto przy

zdrowych zmysłach chciałby zajmować się takimi nudnymi rzeczami. Na ostatnim spotkaniu podobno dyskutowali o środkach przeciwko mszycom.

- Wzdrygnęła się, jakby zrobiło jej się zimno.

- Kiedy kobiety zobaczą, jak dobrze się bawimy, przyłączą się do nas. Finnola zostanie sama ze swoimi mszycami i krzakami róż, przekonasz się.

Louise, która nigdy nie pogodziła się z faktem, że jej szkolna sympatia, Phinneas Pickens, ożenił się z taką snobką jak Finnola Lockheard, uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Tak myślisz?

- Nie mam wątpliwości. - Ivy skinęła głową. - Oczywiście tylko kobiety po pięćdziesiątce będą nosiły fioletowe suknie i czerwone kapelusze. Dla młodszych proponuję odpowiednio kolor lawendowy i różowy. Tutaj liczą się wiek i doświadczenie. Czerwone kapelusze będą symbolizować naszą niezłomność i odwagę. Każda kobieta, która przez całe życie musiała kierować się sztywnymi konwenansami ograniczającymi jej wolność, zasługuje na nagrodę.

Louise, która miała niemal tyle samo zmarszczek co Ivy, bo zbyt często się opalała, dołała mleka do herbaty i spytała:

- Ale co my właściwie będziemy robić? No dobrze, spotkamy się, usiądziemy i będziemy się na siebie gapić?

- Czytałam, że panie na ogół spotykają się na lunchu w restauracji. W sumie tak, będziemy siedzieć, gapić się na siebie, rozmawiać i jeść niezdrowe, wysokokaloryczne posiłki. Gdy przyjdzie nam ochota, pojedziemy na wycieczkę do Nowego Jorku, wybierzemy

się do teatru albo na plażę dla nudystów. Oczywiście jeśli większość się zgodzi - dodała szybko, widząc, że Louise unosi wysoko brwi.

- Hm, może pojechałybyśmy do Filadelfii? Podobno w jednym z klubów występuje świetny zespół chippendale.

Ivy rozjaśniła się i klasnęła w dłoń.

- Świetny pomysł. Jeśli ktoś nie będzie chciał jechać, jego sprawa. To jedyna okazja, by zobaczyć taki zespół. Nie sądzę, by planowali przyjazd do Mediocrity, jest zbyt prowincjonalne.

Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają, na przykład takie miasteczka jak Mediocrity. Owszem, miejscowość ostatnio nieco się rozrosła, przybyły kino i basen, choć i to wielu się nie spodobało. Jednak mieszkańcy wciąż byli konserwatywni i mieli klapki na oczach, tak samo jak w czasach, gdy Ivy dorastała.

Już w szkole średniej lubiła szokować. Była pierwszą dziewczyną, która publicznie zapaliła papierosa. Doprowadzała do szału purytańskich rodziców, uwielbiała robić im na złość. Łamała konwenanse, wybierała wyzywające stroje, bardzo często spodnie. Przeklinała, przyjaźniła się z chłopakami, których jej ojciec nie akceptował.

To Iris była grzeczną córeczką i pupilką rodziców. Hołubili ją, jednak gdy uległa typowo ludzkim słabościom, szybko strącili ją z piedestału. Iris ciężko to przeżyła, ale cała sprawa okazała się prawdziwą traumą dla ich ojca. Oskarżył Ivy, że to ona sprowadziła siostrę na złą drogę. Szalał z rozpacz i ciskał gromy, stracił resztki zdrowego rozsądku.

Wreszcie wielebny Josiah Swindel uznał, że Ivy jest opętana przez diabła.

- A co z Iris? - Louise spojrzała z powątpiewaniem na przyjaciółkę. - O ile wiem, ona nie pochwała niektórych twoich zachowań i nieco niezwykłych pomysłów.

- Och, nieważne. - Ivy machnęła dłonią. - Iris jest uparta i konserwatywna, poza tym teraz ma co innego na głowie. Uczy się zaklęć i próbuje wskrzeszać zmarłych, a to naprawdę niełatwa sprawa.

- Sądysz, że ona próbuje wskrzesić... no wiesz, kogo? - spytała Louise konspiracyjnym szeptem.

Ivy przez chwilę wierciła się na krześle, a potem spojrzała z naganą na przyjaciółkę.

- Louise Wilson, nie mam pojęcia, o czym mówisz. Iris jest moją młodszą siostrą i nie pozwolę, by w mojej obecności wygadywano o niej takie niestworzone rzeczy. Nie chcę, by cierpiała. Zawsze ją chroniałam i tak pozostanie.

- Przed czym ją chroniłaś?

Przed samą sobą, przed rodzicami, przed jeszcze większym cierpieniem, pomyślała Ivy.

- Przed tym, co może przynieść życie. To co, może wybierzemy się teraz na zakupy, poszukamy czerwonych kapeluszy i fioletowych sukienek? Na pewno znajdziemy coś interesującego w sklepie z używaną odzieżą.

- A jak nazwiemy nasz klub?

Ivy popijała przez chwilę herbatę, a potem uśmiechnęła się triumfalnie.

- Już wiem! Czerwone Kapelusze i Róże. Jak ci się podoba?

- A po co te róże? Wszyscy pomyślą, że to kolejne kółko ogrodnicze.

- To bardzo prawdopodobne. - Ivy z trudem pohamowała zniecierpliwienie. - Róże są piękne, tak jak kobiety. Warto to podkreślić. Poza tym to ładna nazwa i wszyscy kochają róże.

- Owszem, ale...

- Nie każda decyzja wymaga racjonalnego uzasadnienia. Poza tym dobrze jest zachować aurę tajemniczości. A teraz chodźmy lepiej na te zakupy, bo twój zmysł praktyczny doprowadza mnie do szału. Pamiętaj, że nie wszystko da się logicznie wytłumaczyć.

Gdy Beth wreszcie dotarła do pensjonatu i weszła do biura, jej serce wciąż biło jak oszalałe. Nie mogła wyjść ze zdumienia, że Brad odważył się ją pocałować. Co gorsza, ten pocałunek sprawił jej ogromną przyjemność.

- Niech to diabli - mruknęła.

Włączyła komputer, by przejrzeć pocztę i sprawdzić rezerwację. Decyzja o uruchomieniu internetowej rezerwacji miejsc okazała się strzałem w dziesiątkę. Trochę ją to kosztowało, ale pieniądze już się zwróciły.

- Przepraszam.

Uniosła głowę i zobaczyła parę w średnim wieku stojącą przy otwartym oknie biura. Zawstydzila się nagle, bo przecież mogli usłyszeć, jak przeklinała. Mężczyzna był wysoki i ciemnowłosy, jego żona bardzo szczupła i atrakcyjna.

- Dzień dobry. - Beth uśmiechnęła się do nich. - Witam w „Pensjonacie u Sióstr”. W czym mogę państwu pomóc?

- Nazywam się Charles Murray, a to moja żona Joan. Mamy rezerwację.

Gdy mówił, jego żona patrzyła na niego z jawnym zachwytem. Ciekawe, kiedy przejrzy na oczy, pomyślała Beth złośliwie, ale zaraz się zawstydziła. Przecież nie wszystkie kobiety poślubiają skończonych idiotów albo łajdaków.

- Państwo są tymi nowożeńcami z Wirginii, prawda? - Z niewiadomych powodów spodziewała się o wiele młodszych ludzi. Co za głupota! Tak jakby szczęście było pisane tylko zakochanym dwudziestolatkom.

Przeszła do holu, by odpowiednio powitać nowych gości.

- Państwa pokój jest już przygotowany. To najładniejszy, jaki tutaj mamy, z czynnym kominkiem i jacuzzi.

- Cudownie. Już nie mogę się doczekać, żeby go obejrzeć. - Joan Murray rozpromieniła się.

- Oczywiście, ale najpierw poproszę państwa o wypełnienie karty meldunkowej. Chciałabym też zobaczyć państwa kartę kredytową. - Szybko dopełniła wszystkich niezbędnych formalności, wzięła klucz do pokoju dla nowożeńców i poprowadziła gości. - Bardzo mi miło, że państwo wybrali właśnie mój pensjonat. Jeśli będziecie państwo czegoś potrzebowali, jestem zawsze do usług. - Sądząc po tym, jak tych dwoje na siebie patrzyło, Beth wątpiła, czy w ogóle wyjdą z pokoju. - Nasza restauracja obsługuje na razie tylko gości hotelowych, dlatego nie będzie problemu ze znalezieniem

stolika. - Podała im pory posiłków i wskazała wejście do sali restauracyjnej. - Menu zawsze wisi na drzwiach.

- Czy w pokoju jest telewizor? - spytał Charles.

- Joan jest wielką fanką serialu „24 godziny”. Nie chcielibyśmy przegapić ani jednego odcinka.

- Tak, oczywiście, w pokoju jest telewizor.

- Otworzyła drzwi i zaprosiła ich do środka. - Nie mogłabym pozbawić moich gości takiej rozrywki, bo uwielbiam filmy.

- Och, jak tu pięknie! Prawda, Charles? - Joan nie ukrywała zachwytu. - To łóżko wygląda na prawdziwy antyk. Czy jest bardzo stare? To narzuta od Laury Ashley? - Pogładziła brzoskwiniowo zieloną tkaninę.

- Odpowiedź na oba pytania brzmi: tak. Łóżko należało do rodziców moich ciotek.

- Pięknie pani urządziła ten pokój.

Beth podziękowała uśmiechem za komplement, który sprawił jej dużą przyjemność. Rzeczywiście włożyła w urządzenie tego wnętrza dużo pracy.

- Gdy remontuje się stare domy, trzeba to robić z sercem.

- Zgadza się. Na pewno będzie nam tu bardzo wygodnie. Och, widzę, że przygotowała pani nawet szampana. - Joan uśmiechnęła się szeroko. - Dziękujemy, Beth. Na pewno nam się przyda.

- Tak samo jak jacuzzi, kochanie. - Charles mrugnął łobuzersko, a jego piękna żona spłonęła rumieńcem.

Patrząc na gruchająca jak gołąbki zakochaną parę, Beth poczuła ukłucie żalu. Szybko się pożegnała i wyszła. Widząc szczęście innych,

jeszcze mocniej bolała nad swym nieudanym małżeństwem, choć w tej kwestii nie miała sobie nic do zarzucenia.

A może jednak?

Wszyscy ją ostrzegali, że Greg do niej nie pasuje, ale nie chciała słuchać. Była wtedy młoda i naiwna. Postrzegala Grega jako materiał na idealnego partnera, który pomoze jej uporać się z wszystkimi problemami. Niestety przy nim nigdy nie była pewna siebie, a Greg, zamiast ją wspierać, utwierdzał w przekonaniu, że jest bezwartościową i żalną istotą. Zresztą trudno zachować dobre mniemanie o sobie, gdy mąż porzuca cię dla innej kobiety.

Był o wiele bardziej doświadczonym kochankiem, niż się spodziewała. Uwielbiał różne gadzety, filmy porno, zmyslową bieliznę, nie stronił od eksperymentów. Pod tym względem Beth była o wiele bardziej tradycyjna. Gdy się kochali, nalegała, by zgasić światło. Lubiła flanelowe koszule i niezbyt wyszukana, choć elegancką bieliznę. Próbowala sprostać wymaganiom Grega, ale robiła to trochę wbrew sobie.

Cóż, znalazł to, czego szukał, u Penelope Miller. Tuż przed rozwodem Beth odkryła w schowku ich samochodu parę czerwonych fikuśnych majtek. To oczywiście dało jej do myślenia. Doszła do jedyne go nasuwającego się wniosku, a mianowicie że mąż ją zdradza. Kiedy go o to zapytała, nie zaprzeczał, nie bronił się. Oznajmił spokojnie, że wreszcie znalazł kobietę, która nie boi się eksperymentować w łóżku i ma podobny do niego temperament.

Po tej rozmowie Beth zaczęła uważać siebie za kobietę oziębłą, tak jakby jej czegoś brakowało.

Przestała spotykać się z mężczyznami, unikała kontaktów seksualnych, jednak pojawienie się Brada wyrwało ją z tego swoistego letargu. Znowu odczuwała emocje, o których już prawie zapomniała.

Ledwie to pomyślała, poczuła, jak na ramionach wyskakuje jej gęsia skórka. Ze strachu.

- Co za okropne miejsce. Kiedy stąd wyjedziemy? Potwornie się nudzę. Tutaj naprawdę nie ma co robić.

Brad z trudem powstrzymał westchnienie, słuchając biadolenia córki. Od kiedy tu przyjechali, nie szczędziła krytycznych opinii. Wygłaszała je z zastraszającą regularnością, co zaczynało go męczyć.

- Stacy, musisz jakoś wytrzymać. Chodzi o dziadka. To on jest teraz najważniejszy. - Z zapałem zabrał się do jedzenia.

- Ale...

Rozkoszując się soczystym mięsem, przerwał jej ostro:

- Słuchaj, chcę spokojnie zjeść, a ty mi to uniemożliwiasz.

Proszę cię, przynajmniej mów nieco ciszej. - Rozejrzał się dyskretnie po restauracji. Przy stoliku w rogu siedzieli nowożeńcy Murrayowie, ale byli zbyt zajęci sobą, by zwracać na cokolwiek uwagę.

Obserwując ich, Brad westchnął cicho. Samotność zaczynała mu ciążyć, a najbardziej brakowało mu właśnie wspólnych posiłków i pogaduszek przy butelce wina. Zazdrościł Murrayom, to przez nich zaczął się użalać nad sobą.

- Wcale nie krzyczałam.

- Zachowuj się przyzwoicie, przynajmniej w miejscach publicznych. Czy nie tego cię uczyłem? Nie podoba mi się też, jak

zwracasz się do Beth. Nieustannie ją krytykujesz i na pewno ranisz jej uczucia.

- Wszystko ci wygadała, tak? - Dziewczynka zacisnęła usta. - Obiecała, że będzie milczeć, ale oczywiście nie dotrzymała słowa.

Brad odłożył widelec i spojrzał badawczo na córkę.

- Co niby miała mi powiedzieć? Czy między tobą a Beth zaszło coś, o czym powinienem wiedzieć?

Stacy zaczerwieniła się i zaczęła gwałtownie potrząsać głową.

- Nie, skądże, wszystko w najlepszym porządku! Naprawdę!

- Hm... dlaczego ci zatem nie wierzę? - Na szczęście córka zupełnie nie umiała kłamać. To dla ojca prawdziwe błogosławieństwo. Zawsze potrafił ją bezbłędnie rozszyfrować, przynajmniej do tej pory.

- Kurczak jest wspaniały. Chcesz spróbować? Z trudem powstrzymał uśmiech, rozbawiony tą nieporadną taktyką.

- Nie, dziękuję, ale cieszę się, że jest coś, co ci się wreszcie podoba.

- Jedzenie jest tutaj w porządku i lubię te dwie ciotki. Jak na staruszki, są zupełnie ładne. - Zniżyła głos. - Wiesz, Iris jest chyba czarownicą. - Gdy ojciec uniósł brwi, dodała: - Uczy się zaklęć, pali kadzidełka i czyta książki o okultyzmie.

Być wiedźmą, to jedna rzecz, ale morderczynią, to zupełnie co innego.

- Nie powinnaś zawracać im głowy. To już starsze panie, potrzebują spokoju. - Siostry Swindel być może przyczyniły się do zniknięcia Lyle'a McMurtry'ego, ale dobrze wiedział, że nigdy nie skrzywdziłyby dziecka.

- Wcale im się nie narzucam - odparła urażona. - Same mnie poprosiły, bym je czasem odwiedziła. Widocznie czują się samotne. Jutro będę surfować z Ivy po sieci. Wyobraź sobie, że ona kupuje i sprzedaje rzeczy na e-Bayu. Fajnie, co nie?

- Tylko proszę, nie nadużywaj ich gościnności.

- Nie będę. Wytrzymuję z nimi chwilę, a później zaczynam się nudzić. O czym można rozmawiać z takimi starymi ludźmi?

- Z dziadkiem nigdy się nie nudziłaś i zawsze mieliście o czym rozmawiać. - Rzeczywiście, wnuczka i dziadek świetnie się dogadywali, o co Brad był czasem zazdrosny. Stacy zwierzała się dziadkowi ze spraw, o których nigdy nie chciała rozmawiać z ojcem.

Kiedy dostała pierwszego okresu i wpadła w panikę, że wykrwawi się na śmierć, pobiegła po pomoc do dziadka. Robert był zapewne nieco zażenowany rolą, jaką przyszło mu spełnić, ale spisał się wspaniale. Zachował zimną krew. Wsadził wnuczkę do samochodu, zawiózł do apteki i pomógł kupić co trzeba.

W sumie Brad nie żałował, że nie było go wtedy w domu. Czasami tylko było mu smutno, bo Stacy dorastała zbyt szybko. Był lekarzem, jednak nie bardzo radził sobie z delikatnymi kobiecymi sprawami. W takich momentach jeszcze boleśniej odczuwał brak Carol.

- To zupełnie co innego. Dziadek jest w porządku, opowiada fajne historyjki. Nie czepia się nieistotnych drobiazgów tak jak ty.

Brad taktownie przemilczał, że jego ojciec był co prawda kochającym, ale bardzo wymagającym rodzicem. Zresztą Stacy i tak by mu nie uwierzyła. Dla niej dziadek Robert był chodzącym ideałem.

- Czy siostry Swindel wspominały o dziadku? Może powiedziały, dokąd pojechał?

- Nie, a dlaczego pytasz?

- Po prostu jestem ciekawy.

- Lubisz Beth? Podoba ci się? - nieoczekiwanie zmieniła temat. - Będziecie się całować?

Zalało go poczucie winy, zapiekły go policzki.

- Tak, oczywiście, lubię Beth. Jest bardzo miła. Nie powinnaś zadawać mi takich osobistych pytań. To niegrzeczne i nietaktowne. Nie zapominaj, że to ja jestem rodzicem, a ty moim dzieckiem.

- Hm, zrobiłeś się bardzo czerwony. Wiedziałam, że tak to się skończy. Ona ci się podoba, ale ja jej nie cierpię, dlatego nie możesz się z nią ożenić. Poza tym jest o wiele brzydsza od mamy i nie lubi dzieci.

- Dlaczego tak uważasz?

- Bo żadnych nie ma, chociaż była mężatką. To o czymś świadczy.

- Nie wszystkie małżeństwa mają dzieci.

- Obiecuj mi, że się z nią nie ożenisz, bo inaczej ucieknę z domu. Mówię serio.

Brad zasmucił się, patrząc na wykrzywioną złością i strachem buzię córki. Stacy wciąż nie pogodziła się ze śmiercią matki. Nie rozumiała, że trzeba żyć dalej.

- Po pierwsze, ledwie ją znam. Po drugie, nie powinnaś mnie w ten sposób szantażować. - Skinęła głową, ale było widać, że wciąż jest

zła. - Sam nie wiem, co w ciebie wstąpiło. Od kiedy tu przyjechaliśmy, zachowujesz się dziwnie, jakbyś przestała być sobą.

- To miejsce mnie przytłacza. - Upiła łyk coli i wzruszyła ramionami. - Jest takie stare, a miasteczko jeszcze starsze. Film, który tu oglądałam, to niemal zabytek. Czy słyszałeś w ogóle o filmie „Król i ja”? Wyobraź sobie, że niektórzy ludzie podczas seansu śpiewali piosenki razem z aktorami.

Yul Brynner zapewne przewraca się w grobie, pomyślał Brad.

- Większość krytyków uważa ten film za klasykę. - Uśmiechnął się. - To nie znaczy, że wszystkim musi się podobać.

- Jak długo tu jeszcze zostaniemy? Chcę już wracać do domu. Tęsknię za przyjaciółmi, tęsknię za wszystkim.

- Tak długo, dopóki nie znajdziemy dziadka. Sam chciałby wiedzieć, kiedy to nastąpi.

Brad i Stacy właśnie kończyli deser, gdy do sali wkroczyła Beth. Jak miała w zwyczaju, przez chwilę krążyła po restauracji, rozmawiając z gośćmi. Po tym nieszczęsnym pocałunku bała się stanąć twarzą w twarz z Bradem, ale gdyby do niego nie podeszła, byłoby jeszcze gorzej. Ściągnęłaby na siebie uwagę innych gości, którzy w dodatku mogliby jej zarzucić brak dobrych manier.

- Dobry wieczór. Smakowała wam kolacja? - Przystanęła przy ich stoliku i zmusiła się do uśmiechu.

- Szarlotka jest wspaniała - odparła Stacy, nie podnosząc wzroku. - Lody waniliowe też.

- Cieszę się, że ci smakuje. To jeden z przepisów, jakie dostałam od cioci Iris.

- Podziękuj Lori i pogratuluj w naszym imieniu. - Brad uśmiechnął się uroczo, co Beth zupełnie zignorowała. Były to tylko pozory, bo choć zachowała kamienną twarz, w środku cała dygotała. - Mięso było wyborne.

- Przekażę jej, że wszystko wam smakowało. A teraz wybaczcie, ale muszę zajrzeć do ciotek. Trochę się martwię, bo nie zeszły na kolację. - Iris i Ivy czasami wołały jeść u siebie, ale zawsze odpowiednio wcześniej zawiadamiały o tym Beth.

- Po kolacji wybieram się na spacer nad jezioro. Beth, przyłączysz się do mnie?

Chociaż nakazała sobie nie okazywać żadnych emocji, zarumieniła się gwałtownie. Nie chciała znów być sam na sam z Bradem. Nocny spacer? Nie ma mowy.

- Niestety nie mogę. Dziś wieczór mam kilka ważnych spraw do załatwienia.

- Właśnie, tato, przestań się jej narzucać. Ona jest bardzo zajęta - włączyła się Stacy, zaskakując tym Beth. Po raz pierwszy zdarzyło się, że dziewczynka stanęła po jej stronie.

Brad obrzucił córkę ostrzegawczym spojrzeniem, a Beth uśmiechnęła się w duchu. Brad wyprowadzał ją z równowagi, ale za to był dręczony przez własną córkę.

- Życzę wam obojgu miłego wieczoru. Zobaczymy się rano.

- Beth...

Odwróciła się, unosząc brwi.

- Tak, o co chodzi? - Próbował ją zatrzymać, i dobrze wiedziała, dlaczego. Poszedł wreszcie po rozum do głowy i zamierzał przeprosić za ten nieszczęsny pocałunek. Cóż, spóźnił się o kilka godzin.

Uśmiechnął się seksownie, zupełnie jakby zapomniał o obecności Stacy.

- Słodkich snów.

Beth na chwilę wstrzymała oddech, potem odwróciła się i wymaszerowała bez słowa. Co za bezczelny typ! - pomyślała.

Dlaczego tak ją dręczył i denerwował? Gdyby była masochistką i lubowała się w tego typu doznaniach, zaprosiłaby go na Święto Dziękczynienia.

Nie życzyła sobie oglądać Brada ani o nim myśleć, dlatego musiała czymś się zająć. Wpadła do kuchni, nałożyła na talerze dwie porcje pieczonego kurczaka, dzikiego ryżu i zielonego groszku, a potem ukroiła jeszcze duży kawałek szarlotki, bo ciocia Ivy przepadała za słodyczami. Postawiła wszystko na tacy i ruszyła w stronę schodów.

Zaraz po wyjściu Beth Lori postanowiła posprzątać kuchnię po kolacji. Przy tak małej ilości gości nie była to zbyt ciężka praca.

Załadowała ostatnie naczynia do zmywarki i popadła w zadumę. Nie miała ochoty wracać do pokoju, bo kiedy przed kolacją sprawdzała pocztę, znalazła mejl od Billa. Odłożyła czytanie na później, by nie psuć sobie nastroju przed kolacją. Tak się bowiem składało, że ilekroć myślała o Billu, nie mogła się potem skupić na pracy. Wczoraj na przykład spaliła czekoladowe ciasteczka, przewidziane do popołudniowej herbatki.

No tak, powinna zmienić konto i adres mejlowy zaraz po przeprowadzce, ale nie zrobiła tego ze względu na rodziców. Utrzymywali kontakt tylko przez pocztę elektroniczną, bo było to o wiele tańsze niż rozmowy telefoniczne. Rodzice byli dość wiekowi i każdą zmianę postrzegali jako małe trzęsienie ziemi, od razu wpadali w panikę.

Oby tylko ta decyzja nie kosztowała jej zbyt wiele. Bill był inteligentny i sprytny. Mogła się spodziewać, że spróbuje ją wytropić.

Z ociąganiem wróciła do mieszkania ulokowanego tuż za kuchnią, na tyłach domu. Zrzuciła buty i usiadła przy komputerze.

Otworzyła skrzynkę pocztową, z trudem przełknęła ślinę i zaczęła czytać:

Lori, zupełnie nie rozumiem, dlaczego tak nagle wyjechałaś. Co ja ci takiego zrobiłem? I gdzie, do diabła, podziały się moje noże i przepisy? Wróć, pogadamy i wszystko sobie wyjaśnimy. Nie mogę znaleźć nikogo na twoje miejsce. Byłaś najlepsza.

Proszę, proszę, coś takiego, pomyślała zjadliwie. Nie przypuszczała, że dożyje dnia, w którym Bill Thackery ją skomplementuje.

Napisz, czy wszystko u ciebie w porządku. Martwię się o ciebie.

Przez chwilę poczuła wyrzuty sumienia, ale nie zamierzała mu odpisywać. Nie chciała, by ją odnalazł. Tak będzie lepiej, uznała. Skasowała wiadomość i poszła do łazienki. Chciała wziąć prysznic, by raz na zawsze zmyć z siebie wspomnienia o Billu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Iris, na litość boską, jesteś blada jak upiór. - Ivy delikatnie przyłożyła dłoń do czoła siostry. - Chyba masz gorączkę. Zadzwońię po lekarza. Musi cię zbadać.

- Nie. - Iris energicznie pokręciła głową. - Doktor Porter wyjechał z miasta, a nie chcę mieć nic do czynienia z tym młodym głupkiem, który go zastępuje. Nie podoba mi się sposób, w jaki na mnie patrzy. Ma takie dziwne spojrzenie. Słyszałam od Sarah Johnston, że groziło mu wyrzucenie ze studiów.

- Przestań wygadywać głupoty. Skoro skończył studia, to znaczy, że zaliczył wszystkie egzaminy. - Ivy przykryła siostrę kocem. - Musisz dużo pić. Zaraz przyniosę ci wody.

- Przestań się tak nade mną trząść. Zachowujesz się jak kwoka. Nic mi nie jest. Rano na pewno poczuję się lepiej.

Drzwi otworzyły się, a zaraz potem rozległ się głos Beth:

- Ciociu Iris, ciociu Ivy, gdzie jesteście?

- W sypialni, kochanie. Iris trochę niedomaga, ale nie chce, żebym wezwała lekarza. Może ty przemówisz jej do rozsądku?

- Głupie gadanie... - szepnęła Iris, uśmiechając się do siostrzenicy. Nadrabiała miną, bo nie chciała jej martwić.

Beth postawiła ciężką tacę na małym stoliku przy łóżku.

- Zastanawiałam się, dlaczego nie zeszłyście na kolację. Przyniosłam wam coś do jedzenia.

- Kochanie, na razie nie mam apetytu. - Iris potrząsnęła głową. -
To miło z twojej strony, że tak o nas dbasz.

Nachylając się nad ciotką, Beth nie na żarty się zaniepokoiła. Iris rzadko niedomagała. Skoro teraz położyła się do łóżka, sprawa musiała być naprawdę poważna.

- Wyglądasz okropnie. Na pewno nie chcesz, by zbadał cię lekarz?

- Kochana, wyjąłś mi to z ust - powiedziała Ivy. - Zobacz, jaka jest blada.

- To tylko jakiś niegroźny wirus. Do jutra mi przejdzie. Ivy jak zwykle przesadza.

- Masz gorączkę? - spytała Beth.

- Ma. - Ivy nie dała siostrze dojść do słowa.

- Przed chwilą dotykałam jej czoła, jest rozpalone.

- Zaraz wracam. - Beth pobiegła do łazienki, wyjęła z apteczki termometr, po chwili włożyła go Iris do ust. Ciotka próbowała protestować, ale siostrzenica nic sobie z tego nie robiła. - Leż spokojnie, to potrwa tylko kilka minut.

- Dobrze, że przynajmniej ciebie słucha - odezwała się Ivy. - Zjawiałaś się w odpowiednim momencie. Próbowałam jej jakoś ulżyć w cierpieniu, ale Iris jest uparta jak muł. Zawsze jest niezdolna, jak choruje. - Iris skrzywiła się niemiłosiernie, na co jej siostra zareagowała szerokim uśmiechem. - Aha, przynajmniej raz musisz milczeć i grzecznie słuchać, co się do ciebie mówi.

- Trzydzieści siedem i cztery kreski. Nie jest źle - oznajmiła Beth z ulgą, patrząc na termometr.

- Weź dwie aspiryny. Od razu poczujesz się lepiej, a gorączka też spadnie.

- Nie zażywam aspiryny, bo po niej boli mnie żołądek.

- Ciociu Iris, czy mogłabyś pójść do mojego pokoju po tylenol? - poprosiła Beth. - Jest w apteczce.

- Oczywiście. Co więcej, pomogę ci, gdy będziesz wciskała jej te pigułki do gardła.

Gdy Ivy wyszła, wyraźnie zdegustowana Iris potrząsnęła głową.

- Boże, ależ ona potrafi być irytująca. Zawsze mi matkowała, nawet gdy byliśmy dziećmi.

Beth ujęła szczupłą dłoń ciotki.

- Kocha cię i troszczy się o ciebie, tak jak ja. Obie chcemy dla ciebie jak najlepiej.

- Wiem, kochanie, ale nigdy nie byłam dobrą pacjentką. - Iris westchnęła. - Ivy wcale nie przesadziła. Kiedy chorowałam, doprowadzałam rodziców do szaleństwa.

- Święta racja. - Ivy weszła do pokoju i podała Beth buteleczkę tylenolu. - Zachowywałaś się okropnie. Pamiętasz, co się działo, jak zachorowałaś na ospę? Lekarz, którego wezwała mama, musiał cię gonić po całym pokoju. Na ogół byłaś grzeczna i potulna, ale czasami umiałaś się postawić. - Siostry wymieniły znaczące spojrzenia.

- Ivy, kochanie, może jednak coś zjesz, bo kolacja zupełnie wystygnie. Zajmiesz wreszcie czymś swoje usta, a ja odpocznę od twojego gadania.

- Świetny pomysł. - Ivy uśmiechnęła się do siostry. - Zjem obie porcje groszku.

Słuchając tej wymiany zdań, Beth uśmiechnęła się w duchu. Dzięki Bogu pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Aubrey Fontaine zmierzał do Mediocrity. Siedział wyprostowany jak struna za kierownicą lincolna navigatora, samochodu tak wielkiego jak jego ego. Wjechał na parking przy hotelu "Excelsior", zresztą jedyne w mieście. Był to wysoki ceglany budynek przy Main Street. Pochodził zapewne z końca dziewiętnastego wieku i prawdopodobnie nigdy nie był remontowany.

Stanął na miejscu dla inwalidów, bo wołał zapłacić mandat, niż taszczyć tak daleko dwie ciężkie walizki. Zresztą on też nie był zupełnie zdrowy, bo coraz częściej łupało go w krzyżu. Dlaczego tylko ułomni ludzie mają korzystać z przywilejów? To wysoce niesprawiedliwe. Każdy ma jakieś problemy, on też, i to w dodatku zupełnie niezawinione.

Pewnym krokiem wszedł do budynku. Ze zdumieniem stwierdził, że wewnątrz musiało być niedawno odnowione, ale nie był zwolennikiem tego stylu. Czerwona tapeta, ciemne drewno, masywne kryształowe żyrandole. Drewniane podłogi pokryte drogimi, autentycznymi orientalnymi dywanami. Aubrey miał wyszukany gust i na milę wyczuwał podróbki.

Oparł się o blat przy recepcji, również z ciemnego drewna. Niecierpliwie stukał palcami, czekając, aż ktoś go zauważy. Gdyby ta rozgadana młoda kobieta była jego pracownicą, natychmiast by ją zwolnił.

Grzeczne traktowanie klientów to połowa sukcesu niemal w każdym biznesie. Nie tolerował w tym względzie żadnych uchybień, a

poza tym nienawidził czekać. Czas to pieniądz, a tego ostatniego nigdy za wiele.

Młoda rudowłosa kobieta odwróciła się wreszcie w jego stronę. Przywitała go olśniewającym uśmiechem. Niestety Aubrey tego nie docenił i wycedził przez zęby, patrząc na nią wrogo:

- Nazywam się Aubrey Fontaine. Moja sekretarka zarezerwowała dla mnie u państwa pokój.

Dziewczyna postukała w klawiaturę, a po chwili oznajmiła:

- Zgadza się, panie Fontaine. Umieściliśmy pana w apartamencie imienia generała Meade'a. Mam nadzieję, że będzie pan zadowolony. To jeden z naszych najlepszych i najładniejszych pokoi.

- A który jest najładniejszy?

- Hm... chyba apartament prezydencki imienia Ulissesa S. Granta. Jednak jak mówiłam pana sekretarce, został zarezerwowany kilka miesięcy temu. Pewne starsze małżeństwo przyjeżdża do nas co roku, by świętować rocznicę swojego...

Uniósł rękę, by powstrzymać ten potok słów.

- A jak tu wygląda z obsługą hotelową? Umieram z głodu i chciałbym zamówić kolację do pokoju.

- Oczywiście, proszę pana. Mamy pełny serwis. W szufladzie szafki nocnej znajdzie pan menu naszej restauracji. Goście bardzo chwalą tutejsze jedzenie.

- Sam to ocenię, młoda damo. Chciałbym dowiedzieć się co nieco o historii tego miasta. Zbieram materiały do artykułu.

- Najlepiej pójść do naszego towarzystwa historycznego. Mieści się na Branch Street. Mają tam najważniejsze dokumenty. Można też zajrzeć do biblioteki.

- Świetnie. A gdzie mieści się redakcja gazety „The Mediocrity Messenger”?

- Dwa domy stąd, musiał pan ją mijać. Nad drzwiami jest duży srebrny orzeł.

Tak, rzeczywiście mijał coś takiego w drodze do hotelu.

Jego apartament mieścił się na siódmym piętrze. Aubrey nigdy nie zamawiał zwykłych pokoi, bo były cholernie małe, a on lubił przestrzeń. Poza tym spodziewał się, że w apartamencie będzie bardzo duża wanna. Rano brał zazwyczaj prysznic, by zaoszczędzić czas, ale wieczorami lubił pływać się w wannie. Gorąca woda rozluźniała spięte mięśnie. To były chwile miłego relaksu i snucia planów na przyszłość.

Nie wiedział jeszcze, kiedy odważy się odwiedzić rodzoną matkę. Na razie nie był gotowy do takiej konfrontacji. Zresztą najpierw wolał zebrać jak najwięcej informacji o mieście, rodzinie Swindelów i Lyle'u McMurtrym.

Wiedza to potęga. Aubrey zawsze kierował się tą maksymą i dzięki temu dorobił się fortuny.

Rano wybierze się do fryzjera, by posłuchać miejscowych plotek. Wszyscy fryzjerzy to gaduły, a Aubrey był dobrym i uważnym słuchaczem.

Delikatne pukanie wyrwało Beth z niespokojnego snu. Gdy otworzyła drzwi, zobaczyła bardzo zdenerwowaną Ivy.

- Czy coś się stało?

- Chodzi o Iris. Pogorszyło się jej. Majaczy, jest rozpalona, na pewno ma gorączkę.

- Zmierzyłaś jej temperaturę? - spytała zaniepokojona Beth.

- Po co? Potrafię poznać, kiedy ktoś ma gorączkę. Uwierz mi.

Beth owinęła się ciasniej szlafrokiem i ruszyła za ciotką.

Iris rzeczywiście wyglądała znacznie gorzej niż wczoraj. Miała błyszczące oczy i wyschnięte usta, cały czas jęczała i niespokojnie rzucała się na łóżku.

- Zmierz jej temperaturę - powiedziała Beth, podając Ivy termometr. - Poproszę doktora Donovana, żeby ją zbadał. Nie możemy tego tak zostawić.

- Świetny pomysł, tylko według mnie powinnaś włożyć coś bardziej...

- Ciociu, naprawdę to nie jest odpowiednia chwila - oburzyła się Beth.

Poszła prosto do pokoju Brada i zapukała delikatnie. Miała nadzieję, że nie obudzi ani Stacy, ani pozostałych gości.

Otworzył jej w samych spodniach od piżamy. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Beth co prawda martwiła się o Iris, jednak nie umknęło jej uwagi, że Brad ma bardzo muskularną klatkę piersiową.

- Beth, co się stało? Czemu jesteś taka zdenerwowana?

- Przepraszam, że cię obudziłam, ale ciocia Iris bardzo źle się czuje. Czy mógłbyś ją zbadać? Ma wysoką temperaturę, naprawdę się o nią martwię.

- Ubiorę się i zaraz przyjdę.

Zjawił się po kilku minutach z torbą lekarską, z którą nigdy się nie rozstawał.

Prowadząc go do mieszkania ciotek, Beth po drodze wyjaśniła:

- Iris już wczoraj czuła się nie najlepiej. Nie pozwoliła wezwać lekarza, chociaż Ivy bardzo się przy tym upierała. Doktor, który prowadzi Iris, wyjechał z miasta, a ona nie ufa temu, który go zastępuje.

- Dobrze, że mnie obudziłaś. Gdy chodzi o starszych pacjentów, trzeba dmuchać na zimne. Zwykle przeziębienie często rozwija się w zapalenie płuc.

Gdy weszli do pokoju ciotek, Ivy uśmiechnęła się z ulgą.

- Dziękuję, że pan przyszedł, doktorze Donovan. Siostra bardzo źle się czuje. Przed chwilą zmierzyłam jej temperaturę. Ma trzydzieści osiem i siedem.

Zmartwiony zmarszczył brwi, potem skinął głową i wyjął z torby stetoskop. Starannie osłuchiwał serce i płuca Iris. Ku swej uldze nie stwierdził nic niepokojącego.

- Jak na swój wiek, twoja ciotka to okaz zdrowia - zwrócił się do Beth. - Nie słyszę żadnych szmerów w płucach, ale trzeba jej zbić temperaturę. Co jej podałaś?

- Tylko tylenol, bo Iris nie chciała aspiryny. - Była zadowolona, że Brad przejął kontrolę nad sytuacją. Jej wiedza medyczna była dość ograniczona.

- Czy twoja ciotka jest uczulona na jakieś lekarstwo?

Beth spojrzała na Ivy, która odparła:

- Nic mi o tym nie wiadomo. Iris po prostu nie lubi smaku aspiryny, poza tym twierdzi, że potem boli ją żołądek.

Brad zamocował rękaw ciśnieniomierza na ramieniu Iris i zapytał:

- Wymiotowała?

- Raz. Próbowwała zjeść kolację.

Zmierzył Iris ciśnienie, potem zbadał puls, i oznajmił:

- Według mnie to wirus. Na szczęście wszystkie objawy ustępują po dobie lub dwóch. Posiedzę przy niej, by się upewnić, że nie doszło do żadnych komplikacji.

- To bardzo miło z pana strony. - Ivy uśmiechnęła się z wdzięcznością. - Beth i ja doceniamy pańska troskę. Skoro moja siostra jest w takich dobrych rękach, pójdę się położyć. Jeśli trochę nie odpocznę, rano będę jak z krzyża zdjęta. Moja siostrzenica na pewno chętnie dotrzyma panu towarzystwa.

Beth natychmiast przejrzała knowania ciotki, dlatego spojrzała na nią lekko zniesmaczona.

- I tak zamierzałam posiedzieć przy Iris - oznajmiła, co ciotka skwitowała triumfującym uśmiechem. - Pójdę do kuchni po kawę - zwróciła się do Brada, gdy Ivy zniknęła w sypialni.

- Z chęcią się napiję. Muszę czuwać przy Iris, a dzięki kofeinie nie zasnę.

- Dziękuję ci, Brad. Jesteś wspaniałą. - Położyła mu rękę na ramieniu.

- Nie musisz mi dziękować. Jestem lekarzem, to mój obowiązek.

- Wiem, jednak...

- W porządku, Beth. Idź już.

Wróciła po kilku minutach z dwoma kubkami i dzbankiem świeżo zaparzonej kawy. Postawiła tacę na stoliku i spojrzała na ciotkę. Widok Brada trzymającego Iris za rękę wzruszył ją bardziej, niż byłaby w stanie wyrazić słowami. Bez wątpienia Brad Donovan był porządnym i sympatycznym człowiekiem.

Gdyby szukała nowego życiowego partnera, gdyby jego ojciec nie zaginał, gdyby mieszkali bliżej siebie, Brad Donovan byłby idealnym kandydatem. Jednak Beth nie chciała angażować się w żaden związek. Rany po nieudanym małżeństwie jeszcze się nie zabiżniły. Nie wolno jej było się zakochać. Nie teraz.

- Jak stan Iris? Czy coś się zmieniło? - spytała.

- Twoja ciotka majaczy. - Wziął od Beth kubek z kawą i podziękował skinieniem głowy. - Dałem jej tylenol, bo na pewno zwróciła ten, który ty jej podałaś. Trzeba koniecznie zbić gorączkę.

Beth usiadła na krześle obok Brada i zaczęła popijać kawę. Gdy kilka godzin temu pocałował ją, poczuła pożądanie. Teraz siedziała tuż przy nim, udając, że jego bliskość nie wywiera na niej żadnego wrażenia.

Czy Brad coś do niej czuł?

Nagle ciotka krzyknęła głośno. Wystraszona Beth drgnęła i oparzyła się kawą.

- Lyle, Lyle - jęczała Iris. - Przepraszam cię, proszę, przebac mi.

Beth i Brad wymienili zdumione spojrzenia. Iris ścisnęła mocno dłoń Brada i wyznała:

- Kocham cię, Lyle. Zawsze cię kochałam. Dlaczego ty nie potrafiłeś pokochać mnie równie mocno?

Głos ciotki przepełniony był takim bólem i żalem, że Beth poczuła ucisk w sercu. Nie miała jednak pojęcia, za co ciotka tak bardzo przeprosza narzeczonego. Co zrobiła Lyle'owi McMurtry'emu, że dręczą ją tak potężne wyrzuty sumienia?

- Wszystko w porządku, Iris, jestem przy tobie. - szepnął Brad, wcielając się w McMurtry'ego.

Okazywał ciotce tak wiele współczucia, że Beth jeszcze bardziej się rozczuliła.

- Lyle, Lyle, nie powinnam była... - Niespodziewanie urwała.

- Nigdy przedtem nie mówiła o Lyle'u McMurtrym - powiedziała cicho Beth. - To musi być bardzo bolesne wspomnienie. Chciałabym wiedzieć, co między nimi zaszło.

- To ty naprawdę nie wiesz?

- Naprawdę.

- Lyle, przepraszam! - krzyknęła znowu Iris. Brad poklepał ją uspokajająco po dłoni.

- Wszystko w porządku, Iris, nie masz mnie za co przeproszać.

Iris usiadła i spojrzała podejrzliwie na Brada. Wydawała się zupełnie przytomna.

- Dlaczego kłamiesz? Dobrze wiesz, że mam. Dlaczego nie chcesz tego przyznać?

Beth westchnęła głośno, ale nic nie powiedziała.

- Nie miałam pojęcia, że to wszystko tak się skończy. Dlaczego mnie oszukałeś? Myślałam, że mnie kochasz.

Beth zaczęła cicho płakać. Nie mogła spokojnie słuchać, jak ciotka rozmawia ze zmarłym narzeczoną. Iris, mimo upływu lat, wciąż go kochała.

- Wierzę ci, Iris, ale ty też musisz mi uwierzyć - wyszeptał Brad. Jego słowa wyraźnie ją uspokoiły. Położyła się i wkrótce zapadła w sen.

- Powinna teraz odpocząć. - Obserwując spokojny oddech Iris, wiedział, że gorączka już spadła.

- Najgorsze chyba za nami, a sen to najlepsze lekarstwo.

- Och, dzięki Bogu. - Beth wzięła chusteczkę, którą podał jej Brad, i wytarła nos. Zupełnie odruchowo chciała mu ją zwrócić, na szczęście w porę się opamiętała. Uśmiechnęła się przeproszająco i wcisnęła chustkę do kieszeni. - Dziękuję za wszystko, co zrobiłeś. To znacznie wykraczało poza obowiązki lekarza.

- Już ci powiedziałem, że to mój...

- Nie, zrobiłeś o wiele więcej. - Potrząsnęła głową. - Okazałeś jej współczucie. To było wspaniałomyślne, wzięwszy pod uwagę twoje podejrzenia. Uważasz przecież, że ciotki miały coś wspólnego ze zniknięciem twego ojca.

- Przejdźmy do innego pokoju, żeby nie obudzić Iris - zaproponował i ujął Beth za rękę. - Nie wiem, czy twoje ciotki mają coś wspólnego ze zniknięciem mojego ojca. Oby nie, bo bardzo je polubiłem.

- One też cię polubiły - odparła z uśmiechem.

- A ty, Beth, lubisz mnie chociaż trochę? Poczwała, że poca jej się dłonie, dlatego wsunęła je do kieszeni.

- Uważam, że jesteś bardzo sympatyczny.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie. Lubisz mnie?

Przez chwilę patrzyli sobie prosto w oczy. Beth czuła, jak jej puls gwałtownie przyśpiesza. Była z natury nieufna, ale lubiła Brada o wiele bardziej, niż powinna.

- Tak, lubię cię, ale to jeszcze nic nie znaczy. Lubię wielu ludzi, a gdy wróci już twój ojciec...

Gdy zobaczyła w jego oczach smutek, wiedziała, że jej słowa odniosły pożądany skutek.

- Cholera, gdzie on się podziewa? Dlaczego przynajmniej nie zadzwoni, by powiedzieć, że wszystko jest w porządku? Bez przerwy sprawdzam wiadomości na sekretarce, ale bezskutecznie. To okropne.

- Może ma zaniki pamięci.

- No tak, ale zawsze nosił przy sobie dokumenty. - Brad potrząsnął głową. - Gdyby był w szpitalu, szybko by ustalili jego tożsamość. - W kostnicy też, dodał w myślach.

- No to może po prostu musi pobyć sam. Wszyscy miewamy czasem takie chwile. Wyjechał, by coś przemyśleć albo rozwiązać jakiś problem.

- A może już nie żyje? - szepnął Brad drżącym głosem.

- Nie wolno ci tak myśleć. - Beth poklepała go uspokajająco po ramieniu. - Zobaczysz, na pewno wszystko dobrze się skończy.

- Szeryf obiecał zająć się sprawą. Mam nadzieję, że wkrótce coś ustali.

- Na pewno. - Równie pewne jest to, że Seth Murdock wkrótce złoży jej wizytę. Już teraz powinna się przygotować do tego spotkania.

Gdy nazajutrz rano Beth weszła do mieszkania ciotek, Iris wyglądała o wiele lepiej. Siedziała w łóżku i jadła owsiankę, a Ivy skakała wokół niej niczym zaniepokojona kwoka.

- Myślałam o tych powidłach śliwkowych, które Beth dała niedawno Phinneasowi Pickensowi - mówiła Iris do Ivy. - Świetnie by pasowały do grzanek. Ivy, mogłabyś zejść do piwnicy i przynieść jeden słoik?

- Nie! - krzyknęła Beth, a gdy ciotki spojrzały na nią zdziwione, zmusiła się do uśmiechu i wyjaśniła: - Ja pójdę. Nie chcę, by ciocia Ivy tak się męczyła. Zresztą o tej porze roku jest tam wyjątkowo wilgotno i chłodno.

Wyraźnie zaintrygowana Ivy zmarszczyła brwi, a potem oznajmiła:

- Kochanie, poradzę sobie. Jestem w stanie przynieść jeden słoik. Ty masz co innego do roboty.

- Nie, ja pójdę. I tak muszę zejść do piwnicy po... - zawahała się na chwilę - ...sok jabłkowy. Będzie potrzebny do obiadu. Lori robi dzisiaj pieczeń wieprzową i chce ją podać z sosem jabłkowym według waszego przepisu. Dobrze wicie, że wszyscy goście uwielbiają to danie.

- Och, to cudownie - powiedziała zadowolona z komplementu Iris. - Wiesz co, Ivy? Powinniśmy znowu przygotować trochę weków

z owoców i warzyw. W piwnicy jest jeszcze dużo miejsca. Co o tym sądzisz?

Beth nie życzyła sobie, by ciotki krzątały się po piwnicy. Jeśli natkną się na kości, natychmiast zaczną o tym rozpowiadać, zapominając, że być może przed laty same je tam zakopały.

- To niedobry czas na przetwory - stwierdziła. - Może lepiej poczekać do wiosny?

- Czy jest jakiś powód, dla którego chcesz nas trzymać z dala od piwnicy? - spytała Ivy, patrząc podejrzliwie na siostrzenicę.

Beth potrząsnęła głową i roześmiała się nieco histerycznie.

- Nie, skądże. Po prostu chciałam zaoszczędzić wam kłopotu. Zresztą idzie zima. Teraz nie ma zbyt wielu owoców i warzyw.

- Hank wyhodował bardzo ładne dynie. Przydadzą się do ciasta - odparła Iris. - Poza tym mamy w piwnicy sporo jabłek. Zrobimy przecier.

Beth co prawda kiwnęła głową, ale myślała zupełnie o czymś innym. Musi coś zrobić z tymi cholernymi kośćmi. Nie może wiecznie trzymać ciotek z dala od piwnicy. Trzeba znaleźć nową kryjówkę, im szybciej, tym lepiej.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Szeryf Murdock rozglądał się po holu pensjonatu. Czekał na Beth, która poszła sprawdzić, jak miewa się jej chora ciotka. Nie było jej już od piętnastu minut, toteż miał okazję wszystko dokładnie obejrzeć. To, co zobaczył, bardzo przypadło mu do gustu.

Nie był tu od chwili uroczystego otwarcia, ale mógł stwierdzić z całą stanowczością, że Beth wykonała kawał dobrej roboty. Przyłożyła się do remontu i wystroju wnętrza. Wszystko było starannie dobrane, nawet wycieraczki.

Ethel często błagała go, by spędzili tutaj chociaż jedną noc. To miałyby być taki romantyczny powrót do dawnych uczuć. Osobiście uważał to za nonsens, bo przecież mieli zupełnie niezłą sypialnię we własnym domu, a pieniądze nie rosną na drzewach.

Gdy chciał się kochać z żoną, robił to we własnym łóżku.

Romantyczna część jego natury doznała znacznego uszczerbku, gdy Ethel zaczęła żartować z jego wagi. Poklepał się po wielkim brzuchu i westchnął. Zdawał sobie sprawę, że nie wygląda zbyt atrakcyjnie. To wszystko przez te cholerne orzeszki. Jednak, na litość boską, Ethel była równie gruba jak on. Owszem, nadal ją kochał, lecz jego zainteresowanie seksem znacznie osłabło. Zupełnie inaczej było na początku ich małżeństwa, kiedy nie potrafił utrzymać rąk przy sobie i często ciągnął Ethel do sypialni.

Potrząsnął głową i mruknął:

- Cholerne orzeszki.

- Przepraszam, że kazałam panu tak długo czekać, szeryfie - powiedziała Beth, wchodząc do zalanego słońcem holu. Uśmiechnęła się, wskazała mu fotel, a sama usiadła na kanapie.

Wydawało mu się, że jest trochę zaniepokojona i chętnie dowiedziałby się, dlaczego.

- Mam nadzieję, że twoja ciotka czuje się lepiej - powiedział, by pochwalić się dobrymi manierami. Jednak gdy kładł kapelusz na pobliskim stoliku, pomyślał, że Iris Swindel jest zbyt twarda, by umrzeć. Dopadnie tę starą wiedźmę, choćby to miała być ostatnia rzecz, którą zrobi.

- Tak, ciocia Iris czuje się znacznie lepiej. To jakaś infekcja wirusowa. Dopilnuję, by jeszcze przez kilka dni nie wstawała z łóżka.

Szeryf zauważył, że Beth kilka razy wytarła dłonie w spodnie. Musiały być spocone. Ciekawe dlaczego?

- Założę się, że nie jest z tego zadowolona. Ja też nie lubię leżeć w łóżku. Ethel twierdzi, że jestem najgorszym pacjentem pod słońcem.

- Ciocia Iris też tego nie znosi, wręcz żywiołowo. - Beth uśmiechnęła się trochę sztywno. - Ale to dla jej dobra. A zatem o czym chciał pan ze mną porozmawiać? - Skrzyżowała ręce na piersiach.

- Doktor Donovan zgłosił zaginięcie ojca. Zająłem się tą sprawą. Roberta Donovana widziano w tym pensjonacie, dlatego uznałem, że właśnie tu powinienem rozpocząć moje śledztwo.

Gdyby miał coś więcej poza podejrzeniami, wymusiłby na starym sędzim Havartym nakaz przeszukania. Przetrzęsnałby tu

wszystko od piwnicy aż po dach i na pewno znalazłby jakiś dowód na to, że starsze panie są zamieszane w zniknięcie obu mężczyzn.

- Obawiam się, że nie mam zbyt wiele do dodania. Zresztą rozmawiałam już o tym z Bradem, to znaczy z doktorem Donovanem. Jego ojciec mieszkał u nas przez kilka dni, potem uregulował rachunek i wyjechał.

Szeryf zapisywał coś pilnie w notatniku, ale ukradkiem obserwował Beth. Była trochę zdenerwowana, ale chyba mówiła prawdę. Choć z drugiej strony tego nigdy nie można być pewnym, jeśli chodzi o kobiety.

- Jak zapłacił?

- Sprawdziłam to dziś rano. Pan Donovan zapłacił gotówką. Wtedy uznałam to za dość dziwne, bo większość gości płaci kartą.

- Czy twoje ciotki zaprzyjaźniły się z Robertem Donovanem?

Daremnie szukał w jej oczach oznak paniki. Wyglądała bardzo niewinnie, ale to jeszcze nie znaczyło, że była z nim szczerą. Może po prostu świetnie kłamała.

- Kilka razy z nim rozmawiały i grały w karty. Nie wiedzą, gdzie się podział.

- Sam to ocenię, gdy z nimi porozmawiam. Zbladła i wyraźnie się przestraszyła. Nareszcie doczekał się reakcji, na jaką czekał.

- Szeryfie, czy to naprawdę konieczne? Jak już wspomniałam...

- Beth, to poważna sprawa. Zaginął człowiek. Oczywiście poczekam, aż twoja ciotka wydobrzeje. Chcę porozmawiać również z Ivy. Są jak papużki nierozłączki.

- W porządku, ale proszę ich zbytnio nie męczyć. Są takie delikatne. Na pewno pan to rozumie.

Seth skinął głową, choć dobrze wiedział, że starsze panie mają więcej energii niż on. Nadal bardzo się udzielały w przeróżnych akcjach, przede wszystkim organizowanych przez kościół. Pewnie dlatego, że były córkami pastora. Iris lubiła chodzić wszędzie na piechotę i była niezłym piechurem. Swoją drogą to szczęśliwe zrządzenie losu, bo Bóg jeden wie, co ta kobieta wyprawiałaby za kierownicą.

- Czy domyślasz się, dlaczego doktor Donovan uważa, że twoje ciotki zatajają jakieś informacje o jego ojcu?

Beth na chwilę zamarła, jej oczy pociemniały.

- Nie mam pojęcia. Proszę zapytać o to doktora Donovana. Martwi się bardzo zniknięciem ojca, dlatego chwytą się, czego tylko może. Ja na jego miejscu robiłabym to samo.

- Beth, Donovan wie o zniknięciu McMurtry'ego. Myślę, że również z tego powodu stał się podejrzliwy wobec twoich ciotek. Ostatecznie zaginęło dwóch mężczyzn, których twoje ciotki dobrze znały. Czy to cię nie zastanawia?

- Och, zwykły zbieg okoliczności. Moje ciotki są już dosyć wiekowe, bardzo słabe i delikatne. Nie miałyby siły, żeby zabić muchę.

- Nie trzeba siły, żeby zabić człowieka. Wystarczy trochę trucizny. - Szeryf pomasował nalany kark.

Beth aż syknęła ze złości i zacisnęła dłonie w pięści.

- Nie podobają mi się pana sugestie.

- Nie chciałem cię zdenerwować, po prostu wykonuję swoją pracę.

- Cóż, zatem skoro jest pan taki zajęty, nie będę pana dłużej zatrzymywać. - Wstała z kanapy.

- Chwileczkę, jeszcze jedno pytanie. Może zauważyłaś albo znalazłaś coś dziwnego?

- Nie, nic - odparła szybko i nieco zbyt gwałtownie.

Szeryf utwierdził się w przekonaniu, że Beth nie mówi mu całej prawdy.

Beth obserwowała przez okno, jak Seth Murdock zmierza do swojego samochodu. Odetchnęła z ulgą. Dzięki Bogu, że to przesłuchanie wreszcie się skończyło. Była zaniepokojona nie tylko dociekliwymi pytaniami szeryfa. Martwiła się też, że ciotki, wykorzystując jej nieobecność, zejdą do piwnicy.

Podczas rozmowy z szeryfem Murdockiem z trudem zachowywała spokój. Oburzyły ją niektóre z jego sugestii, zadziwiła też szorstkość, z jaką ją potraktował. Nie była na to przygotowana.

Szeryf był niczym pies, który właśnie odnalazł smakowitą kość. Nie, to trochę niefortunne porównanie. Wyczuła, że nie spocznie, dopóki nie rozwiąże sprawy, i to ją mocno wystraszyło.

Nie wiedziała również, jak podczas przesłuchania zachowają się ciotki. Czy wyjdą zwycięsko z konfrontacji z szeryfem? Nie, prędzej się wystraszą. Najchętniej powiedziałyby im o znalezisku w piwnicy i zapytała, co o tym wiedzą, jednak to byłoby zbyt ryzykowne posunięcie. Jeśli Iris i Ivy powiedzą o kościach Murdockowi, oskarży je o morderstwo i zaaresztuje. Nie można do tego dopuścić.

Dlaczego to wszystko jest takie skomplikowane, westchnęła w duchu.

Kiedy odkryła, że mąż ją zdradza, myślała, że już nie może być gorzej. Jak bardzo się myliła! Podłość Grega to bułka z masłem w porównaniu z tym, z czym musiała radzić sobie teraz. Przesłuchiowano ją i mogła być oskarżona o poważne przestępstwo. Zawdzięczała to doktorowi Donovanowi, ale nie miała do niego pretensji. Na jego miejscu postępowałyby tak samo.

Ostatniej nocy bardzo się do siebie zbliżyli. Wzruszyła ją troska, jaką okazał ciotce Iris. Szkoda, że nie poznali się w innych okolicznościach. Na pewno zostaliby dobrymi przyjaciółmi, a może nawet połączyłoby ich coś głębszego. Brad był takim mężczyzną, o jakim Beth zawsze marzyła.

Niestety zbyt wiele ich dzieliło. Największą przeszkodą był zaginiony Robert Donovan. Brad nigdy nie uwierzy, że nie miała z tym nic wspólnego. Skoro podejrzewał Iris i Ivy, musiał podejrzewać również Beth.

Dziś rano był w kiepskim humorze. Pojechał szukać informacji o ojcu. Zamierzał odwiedzić posterunki w pobliskich miasteczkach. Miała nadzieję, że czegoś się dowie i wreszcie uwierzy, że zarówno ona, jak i ciotki są niewinne. Raczej nie będą parą, ale mogliby zostać przyjaciółmi.

Tego samego dnia po południu Beth znów stała w oknie. Obserwowała, jak Brad wysiada z samochodu i idzie do pensjonatu. Towarzyszyła mu olśniewająca blondynka o figurze modelki. Beth nie

miała pojęcia, kim jest ta kobieta, ale od razu poczuła, do niej niechęć. Ciekawe, gdzie Brad ją poznał.

Patrzyła, jak się z czegoś śmieją, i nagle doznała uczucia, o którego istnieniu już niemal zapomniała. Była zazdrosna. Może dlatego, że blondynka nieco przypominała kochankę Grega, chociaż była wyższa i ładniejsza. Na pewno była w typie przystojnego doktorka. Ubrana w markowe ciuchy, z nienagannym makijażem. Nigdy nie pokazałaby się w wytartych džinsach i wyciągniętym swetrze.

Gdy zbliżyli się do drzwi wejściowych, Beth odsunęła się od okna, lecz nadal słyszała ich rozmowę. A nie chciała uronić ani słowa.

- Wiesz, Brad, jesteś bardzo zabawny. Od dawna nie słyszałam tylu dobrych anegdotek.

Beth usłyszała śmiech Brada. Musiał teraz wyglądać jak psotny uczeń. Zaciśnęła wargi. Brad nigdy nie opowiadał jej żadnych anegdotek.

Wszyscy mężczyźni są tacy sami. Liczy się rozmiar biustu, a nie to, co kobieta ma w głowie. Sądziła, że Brad jest inny, ale, jak widać, znów się pomyliła. Pobiegła do holu i zaczęła udawać, że jest bardzo zajęta poprawianiem bukietów, chociaż ułożyła je zaledwie godzinę temu.

- Cześć, Beth. - Brad przywitał ją uśmiechem. - Dobrze, że cię widzę. Przedstawiam ci Karen Richards. Poznaliśmy się w aptece. Wspomniała, że szuka noclegu, dlatego poleciłem twój pensjonat.

Trzeba ją było wysłać do piekła, pomyślała Beth.

- Jestem Beth Randall. - Wyciągnęła rękę na powitanie. - Miło mi panią poznać, pani Richards. Rzeczywiście mamy kilka wolnych pokoi. Zapraszam. - Niestety była w zbyt opłakanej sytuacji finansowej, by zniechęcać potencjalnych klientów.

Karen Richards rozejrzała się wokół, a potem dokładnie obejrzała Beth, przeczuwając w niej rywalkę.

- Pani pensjonat wygląda na bardzo... szacowny. Jakie pokoje są wolne? Wolałabym zamieszkać w apartamencie.

- Przykro mi, ale wszystkie są zajęte. Mamy wolny tylko jeden pokój, na parterze, blisko kuchni - skłamała. - Oczywiście z łazienką i podwójnym łóżkiem. - Był to najgorszy pokój w pensjonacie. Umieszczała tam gości tylko wtedy, gdy miała komplet.

- Ale mi się trafiło. - Karen uśmiechnęła się jadowniczo. - Będę miała własną łazienkę. Jestem pod wrażeniem.

Zdenerwowana Beth zaczęła się zastanawiać, czy nie lepiej machnąć ręką na pieniądze.

Brad, który wydawał się zakłopotany niegrzecznym zachowaniem Karen, przerwał niezręczną ciszę.

- Karen, pokoje są naprawdę bardzo ładne, a jedzenie pyszne. To najlepsza restauracja w całym mieście.

Beth podziękowała mu uśmiechem i zwróciła się do Karen:

- Na jak długo chce się pani u nas zatrzymać? Ten pokój będzie wolny tylko przez kilka nocy.

- Owszem, pieniądze są bardzo ważne, ale nie zniosłaby dłużej obecności tej blondwłosej wydry.

- Tyle czasu mi w zupełności wystarczy - odparła Karen, patrząc znacząco na Brada.

- Proszę, oto klucz do pokoju. Proszę iść prosto tym korytarzem. To będą ostatnie drzwi po prawej stronie. Mam nadzieję, że pani się u nas spodoba.

- Beth udała, że jest bardzo zajęta papierkową robotą.

- Pójdę już, muszę poszukać Stacy.

- Stacy? - zdziwiła się Karen.

Beth natychmiast ochoczo wyjaśniła:

- To dwunastoletnia córka Brada. Uroczą dziewczynka. Są bardzo zżyci, aż przyjemnie na nich popatrzeć.

- Dzięki, Beth. - Brada najwyraźniej mile połechtala jej wypowiedź. - Stacy ubłagała mnie, bym zabrał ją na ryby. Nie łowiłem od lat, nie wiem, jak sobie poradzę. Wolę grać w tenisa.

- Na ryby? - Karen była tak zdumiona i przestraszona, że Beth niemal parsknęła śmiechem.

- Tak, może się do nas przyłączysz? Moja córka na pewno się ucieszy.

- Nie, dziękuję. Kusząca oferta, ale muszę się rozpakować i odświeżyć - odparła Karen szybko i prawie pobiegła do pokoju.

Biedny Brad. Jak mógł nie widzieć, że jedyną rzeczą, która chciałaby złowić Karen Richards, był przystojny i dobrze zarabiający doktor? Mężczyźni są tacy naiwni. Byle cwaniara potrafi owinać ich sobie dookoła palca.

Właściwie nic dziwnego, bo nie myślą głową, tylko zupełnie inną częścią ciała.

- Lubisz wędkować, Beth?

- Uwielbiam, ale teraz nie mogę wyjść. Muszę jeszcze...

- Daj spokój - przerwał jej. - Do twoich obowiązków należy również zabawianie gości, prawda?

- Cóż...

- Potraktuj to jako zapłatę za moje usługi medyczne.

To prawda, była mu coś winna. Ostatniej nocy zachował się wspaniale. Poza tym mogłaby go wypytać, o czym rozmawiał z szeryfem Sethem Murdockiem.

- W porządku, pójdę z wami. Spotkamy się za piętnaście minut przy stawie. Sprzęt rybacki jest w stodole. Hank da wam wszystko, czego będziecie potrzebowali.

- Wspaniale. No to do zobaczenia. Cieszę się, że z nami idziesz.

Beth uniosła brwi i skrzyżowała ramiona na piersiach.

- Czyżby? Zaprosiłeś mnie dopiero w drugiej kolejności.

- Och, po prostu chciałem być grzeczny. Od razu wiedziałem, że Karen się nie zgodzi. Takie kobiety jak ona nie chodzą na ryby. Jest na to zbyt wyrafinowana.

Beth z trudem zachowała spokój.

- Tak, pewnie masz rację. Gdzie mi tam do niej. Ja jestem prostą wiejską dziewczyną, na niczym się nie znam.

- Nie zrozumiałaś mnie. Chciałem tylko powiedzieć, że ty jesteś bardzo zabawna, a Karen...

- Idealna?

Brad potrząsnął głową.

- Karen bardzo przejmuje się swoim wyglądem. Rozumiesz?

W odróżnieniu ode minie, pomyślała Beth.

- Rozumiem. Cóż, przyganiał kocioł garnkowi. Nie każdy mężczyzna chodzi w wyprasowanych dżinsach.

Chciała mu dopiec, a tymczasem bardzo go rozbawiła. Odchylił głowę i roześmiał się głośno, a potem wyjaśnił:

- Noszę rzeczy do pralni, a tam prasują wszystko jak leci. Kiedyś pranie robił mój ojciec, ale zniszczył mi tyle ciuchów, że postanowiłem załatwić to inaczej.

- No dobra. Twoje dżinsy są w porządku. Po prostu uznałam, że skoro jesteś lekarzem, to...

- Prasuję dżinsy i urodziłem się ze srebrną łyżeczką w ustach, tak? No i kto tu ma uprzedzenia? Chyba nie ja.

Beth nie wiedziała, co odpowiedzieć. Tak, zbyt pochopnie go oceniła, za co została delikatnie, lecz stanowczo skarcona.

- Jestem ci winna przeprosiny.

- Nie, nie jesteś. Wystarczy, jeśli przyjdiesz punktualnie na naszą randkę.

Zanim zdążyła zaprotestować, że wcale nie umówili się na randkę, bo ona w ogóle z nikim się nie umawia, już go nie było.

Dobrze by mu zrobiło, gdyby zignorowała jego zaproszenie na ryby. Był zbyt pewny siebie, należała mu się nauczka. Jednak dobrze wiedziała, że tego nie zrobi. Nie dlatego, że uwielbiała wędkować, ale dlatego, że bardzo polubiła pewnego przystojnego doktora, który świetnie całował.

Nad brzegiem stawu Beth zastała tylko Stacy. Dobrze, że miała włożoną kurtkę, bo wiał dość silny wiatr. Buster oczywiście pobiegł ją

powitać. Skoczył na nią tak gwałtownie, że niemal ją przewrócił.

Kiedy lizał ją po twarzy, Stacy chichotała jak najęta.

- Cześć, Stacy. Dobrze się bawisz? - spytała Beth.

- Tak było, dopóki ty się nie zjawiłaś - padła jak zwykle niegrzeczna odpowiedź. - Po co tu przyszedłaś? Wszystko zepsowałaś.

- Zaprosił mnie twój tata - odparła spokojnie, choć bardzo ją zabolowały słowa Stacy. - A właśnie, gdzie on się podziewa?

- Poszedł do Hanka po robaki. - Skrzywiła się, co oznaczało, że nie ma pojęcia o wędkowaniu.

- Wiesz, jak założyć przynętę? - spytała Beth.

- To znaczy robaka? - Stacy potrząsnęła głową.

- Fuj, w życiu nie dotknę tego obrzydlistwa. One są takie obślizgłe.

- No to mogę ci się przydać. Jestem w tym dobra.

Stacy spojrzała na nią zdziwiona, zawahała się, a potem podjęła decyzję.

- No dobra, możesz zostać, ale tylko pod warunkiem, że założysz mi przynętę i nie będziesz flirtować z moim ojcem, jak ta paskudna baba, którą widziałam dzisiaj przez okno, kiedy byłam u Ivy. Jestem pewna, że ta blondyna spróbuje poderwać tatę.

A zatem nie tylko ja to zauważyłam, pomyślała Beth, a głośno powiedziała:

- Jak możesz tak mówić?

- Widziałam, jak ociera się o niego cyckami. Ivy też to zauważyła i powiedziała, że to karygodne, bo ta kobieta zachowuje się jak suka, która ma cieczkę.

- Naprawdę tak powiedziała? To dziwne.

- Beth z trudem stłumiła uśmiech. - Moja ciotka uwielbia publiczne spektakle, zwłaszcza gdy sama w nich występuje. - Widząc zdumione spojrzenie Stacy, zorientowała się, że powiedziała ciut za dużo. - Nieważne - mruknęła zawstydzona.

- Ciocia Ivy zawsze mówi to, co myśli. To mi się w niej podoba. Dziadek jest taki sam.

- Tęsknisz za nim?

Dziewczynka usiadła na ziemi, tuż przy Beth.

- Tak, Mam nadzieję, że szybko się znajdzie. Nie mów o tym tacie, ale coraz częściej mi się wydaje, że dziadek do nas już nie wróci.

- Co ty opowiadasz! Na pewno wszystko dobrze się skończy.

- Ciocia Ivy powiedziała, że czasami starzy ludzie zachowują się jak psy. Odchodzą, by umrzeć samotnie.

Beth zaniepokoiła ta wypowiedź i chętnie dowiedziałyby się czegoś więcej, ale pojawił się Brad.

- Hej, dziewczyny, przyniosłem robaki. Możemy zacząć zawody.

Beth spojrzała na niego i potrząsnęła głową. Brad miał na sobie elegancki sweter i skórzane, zapewne bardzo drogie półbuty.

- Może chcesz się najpierw przebrać? - zaproponowała.

- Nie, dlaczego? - Spojrzał po sobie. - Tak się zawsze ubieram na imprezy sportowe.

- My nie idziemy na imprezę sportową, tylko na ryby. Czy dobrze słyszałam, że to będą zawody?

Stacy skinęła głową i uśmiechnęła się entuzjastycznie.

- Tata powiedział, że kto złapie w ciągu godziny najwięcej ryb, dostanie jutro puchar lodowy.

Muszę wygrać, bo uwielbiam lody z bitą śmietaną i orzeszkami.

- Coś mi się wydaje, że ciotki opowiedziały ci o lodziarni „Claymore”. Ostrzegam jednak, że świetnie łowię ryby, a poza tym uwielbiam polewę karmelową.

- Zaraz, chyba zapominacie, że ja też mogę wygrać! - obruszył się Brad. - Wędkowanie to męski sport.

- Nie - powiedziały Beth i Stacy równocześnie.

- Tato, wszyscy wiedzą, że dziewczyny są w tym lepsze.

- Właśnie - poparła ją Beth. Poza tym w takim ubraniu Brad nie miał szans, by cokolwiek złowić.

- Przestańcie się przechwalać, tylko udowodnijcie, że jesteście ode mnie lepsze.

Zrobiły to godzinę później. Beth miała w koszyku sześć ryb, Stacy pięć, a Brad ani jednej.

- Godzina prawie minęła, doktoru. Chyba jednak nie wygrasz tych zawodów - roześmiała się Beth.

- Nie wiem, jak to się stało - odparł, drapiąc się po głowie.

- Beth bardzo dobrze zakłada przynętę, tato. Powinieneś poprosić ją o pomoc.

- A może to przez te twoje eleganckie ciuchy? - wtrąciła się Beth, a Stacy szybko zasłoniła usta, by nie parsknąć śmiechem.

- Tak, chyba rzeczywiście powinienem był się przebrać.

- Wezmę Bustera i zrobimy rundkę wokół stawu. Beth mi pozwoliła. - Nie czekając na pozwolenie ojca, Stacy odeszła.

- A ja muszę wrócić do pensjonatu, bo ciotki już pewnie czekają na herbatę. - Beth zrezygnowała z pomysłu, by wypytać Brada, o czym rozmawiał z szeryfem Murdockiem. Spędzili miło czas i dobrze się bawili. Nie chciała tego psuć, wspominając o zaginionym ojcu Brada.

- Było wspaniale, Beth. Miło spotkać kobietę, która lubi sport.

- Owszem, lubię wędkować, ale nie znoszę sportu - odparła lekko podniesionym tonem. - Pogadaj o tym z moim byłym mężem. To był zresztą jeden z powodów, dla których w ogóle nam się nie układało.

Gdy odwrócił się w jej stronę, gwałtownie odskoczyła.

- Dlaczego tak bardzo boisz się zostać ze mną sam na sam? - spytał. - Nie martw się, nie będę cię całował.

- Mam wiele powodów, by obawiać się mężczyzn, a ty masz wiele powodów, by obawiać się mnie. Przyznaj, to niezbyt dobry początek znajomości.

- Lubię cię, Beth. Obudziłaś moje zmysły.

Wiem, że to nieodpowiednia pora, by mówić takie rzeczy, ale chciałbym, byśmy zostali kimś więcej niż tylko znajomymi. - Wziął ją w ramiona, a potem pocałował. Nie opierała się.

Pocałunek był słodki i doprowadził jej krew do wrzenia. Gdy poczuła, że słabnie, odepchnęła Brada.

- Nie powinienes tego robić. To w niczym nie zmienia naszej sytuacji. A prawda jest taka, że twoja córka mnie nie cierpi, a ty nadal mi nie ufasz. Nie mam ci tego za złe, bo ja też nie ufam ludziom, zwłaszcza mężczyznom.

- Nie wszyscy mężczyźni są tacy jak twój były mąż. Wielu szanuje żony i dotrzymuje małżeńskiej przysięgi. Nie możesz się tak od wszystkich odgradzać, musisz znów zacząć żyć. Zaryzykuj, naucz się ufać ludziom.

- Po co? Gdy ryzykujesz, z góry zakładasz, że będziesz cierpieć. Ja już szłam tą drogą. W jakim celu miałabym na nią wracać? Lubię być sama. Nikt mnie nie kontroluje, mogę robić, co chcę.

- Każdy potrzebuje bliskiej osoby. Bóg chciał, byśmy żyli w parach.

- Jesteś niepoprawnym romantykiem. Ja też kiedyś taka byłam. Uważaj, takich ludzi jak ty łatwo zranić. - Miała na myśli Karen, która wyglądała na kobietę bez skrupułów. Z łatwością owinęłaby sobie Brada dookoła palca, a on nawet by tego nie zauważył.

- I tak już straciłem czujność. To przychodzi, kiedy się tego najmniej spodziewasz.

- Opamiętaj się, Brad. Nie chcę, żebyś cierpiał. - Musnęła jego ramię. Była pewna, że mówił o Karen.

- Wiesz, niczego nie żałuję. - Uśmiechnął się słodko, ujął jej twarz w dłonie, a potem znów ją pocałował. Po chwili odwrócił się i odszedł.

Beth patrzyła za nim bez słowa. Gdyby tylko sytuacja była inna, pomyślała ze smutkiem. Ale nie jest, i pora się z tym pogodzić.

Chciałaby zaufać Bradowi, powiedzieć mu o znalezisku w piwnicy, usłyszeć od niego, że będzie ją wspierał.

Niestety zaufanie to luksus, na który chwilowo nie mogła sobie pozwolić.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Następnego dnia rano Beth odbyła ciekawą rozmowę telefoniczną. Potem wpadła jak burza do kuchni, wołając Lori. Szefowa kuchni, która właśnie przygotowywała dla gości francuskie grzanki z bananem, podniosła wzrok wyraźnie spłoszona. Jednak Beth uśmiechała się szeroko i była bardzo podekscytowana.

- Wiesz co? „The Messenger” chce zamieścić artykuł o naszym pensjonacie. Zaraz będzie tu Poppy Woodcock i przeprowadzi z nami wywiad. Wspaniale, prawda?

Lori wyskoczyła gęsia skórka ze strachu, ale zmusiła się do uśmiechu. Udawała zachwyt, w rzeczywistości zastanawiała się, jak uniknąć rozmowy z dziennikarką.

Byłoby lepiej, gdyby jej nazwisko nie pojawiło się w żadnej gazecie. Owszem, przydałoby się trochę reklamy, by ugruntować swoją pozycję, ale bała się, że w ten sposób Bill szybciej wpadnie na jej trop. Sukces przyjdzie sam, była o tym przekonana. Wierzyła w swój talent. Trzeba było tylko cierpliwie czekać.

- Uważam, że to ty powinnaś udzielić wywiadu, bo to twój pensjonat. Zresztą ja nie mam doświadczenia w kontaktach z mediami, chyba sobie nie poradzę. - Co prawda nie miała pojęcia, czy artykuły z takich małych lokalnych gazet pojawiają się w internecie, ale wolała nie ryzykować. Lepiej dmuchać na zimne.

- Co ty wygadujesz? - Beth zbyła jej obiekcje machnięciem ręki.
- Świetnie sobie poradzisz, a poza tym jesteś kulinarnym geniuszem.

Wszystkie twoje przepisy są rewelacyjne. To dzięki tobie nasza restauracja zyskuje coraz więcej pochlebnych opinii. Chcę, by w tym artykule poświęcono ci tyle samo miejsca co mnie. Koniec dyskusji.

Lori była wzruszona tą wspaniałomyślną ofertą, ale przecież dobrze wiedziała, skąd pochodzą jej przepisy. W innej sytuacji skakałaby z radości, jednak teraz była zbyt przerażona.

- Ja nie... Nie lubię mówić o sobie. Jeszcze coś pokręcę.

Beth nalala kawę do dwóch kubków i zaprosiła Lori do stołu.

- Spokojnie, Lori. Chcę, by wszyscy docenili twój wielki talent. Poppy z pewnością nie będzie zadawać ci trudnych pytań. Po prostu opowiesz, gdzie się uczyłaś, gdzie przedtem pracowałaś, nic więcej.

I właśnie tego boję się najbardziej, pomyślała Lori.

- Jak sądzisz, czy ten artykuł ukaże się w internecie? - spytała na pozór obojętnie.

- Nie mam pojęcia, ale raczej nie. Mediocrity to małe miasto, a w Pensylwanii jest mnóstwo pensjonatów o wiele lepszych od mojego. Oczywiście byłoby wspaniale, gdyby ten materiał ukazał się w filadelfijskich gazetach. Trudno sobie wymarzyć lepszą reklamę.

- Oczywiście, byłoby wspaniale - odparła Lori, żałując ponieważ, że w ogóle o to zapytała.

Beth zaczęła z apetytem zajadać jeszcze ciepłą mufinkę z jagodami.

- Może powinnam zadzwonić do mojej przyjaciółki Ellen, która pracuje w „Philadelphia Inquirer”. Wiem, że popłynęła w rejs i trudno będzie się do niej dodzwonić. Jest dziennikarką śledczą i ciągle tropi jakieś wielkie afery.

- Jeśli jest na rejsie, to nie zwracaj jej głowy. Nie psuj jej wakacji. Zresztą i tak pewnie nie będzie mogła nam pomóc. „Inquirer” zajmuje się zupełnie innymi sprawami.

- No jasne, jak mogłam zapomnieć! Przecież ty mieszkałaś w Filadelfii. Może masz jakichś znajomych, którzy mogliby nam pomóc? Będę ci wdzięczna do grobowej deski.

- Nie. - Lori gwałtownie potrząsnęła głową. - Nie mam tam wielu znajomych, bo całymi dniami i nocami siedziałam w kuchni. Wiesz, jak to jest. - Uśmiechnęła się, licząc na to, że szefowa porzuci ten temat.

Beth co prawda skinęła głową, ale Lori niemal słyszała, jak pracują trybiki w jej mózgu. Dobrze знаła szefową i wiedziała, że jak się do czegoś zapali, to nie spocznie, póki nie zrealizuje pomysłu. No tak

Westchnęła w duchu. Pozostaje mieć nadzieję, że materiały z tutejszej gazety rzeczywiście nigdy nie znajdą się w internecie. Bill regularnie czytał „Inquirera” i wolała się nie zastanawiać, co by zrobił, gdyby wpadł na jej trop.

Oskarżyłyby ją o kradzież, złamanie warunków zatrudnienia, kto wie, może nawet wylądowałyby w więzieniu i musiałaby się pożegnać z karierą. Nie chciała go oglądać z jeszcze jednego powodu. By nie mówić o uczuciu, którego tak długo się wypierała.

- Co się stało? Czym tak się martwisz? Myślałam, że się ucieszysz. Otwiera się przed nami wielka szansa.

- Tak, cieszę się. - Lori zmusiła się do uśmiechu. - Po prostu trochę boję się rozmowy z tą dziennikarką. To chyba trema.

- Wypij jeszcze jedną filiżankę kawy i spróbuj wziąć się w garść. Poppy pracuje w gazecie od lat. Jest bardzo doświadczona i miła. Wszystko pójdzie jak po maśle, zobaczysz.

- Mam nadzieję. - Chciała dla Beth wszystkiego co najlepsze. Jeśli wyjdzie na jaw, że szefowa jej kuchni jest złodziejką, przyszłość pensjonatu stanie pod znakiem zapytania.

Zgodnie z oczekiwaniami miasteczkowy fryzjer uraczył Aubreya wieloma smakowitymi historyjkami, a w dodatku okazał się zręcznym rzemieślnikiem.

To właśnie od Maksa Greeleya Aubrey dowiedział się, że są dwie siostry Swindel. Obie były emerytowanymi nauczycielkami i uchodziły za nader ekscentryczne starsze panie. Mieszkały w olbrzymim wiktoriańskim domu na południowym krańcu miasta. Teraz mieścił się tam pensjonat prowadzony przez cioteczną wnuczkę sióstr Swindel, Elizabeth Randall.

Wiadomość o dużej posiadłości natychmiast zainteresowała Aubreya. Zaraz po wizycie u fryzjera wybrał się do pensjonatu. Był dalekowzrocznym biznesmenem, dlatego już wcześniej sprawdził ceny nieruchomości w okolicy. Dobrze wiedział, ile wart jest duży dom i dwadzieścia hektarów ziemi, na której znajduje się staw, duży sad i kilka mniejszych budynków, w tym murowana stodoła.

Gdy dojeżdżał do pensjonatu, zatrzymał się na poboczu, by wszystko dokładnie obejrzeć. Zobaczył imponujący trzypiętrowy budynek z rozległą werandą. On osobiście natychmiast kazałby ją zburzyć. Z drogi widać było również staw i murowaną stodołę. Z uznaniem pokiwał głową. Spodobało mu się to, co zobaczył. Nawet

bardzo. Okolica była co prawda typowo rolnicza, ale to podnosiło wartość terenu. Właściwie już zdecydował, że należałoby tu postawić luksusowe osiedle mieszkaniowe.

Mediocrity nie było wprawdzie tłumnie odwiedzane przez turystów, ale to można zmienić. Wystarczy przeprowadzić dobrze pomyślaną kampanię reklamową. Tak, to miejsce mogło okazać się kurą znoszącą złote jajka.

Oczywiście jeśli kupi ten dom, starsze panie i Beth Randall będą musiały się wynieść. Przez moment dręczyły go wyrzuty sumienia, że wyrzuci rodzoną matkę na bruk, ale szybko się z tym uporał. Ostatecznie na nic więcej nie zasługiwała. Opuściła go, porzuciła jak niechcianego szczeniaka.

Jego ojciec prawdopodobnie nie żył. Aubrey doszedł do takiego wniosku, przeglądając w bibliotece stare gazety. Lyle McMurtry zaginał ponad pięćdziesiąt lat temu w do dziś niewyjaśnionych okolicznościach. Podejrzewano, że Iris Swindel maczała w tym palce, lecz nigdy nie zgromadzono przeciwko niej wystarczających dowodów.

Starsza pani wyglądała na osobę bezwzględną i pozbawioną zasad. Przynajmniej wiem, po kim to odziedziczyłem, pomyślał. Jaka matka, taki syn.

Pozbawienie jej dachu nad głową będzie słodką zemstą, a także odpowiednią karą, o ile ta stara dziwaczka rzeczywiście zamordowała jego ojca.

Na razie Aubrey nie zamierzał rozpowiadać wszem i wobec, że chce kupić ten dom. Najpierw zrobi rozeznanie, zorientuje się, jaką

ofertę powinien złożyć. Kto wie, czy Elizabeth Randall nie ukrywa w szafie kilku trupów? Każdy człowiek ma jakiś słaby punkt. Wystarczy odkryć, co to jest, a Aubrey był w tym dobry. Słabi ludzie to idealne ofiary. To znana prawda, którą rządzi się świat. Przeżyją tylko najsilniejsi.

Na rynku nieruchomości panowała duża konkurencja, ale Aubrey wiedział, jak utrzymać się na szczycie. Potrzebne były: spryt, pieniądze i wola walki bez oglądania się na koszty.

Aubrey miał wszystkie te cechy.

Podczas sortowania prania Beth rozmyślała o wywiadzie, którego udzieliła lokalnej gazecie. Poszło zupełnie nieźle. Tak przynajmniej twierdziła Poppy Woodcock, a biorąc pod uwagę jej doświadczenie, należało jej wierzyć.

Lori zachowywała się nieco dziwnie i Beth zaczęła się zastanawiać, dlaczego szefowa kuchni tak bardzo nie chce, by jej nazwisko ukazało się w gazecie. Ta dziewczyna czymś się martwiła, ale Beth nie miała pojęcia, o co chodzi. Próbowwała ją dyskretnie wybadać, spytała o sytuację finansową, zaproponowała pomoc, jednak Lori z uporem twierdziła, że wszystko jest w porządku.

Beth instynktownie czuła, że Lori ją okłamuje, ale cóż mogła zrobić? Nie rzuci jej tego prosto w twarz, bo restauracja potrzebowała kucharza, zwłaszcza że zbliżało się uroczyste otwarcie.

Wygladziła ręcznik i złożyła go dokładnie. Zaczęła analizować ostatnią rozmowę z Karen Richards. Karen poskarżyła się, że hotelowe ręczniki są zbyt szorstkie i drapią jej delikatną skórę. Był to zarzut wyssany z palca. Beth sama robiła pranie i dbała, by wszystko

było w jak najlepszym porządku. Ręczniki były nie tylko miękkie i puszyste, ale też bardzo pachnące.

Zresztą co to za różnica, czy blondwłosa jędra jest zadowolona z ręczników? I tak zamierzała jutro wyjechać i poszukać pokoju w innym hotelu. Oznajmiła wyniośle, że jako osoba wrażliwa

i delikatna jest przyzwyczajona do lepszych warunków. Zapewne wybiera się na łowy do „Excelsiora”, pomyślała Beth złośliwie. Tam jest więcej nadzianych facetów i większe pole do popisu.

- No i dobrze - mruknęła Beth.

Poczuła ulgę, że Karen wreszcie da spokój Bradowi. Ta cwaniara starała się, jak mogła, by zaciągnąć go do łóżka, ale nie wpadł w jej pułapkę. Okazał się mądrzejszy niż większość mężczyzn.

Owiewało ją gorące powietrze z suszarek i zaczęła się pocić. Znużonym gestem otarła czoło. Musiała wyglądać okropnie. Dobrze, że nikt jej teraz nie widział. Włosy pod wpływem wilgoci i gorąca jeszcze bardziej się poskręcały i na-stroszyły. Koszulka była troszkę poplamiona, a wytarte dżinsy pamiętały lepsze dni.

- Aha, tutaj jesteś. Wszędzie cię szukałem. W pierwszej chwili Beth miała ochotę zakląć.

Odwróciła się do niego i zobaczyła, jak jego twarz zastyga w grymasie zdziwienia. Hm, widać rzadko widywał zmęczone i spocone kobiety. Już miała przygłodzić trochę włosy, ale powstrzymała się.

- Naprawdę? A o co chodzi?

- Nic wielkiego - uspokoił ją szybko. - Stacy przypomniała mi, że obiecałem wam dzisiaj postawić lody. Może pójdziemy po lunchu?

Zauważyłem, że o tej porze jest tu dość spokojnie i nic ważnego się nie dzieje.

- Owszem, ale nie musisz mnie zapraszać na lody tylko dlatego, że przegrałeś zawody wędkarskie - odparła hardo, choć uwielbiała karmelową polewę, a teraz zjadłaby każde lody.

- Stacy chce, żebyś z nami poszła. Tak będzie według niej sprawiedliwie, bo pomagałaś jej zakładać przynętę na haczyk.

- Czym się zaszantażowała? Obiecałeś jej kupić nowy samochód?

Śmiech Brada był równie kuszący jak gorąca polewa karmelowa.

- Oboje chcemy, żebyś z nami poszła. Stacy chyba zaczyna cię lubić, co mnie bardzo cieszy próżno szukać logiki w zachowaniach nastolatki. Może naprawdę jest ci wdzięczna za pomoc przy robakach?

- Cóż, w takim razie chętnie się z wami wybiorę. - Beth skrzywiła się zabawnie. - Spotkamy się w holu o pierwszej. W porządku? - Brad zaczął nerwowo przestępować z nogi na nogę. Widząc to, dodała: - Jeśli nagle zmieniłeś decyzję i nie chcesz, żebym z wami poszła, wystarczy powiedzieć. To żadna tragedia.

- Nie o to chodzi. Chciałbym zaprosić cię dziś wieczór na kolację, ale boję się, że zrobię z siebie głupka. Wiesz, trochę wyszedłem z wprawy.

- Zapraszasz mnie na randkę? - Spojrzała na niego z niedowierzaniem. Dobry Boże, nie tego się spodziewała. Zrobiło jej się jeszcze bardziej gorąco. Nic dziwnego...

- Tak. Znalazłem miłą restaurację za miastem. Co o tym sądzisz?
Zapewne mówi o „Brookside”, pomyślała Beth. Miesiąc temu lokal zmienił właściciela. Teraz była to elegancka i droga restauracja, poważna konkurencja dla jej pensjonatu.

Jeszcze nigdy tam nie jadła, ale mało kto lubi samotnie jadać w eleganckich restauracjach. To takie krępujące. Oczywiście była bardzo ciekawa ich kuchni, chciała sprawdzić, co serwują, w czym może być od nich lepsza.

Zaproszenie Brada ułatwiło jej sprawę, jednak gdy je usłyszała, w pierwszym odruchu chciała odmówić. Co innego wizyta w lodziarni, a co innego kolacja w eleganckiej restauracji. To dość ryzykowna sprawa.

- No dalej, zgódź się - poprosił, widząc jej wahanie. - Będę się zachowywał jak dżentelmen, obiecuję. Słowo skauta.

- Wcale mnie nie dziwi, że byłeś w skautach. Tak właśnie myślałam. Poza tym na ogół, chociaż nie zawsze, zachowujesz się jak dżentelmen. Doceniam też twoją wielką odwagę, bo pewnie teraz wyglądam jak strach na wróble. Zgoda.

- Świetnie. Zarezerwowałem stolik na wpół do ósmej. -
Uśmiechnął się szeroko.

- Zarezerwowałeś stolik, zanim zapytałeś mnie o zdanie? -
Powinna być oburzona, ale odczuła wielką radość. - To się nazywa pewność siebie.

- Po prostu nigdy nie tracę nadziei.

- A co ze Stacy? Nie będzie zła, że wychodzimy bez niej?

- Moja córka nie będzie mi mówić, co mam robić. Owszem, rozmawiałem z nią o tym. Nie ma nic przeciwko, bo wybiera się z wizytą do twoich ciotek. Zaprosiły ją na piżamowe party. Podobno Iris nauczy ją jakichś zaklęć. - Uśmiechnął się. - Stacy jest wyjątkowo podekscytowana. To jakiś postęp.

Beth była przekonana, że ciotki uknuły intrygę i specjalnie zaprosiły Stacy. Chciały, by Beth i Brad poszli razem na randkę.

- Czy ciocia Ivy nie proponowała Stacy wizyty na e-Bayu?

- Chyba tak.

- Kiedy byłam w wieku Stacy, spędzałam z nimi mnóstwo czasu. Były o wiele zabawniejsze niż moja matka.

- Czy twoja matka wciąż żyje? Nigdy o niej nie wspominasz.

- Żyje. Jest zbyt uparta, żeby umrzeć. - Uśmiechnęła się ironicznie, widząc zaszokowaną minę Brada. - Jak już się zapewne zorientowałeś, nie jesteśmy w najlepszych stosunkach.

- Może jesteście do siebie zbyt podobne. To tak jak ja i mój ojciec. Też bez przerwy o coś się kłócimy.

- Mam nadzieję, że się mylisz, bo w przeciwnym wypadku musiałabym sobie przeszczepić osobowość.

- Czy twoja matka przyjedzie na Święto Dziękczynienia?

- Wypluj te słowa, doktoru. I tak mam wystarczająco dużo kłopotów.

- A zatem chyba czas zmienić temat. - Zerknął na zegarek. - Muszę już iść. Umówiłem się ze Stacy na dziesiątą. Jedziemy na zakupy, bo podobno potrzebuje nowej bielizny. - Wzniósł oczy do nieba. - Życz mi szczęścia. Do zobaczenia później.

Beth z uśmiechem obserwowała, jak odchodzi, jednak szybko radość ustąpiła miejsca zadumie. Prawdopodobnie popełnia wielki błąd, godząc się na zacieśnienie znajomości z przystojnym doktorem. Niewiele na tym zyska, a może bardzo dużo stracić.

Na przykład własne serce.

- Wyślę panu czek tak szybko, jak tylko będzie to możliwe, panie Weathers. Wiem, że obiecałam uiścić resztę opłat za wymianę okien już w zeszłym tygodniu, ale mam pewne kłopoty. - Z pobladłą twarzą słuchała gniewnych krzyków rzemieślnika. Gdy odłożyła słuchawkę, popadła w ponurą zadumę. Westchnęła ciężko.

- Jakiś problem, Beth? - spytała Iris. - Chętnie ci pomogę.

- Nic poważnego, ciociu. Po prostu ściga mnie kolejny dłużnik. Mam nadzieję, że pan Pickens szybko podejmie decyzję w sprawie mojego kredytu. Swoją drogą, dlaczego to tak długo trwa?

- Cierpliwości, Beth. - Iris poklepała ją uspokajająco po ramieniu. - Szczęście dopisuje tym, którzy spokojnie czekają. Nie denerwuj się, dostaniesz ten kredyt.

- Obyś miała rację, bo w przeciwnym wypadku będzie z nami krucho.

Podsluchująca pod drzwiami Karen Richards uśmiechnęła się z satysfakcją.

Może wreszcie zamkną ten nędzny pensjonat. Do czego to podobne, by niezadowoleni goście musieli szukać po kilku nocach lepszej kwatery. Poza tym taka prosta i niezadbana kobieta jak Beth Randall nie miała prawa podrywać przystojnego i bogatego doktora Bradleya Donovana.

Przeżyła ciężkie chwile, bolejąc nad tym, że Brad wybrał nie ją, lecz tę wiejską gąskę. To był policzek, o którym trudno zapomnieć. Nie należała do kobiet, które godzą się z przegraną.

- Aż mi się nie chce wierzyć, że jem jeszcze deser, skoro kilka godzin temu pochłonęłam puchar lodowy. - Beth włożyła do ust kolejny kawałek sernika i mruknęła z zadowoleniem. - Będę gruba jak świnia, ale trudno. Ten sernik jest wart każdej ofiary.

Brad obserwował zafascynowany, jak Beth oblizuje widelec. W sposobie, w jaki jadła, było coś niezwykle zmysłowego. Nie mógł oderwać od niej oczu.

- Dlaczego nie jesz swojej tarty? Wygląda świetnie.

- Chcesz spróbować? - spytał.

- Oczywiście. - Skrzywiła się lekko. - Powinieneś dwa razy pomyśleć, zanim zaproponowałeś mi deser. Uwielbiam słodczyce. - Gdy nachyliła się, by wziąć kawałek ciasta z jego widelca, poczuł zapach jej perfum. - Mmm, pyszne, chociaż byłoby jeszcze lepsze z lodami waniliowymi, tak jak podajemy w naszej restauracji.

Uśmiechnął się, rozbawiony jej entuzjazmem.

- Czy już ci mówiłem, że pięknie dziś wyglądasz? Podoba mi się twoja sukienka. - Beth była ubrana w czarną, krótką i bardzo dopasowaną sukienkę. Wyglądała w niej niezwykle seksownie i elegancko.

- Dziękuję. - Czowała, jak płoną jej policzki. - Rzadko się tak stroję. Jak już zapewne zauważyłeś, w pensjonacie nosimy się trochę inaczej. Ta sukienka przez lata wisiała w szafie, cud, że jeszcze na mnie pasuje.

- Pasuje idealnie.

To był komplement, ale Beth poczuła się nieswojo. Szybko sięgnęła po szklankę z zimną wodą.

- Wszystko bardzo mi smakowało - powiedziała, próbując zmienić temat. - Chociaż marynata, której użyli do udźca jagnięcego była zbyt ostra. Lori robi lepszą.

- Według mnie nie musisz obawiać się z ich strony konkurencji. Owszem, wykonano tu kawał dobrej roboty, podoba mi się wystrój wnętrza, wzorowany na stylu prowansalskim, ale jedzenie w twoim pensjonacie jest o niebo lepsze. Lori zna się na swojej robocie i jest niezwykle kreatywna. Ma talent.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się z wdzięcznością. - Chociaż jako gość mojego pensjonatu chyba nie jesteś do końca obiektywny.

- Jestem nudnym i przewidywalnym skautem, tak?

- Według mnie nie jesteś przewidywalny.

Twoje zaproszenie na kolację bardzo mnie zaskoczyło. Po prostu uważam, że jesteś miły i nie lubisz sprawiać ludziom przykrości.

Rodzice dobrze cię wychowali.

- Chciałbym, byś poznała również moje łózkowe maniery, Beth.

- Ujął jej dłoń. - Co powiesz na małą nocną przejażdżkę?

- Ale dokąd mielibyśmy pojechać? - Zerknęła w zadumie przez okno. - Robi się późno. Po ciemku i tak nic nie zobaczymy.

- Myślałem raczej o poszukaniu jakiegoś miłego miejsca, gdzie dałoby się na chwilę zaparkować.

- Ścisnął jej dłoń.

- Naprawdę? - Spojrzała na niego zdziwiona.

- Jak na wyrośniętego skauta, to dość niezwykła propozycja, w dodatku złożona na pierwszej randce. Hm, zaskoczyłeś mnie.

- Może jestem wyjątkowo sprytnym skautem? Pomyślałem, że postoiemy trochę na parkingu i pogadamy, żeby się lepiej poznać. - Czy naprawdę zobaczył w jej oczach rozczarowanie?

- Ale jeśli wolałabyś robić coś innego, jestem za. To jak?

- Przestań się wygłupiać - odparła zdenerwowana. - Jesteśmy dorosłymi ludźmi. Tylko nastolatki obściskują się na parkingu.

Cóż, rzecz w tym, że czuł się jak napalony nastolatek.

- Nie zrobimy niczego, na co nie będziesz miała ochoty. Co ty na to?

- No dobra, zawsze warto pogadać. To przecież niczym nie grozi, prawda?

- Otóż to.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Wiał lekki wiaterek, była pełnia, jednym słowem wspaniała noc na romantyczne uniesienia. Beth czuła się, jakby znów miała szesnaście lat i wybrała się na pierwszą w życiu randkę. Pociły jej się dłonie, serce biło jak szalone, a przecież Brad nawet jej nie dotknął. Zaparkował pod strzelistymi sosnami.

Gdy wspomniał, że mogliby zatrzymać się na jakimś parkingu i trochę pogadać, poczuła rozczarowanie. Czy to nie głupie? Powinna się cieszyć, że jest takim dżentelmenem.

Gdzie się, do diabła, podziały jej słynna samokontrola i instynkt samozachowawczy? Z pewnością uleciały przez okno na samą myśl o gorącej randce z doktorkiem. Dobrze chociaż, że Brad miał więcej zdrowego rozsądku niż ona. Chociaż, z drugiej strony, to trochę stresujące. Zawsze lepiej, kiedy to partner jest bardziej napalony.

Brad nie odrywał od niej oczu. Chyba mu się jednak podobała, bo już kilka razy ją skomplementował. Przyjemne uczucie, zwłaszcza że już trochę odwykła od miłych uwag na swój temat.

- Nie jest ci zimno? Jeśli chcesz, mogę włączyć ogrzewanie.

Chyba żartował. Było jej potwornie gorąco. Właśnie miała poprosić, by opuścił trochę szybę, bo chętnie by zaczerpnęła świeżego, rześkiego powietrza.

- Nie, skądże.

- Szkoda. Właśnie zamierzałem zaproponować, żebyśmy się przesiedli na tylne siedzenie. Tam jest zawsze trochę cieplej.

- Doktorze, Donovan, jestem zaszokowana. Przywiozłeś mnie tu pod pretekstem miłej pogawędki. Czyżbyś już zapomniał?

- Kłamałem. Tak naprawdę zamierzam całować cię do utraty tchu. Miałem nadzieję, że ty też tego chcesz.

- Jeśli mnie o to zapytasz, odpowiem, że nie.

- Tego się właśnie spodziewałem. - Westchnął zawiedziony.

- No to nie pytaj. - Nie mogła uwierzyć, że to naprawdę powiedziała. Już otwierała usta, żeby naprawić swój błąd, lecz Brad nie dał jej dojść do słowa.

- Jesteś bardzo seksowna, wiesz o tym? Doprowadzasz mnie do szału. Zazwyczaj nie jestem taki napalony ani niecierpliwy. Możesz popytać znajomych, na pewno to potwierdzą.

Już się o tym przekonała. Nikt nigdy nie powiedział, że jest seksowna, nawet Greg.

Przyciągnął ją do siebie, posadził sobie na kolanach i zaczął całować.

Zarzuciła mu ręce na szyję, pogłębiła pocałunek. Jego usta były gorące i miękkie, a ona po prostu topniała. Ta chwila mogłaby trwać wiecznie, a Beth mogłaby do końca życia doświadczać tak wielkiej, rozsadzającej piersi radości.

Gdy Brad jęknął, Beth uznała, że jest równie podniecony jak ona. A zatem nie jest tak oziębła, jak wmawiał jej były mąż. Oczywiście, przecież Greg nigdy nie całował jej z taką żarliwością. Nawet kiedy się kochali, nie czuła się seksowna. Nic dziwnego, zaspokajał własne potrzeby seksualne, nie dbał o jej doznania.

Nagle Brad przerwał pocałunek i spojrzał na nią ze smutkiem.

- Przestań tak kręcić kuperkiem, bo zaraz stracę resztki samokontroli.

- Nieźle podbudowałeś moje ego, doktorku. - Zobaczyła w jego oczach pożądanie i westchnęła.

Potrząsnął głową. Nagle stracił pewność siebie, zmieszał się.

- Przepraszam, chyba nie wykazałem się zbyt wielką delikatnością. To nie w moim stylu. Zazwyczaj zachowuję się zupełnie inaczej. Przy tobie zapominam o wszystkich zasadach.

- W porządku.

- Nie, to nie jest w porządku. - Pomógł jej wrócić na sąsiednie siedzenie. - Beth, naprawdę doprowadzasz mnie do szaleństwa. Pragnę cię, ale nie mam prawa oczekiwać niczego poza przyjaźnią. W naszej sytuacji to najrozsądniejsze wyjście.

Szybkim, nerwowym ruchem poprawiła sukienkę, która nagle wydała się jej o wiele za krótka. Wiedziała, że Brad ma rację, ale to kiepskie pocieszenie. Lepiej nie oddawać serca mężczyźnie, który wkrótce zniknie, wróci do swojego świata.

- Przyjaźń też jest bardzo ważna - powiedziała wreszcie. - Zadowolę się nią, choć marzę o czymś więcej. Nie chcę znowu cierpieć, a tak by się stało, gdybyśmy pozwolili rzeczom toczyć się swoim torem.

- Nigdy bym cię nie skrzywdził.

- Słowo skauta? - spytała, a on skinął głową. - Nie zrobiłbyś tego rozmyślnie, ale i tak bym cierpiała.

- Zależy mi na tobie. - Poglądził ją po karku. - Musisz to czuć.

- Mnie też na tobie zależy, bardziej niż powinno, ale jak już ustaliliśmy, nic z tego nie będzie. Lepiej określić jasno reguły, zanim zrobi się za późno.

- Cholera. - Uderzył się w czoło. - Wszystko byłoby inaczej, gdybym odnalazł ojca. Mamy pecha, prawda?

- Chodzi o coś więcej. Należymy do różnych światów, nie pasujemy do siebie. Jesteś pediatrą, a ja nigdy nie chciałam mieć dzieci. - Spojrzał na nią zdziwiony, ale mówiła dalej: - Dobrze zarabiasz, odniosłeś sukces, potrzebujesz obytej, światowej kobiety, która potrafi się zachować w każdej sytuacji. Ja płynę przez życie niczym bańka mydlana i modłę się, by nie natrafić na ostre skały.

- Dlaczego uważasz, że potrzebuję eleganckiej i obytej kobiety?

- Żartujesz sobie ze mnie, prawda? Jesteś zawsze bardzo elegancko ubrany, porządnie uczesany, na pewno nawet twoje pojemniki na śmieci lśnią czystością. - Westchnęła ciężko. - Wszystko dokładnie planujesz. Patrzyłam, jak notujesz punkt po punkcie listę rzeczy do wykonania, zanim wyruszyłeś na poszukiwanie ojca. Poza tym wiem, jaką żonę powinien mieć mężczyzna z twoją pozycją. Charlottesville to bardzo południowe, takie poukładane w swym charakterze miasteczko. Mam przyjaciółkę, która pochodzi z Południa. Powiedziała mi kiedyś, że żony tamtejszych lekarzy to najlepiej zorganizowane istoty, jakie widziała, Zawsze nieskazitelne, idealne, perfekcyjne. Potrzebujesz właśnie takiej partnerki. A ja, o czym zapewne wiesz, jestem zupełnie inna. Nie pasuję do tego schematu.

Uśmiechnął się i pogładził ją delikatnie po policzku.

- Chyba się nie doceniasz. Wiele osiągnęłaś i powinnaś być z siebie dumna.

Natychmiast pomyślała o szkielecie w piwnicy, o wszystkich kłamstwach, którymi uraczyła Brada, o sekretach. Nie, nie miała być z czego dumna.

- Twoje łóżkowe maniery są bez zarzutu, doktorku, ale chyba już powinniśmy wrócić do pensjonatu. Nie chcę, by ciotki zgłosiły moje zaginięcie. Robi się późno.

- W porządku. Mam przeczucie, że nasza znajomość rozwinie się w bardzo obiecującym kierunku. Już wkrótce.

Uśmiechnęła się. Brad był szczery i prostoliniowy, jak prawdziwy skaut. Wielka szkoda, że nie mogła powiedzieć tego samego o sobie.

- Dlaczego tata i Beth jeszcze nie wracają?

- spytała Stacy, po raz kolejny wyglądając przez okno. Była wyraźnie zmartwiona.

Starsze panie wymieniły znaczące spojrzenia, potem Ivy powiedziała:

- Na pewno musieli długo czekać na stolik. W tych nowych restauracjach jest zawsze pełno ludzi. Wszyscy są ciekawi, jak tam dają jeść. Prawda, Iris?

- Prawda - zgodziła się Iris skwapliwie. Miała nadzieję, że Beth dobrze się bawi. Chciała, by ponownie wyszła za mąż i urodziła dzieci, chociaż Beth często powtarzała, że to nie dla niej.

Każda kobieta pragnie dziecka, to naturalne. Te, które je miały, nie zdawały sobie sprawy z własnego szczęścia. Nie wiedziały, że dostały najcenniejszy dar.

- Iris, co się stało? Nad czym tak dumasz? Iris zaczerwieniła się.

- Nic takiego, to tylko niestrawność.

- Nic dziwnego, ciociu Iris - wtrąciła się Stacy. - Zjadłaś mnóstwo popcornu i sześć dużych czekoladowych ciasteczek, które upiekła Lori.

Ivy, zdumiona szczerością dziewczynki, aż zamrugwała.

- Coś mi się wydaje, siostrzyczko, że powinniśmy przestać sobie folgować.

- Ja też za dużo tutaj jem - przyznała Stacy z uśmiechem. - Lori świetnie gotuje, chociaż czasami trochę za tłusto. - Ujęła się pod boki i spojrzała wyczekująco na starsze panie. - No to co teraz robimy? Znacie jeszcze jakieś zaklęcia?

- Niestety nie. - Iris potrząsnęła głową. - Obiecuję, że nauczę się nowych. Poćwiczmy razem, kiedy znów nas odwiedzisz.

- Byłoby świetnie. Dziś wieczór dobrze się bawiłam. Nie spodziewałam się tego, bo jesteście stare, ale właściwie nie różnicie się wiele od moich szkolnych koleżanek. No wiecie, fajnie się z wami gada i w ogóle.

- Och, kochanie, dziękujemy. - Iris uśmiechnęła się uszczęśliwiona. - Ja i Ivy staramy się być na bieżąco. Uczyłyśmy w szkole, a każdy nauczyciel powinien wiedzieć, czym żyje młodzież. Wtedy nic go nie zaskoczy.

- Hm, kilka razy i tak nas wpuścili w maliny.

- Ivy zachichotała.

Stacy usiadła na kanapie, podciągnęła kolana pod brodę i westchnęła. Stanowczo zbyt ciężko jak na kogoś w jej wieku.

- Nienawidzę szkoły. Chodzę tam tylko po to, by spotkać się z przyjaciółkami.

- Kochanie, dlaczego? - Ivy zmarszczyła brwi.

- Nauka może być przyjemnością, a wszystko, czego się teraz nauczysz, przyda ci się w życiu.

- Tata mówi to samo, ale ja mu nie wierzę.

Nienawidzę historii, jest taka nudna. Kogo obchodzi, co zdarzyło się sto lat temu?

- Czy rozmawiałś o tym z tatą? - spytała strapiona Iris. Jako była nauczycielką martwiło ją, że współczesna młodzież nie pokłada zbytnej wiary w edukację.

Stacy potrząsnęła głową.

- Tata był prymusem i będzie mu wstyd, kiedy się dowie, jaka jestem głupia.

- Wcale nie jesteś głupia. Nie wolno ci tak mówić, rozumiesz? - powiedziała Iris łagodnym tonem. - Byłam kiepska z matematyki, ale siostra mi pomogła, choć wtedy uważałam, że mnie celowo torturuje. Może trzeba ci pomóc, zwłaszcza w przedmiotach, które sprawiają ci trudności.

- A może wy mi pomożecie? Jestem słaba z matmy.

- O rany, sama nie wiem - odparła Iris. - Od lat nie zajmowałam się matematyką, no i w moich czasach program był zupełnie inny.

- No to jestem ugotowana. Jesteście nauczycielkami i nie wiecie, jak mi pomóc?

- Możemy zająć się historią i angielskim - zaproponowała Ivy. - Poproś Beth, żeby pomogła ci z matematyką, chociaż, o ile pamiętam, nie była w tym najlepsza.

- Naprawdę? Myślałam, że tylko ja mam takie kłopoty.

- Skądże, kochanie. Beth też nie lubiła szkoły.

Przeprowadziłyśmy z nią mnóstwo rozmów na ten temat.

Stacy była zachwycona tą rewelacją.

- Nie lubię szkoły z jeszcze jednego powodu. Billy Carson strasznie się ze mnie wyśmiewa, bo jestem płaska jak deska. Inni też zaczęli mi z tego powodu dokuczać. Prosiłam tatę, żeby kupił mi specjalny stanik, ale nie zgodził się. Uznał, że jestem zbyt młoda, by martwić się takimi rzeczami.

- No cóż... - odparła bezradnie Iris. Teraz Ivy przejęła inicjatywę:

- Cóż, mężczyźni... Sporo o nich wiem. Kiedyś podzielę się z tobą tą wiedzą, a co do stanika, nie martw się, zamówimy go przez internet.

- Wspaniale! W ogóle o tym nie pomyślałam.

- Bo nie jesteś taka perfidna jak moja siostra - zdenerwowała się Iris, a potem zwróciła się do Ivy: - To niedobry pomysł. Nie powinnaś nic robić za plecami doktora Donovana.

- A ja nadal uważam, że świetny. Tata nie powinien decydować o tym, jaką noszę bieliznę. No, ale w naszym domu nie ma kobiety, a dziadek zaginął.

Iris i Ivy przez chwilę patrzyły na siebie w milczeniu. Obie pomyślały o tym samym: Beth byłaby wspaniałą matką dla Stacy i żoną dla Brada.

Gdyby tylko nie doszło do tego nieszczęsnego incydentu z Robertem Donovanem, zadumała się Iris.

- Posłuchaj, zgodzę się, by Ivy pomogła ci kupić stanik przez internet, ale w zamian musisz mi coś obiecać. Będziesz się ze mną uczyć historii, dobrze? Wciąż bardzo dużo pamiętam i chętnie podzielę się z tobą wiedzą.

- Słuchaj się Iris, kochanie. Ona wie, co mówi.

- A nauczysz mnie też kilku zaklęć? Chciałabym rzucić urok na Bily'ego, żeby odpadł mu... no wiecie co - targowała się Stacy.

Ivy szybko zakryła usta dłonią, by nie wybuchnąć śmiechem.

- Wielkie nieba - szepnęła zaszokowana Iris. - Na pewno nie nauczę cię takiego zaklęcia. Skąd ci coś takiego przyszło do głowy? Jesteś jeszcze bardzo młoda, a nieustannie mnie zadziwiasz i zawstydzasz.

Stacy wymieniła konspiracyjny uśmiech z Ivy. Widząc to, Iris wycedziła przez zęby:

- Nie powinnaś słuchać mojej siostry. Ona ma dość niezwykle poglądy na temat mężczyzn.

- Stacy, kochanie, Iris jest po prostu zazdrosna. To ja zawsze bardziej podobałam się mężczyznom.

Stacy wybuchnęła śmiechem.

- Przypominacie mi mojego dziadka i tatę. Oni też bez przerwy się kłóca, na ogół o straszne głupoty.

- Kochanie, my się wcale nie kłócimy. Czasami po prostu różnimy się w opiniach - wyjaśniła Ivy. - Jesteśmy sobie szczerze oddane i bardzo się kochamy. - Stacy wzniosła oczy do nieba, a zaraz potem identycznie zareagowała Iris. - Nieważne. Może obejrzymy następny film? Sprawdziłam program, zaraz będą „Wampiry z piekła”. Bardzo chciałabym to obejrzeć.

- Już sam tytuł brzmi okropnie. - Iris skrzywiła się z niesmakiem.

- Zrobię więcej kukurydzy - zaproponowała wyraźnie ożywiona Ivy.

W sobotę poprzedzającą Święto Dziękczynienia Brad wybrał się do biura szeryfa. Miał nadzieję usłyszeć wreszcie jakieś konkretne informacje na temat ojca. Ulice były zatłoczone, sklepy udekorowane, bo przecież wkrótce miało nadejść Boże Narodzenie.

Mediocrity było małym miasteczkiem, ale bardzo sympatycznym. Schludne uliczki, zadbane domy, żadnych supermarketów.

Było widać, że miejscowi kupcy dobrze z sobą współpracują. Nad wejściami do sklepów wisiały niemal identyczne dekoracje i lampki. Przez otwarte drzwi sączyły się dźwięki kolęd, w powietrzu unosiły się miłe zapachy.

Świąteczny nastrój był niczym wirus i szybko się wszystkim udzielał, ale Brad miał co innego na głowie. Oby tylko ojciec odnalazł się przed Bożym Narodzeniem. Stacy nie zniosłaby świąt bez dziadka. Udawała, że nie przejmuje się jego zniknięciem, ale było inaczej.

Równie nieznośna była tylko po śmierci matki. Trochę trwało, nim dała upust głęboko skrywanym uczuciom.

Wszedł do słabo oświetlonego gabinetu Murdocka. Szeryf siedział w wygodnym fotelu z nogami na biurku i z zamkniętymi oczami. Jeżeli w ten sposób spędzał dni, to nic dziwnego, że dotąd nie odnalazł Roberta Donovana.

- Ja wcale nie śpię, to tylko tak wygląda - odezwał się szeryf, jakby czytając w myślach Brada. - Po prostu najlepiej mi się myśli z zamkniętymi oczami. - Uniósł powieki, wyprostował się i uśmiechnął. - Witam, doktorze Donovan. Spodziewałem się pana. Proszę zamknąć drzwi i usiąść po drugiej stronie biurka.

- Czy ma pan dla mnie jakieś wieści, szeryfie Murdock? Obiecał pan informować mnie o postępach w śledztwie, ale minęło już kilka dni od naszej ostatniej rozmowy i prawie dwa tygodnie od mojego przyjazdu do Mediocrity. Czy poczynił pan jakieś postępy w sprawie?

Szeryf sięgnął do puszki z solonymi orzeszkami, którą zawsze trzymał na biurku. Wziął garść i wsypał do ust.

- Chce pan trochę? Jestem od nich uzależniony.

- Kiedy Brad potrząsnął głową, mówił dalej: - Nie odzywałem się, bo nie mam zbyt wiele do powiedzenia. Rozmawiałem z Beth i jej ciotkami, ale nic z tego nie wynikło. Nawet jeśli te trzy kobiety wiedzą coś o pańskim ojcu, nigdy z nich tego nie wyciągniemy.

- A więc to był ślepy zaułek.

- Niestety tak. Podczas rozmowy ze starszymi paniami Beth pilnowała mnie jak cerber. Chyba uprzedziła je o mojej wizycie i kazała im trzymać buzię na kłódkę.

Rzeczywiście mogło tak być, pomyślał Brad, bo Beth była bardzo opiekuńcza w stosunku do ciotek. Dlaczego tak bardzo je chroniła? Co ukrywały starsze panie?

- A inne tropy?

- Miałem jeden obiecujący telefon od szefa policji w Allentown. Jednak był to fałszywy alarm. Na poboczu drogi międzystanowej znaleziono zwłoki mężczyzny. To nie mógł być pański ojciec, bo ten facet był sporo młodszy. Przykro mi.

- Niepotrzebnie! - Brad odetchnął z ulgą.

- Cieszę się, że to nie mój ojciec.

- Jasne. - Murdock kiwnął głową. - Proszę mi wierzyć, chciałbym panu pomóc, ale tego typu śledztwa ciągną się bardzo długo.

- A konkretnie? Mówimy o tygodniach, miesiącach czy latach? Próbuje pan powiedzieć, że być może nigdy nie odnajdę ojca?

- Naprawdę trudno odpowiedzieć. Na razie nie mamy żadnego tropu, a czasami rzeczywiście zaginione osoby nigdy się nie odnajdują.

- To co się z nimi dzieje?

- Trudno powiedzieć. Na pana miejscu próbowałbym wyciągnąć więcej informacji z Beth. Gdzieś tu, w środku - poklepał się po wielkim brzuchu - czuję, że ona coś ukrywa.

- No nie wiem, szeryfie. Beth twierdzi, że nic więcej nie wie. - Po tym, co przeżyli ostatniej nocy, musiał jej zaufać. Nie mogłaby go oszukać. Jednak co do jej ciotek... to już zupełnie inna sprawa.

- Proszę posłuchać, doktorze Donovan. Nie obchodzą mnie pańskie stosunki z Beth Randall, jednak jeśli pragnie pan odszukać ojca, powinien pan wykorzystać wszelkie dostępne środki. Niech pan z nią poromansuje, może wtedy coś panu powie.

Brad zerwał się na nogi.

- Co pan sugeruje, szeryfie? Nie życzę sobie, by mówił pan w taki sposób o pani Randall ani wypowiadał się na temat, o którym nie ma pan pojęcia.

- Sądząc po tym, jak pan jej broni, łączy was coś więcej niż zwykła znajomość. To atrakcyjna kobieta, a pan jest normalnym, zdrowym mężczyzną. Tylko tyle chciałem powiedzieć, nic nie sugeruję.

- Nie ma pan prawa wypowiadać się na temat stosunków łączących mnie z Beth. Jeszcze raz powtarzam: nie życzę sobie tego.

- Mój sąsiad jadł wczoraj kolację w „Brookside”. Widział was. Podobno gruchaliście jak dwa gołąbki, a nawet karmił ją pan ciastem.

- Jesteśmy tylko przyjaciółmi. Prawo nie zabrania zabierać przyjaciół na kolację, prawda? - Beth miała rację, w tym miasteczku plotki rozchodziły się błyskawicznie.

- To mogłoby być przestępstwo, o ile ten przyjaciel byłby w coś zamieszany, na przykład w zaginięcie pańskiego ojca. Proszę to przemyśleć, doktorze Donovan. Doradzam większą ostrożność. Życie pańskiego ojca może być w niebezpieczeństwie. Na pewno nie chciałby pan mieć go na sumieniu.

Brad wybiegł z biura szeryfa niczym burza. Nie chciał powiedzieć czegoś, czego potem musiałby żałować. W drodze do pensjonatu rozmyślał jednak o czymś innym.

Był zawsze przyzwoitym człowiekiem, brzydził się kłamstwem i intrygami. Nie mógłby przystać na sugestię szeryfa. Takie działanie byłoby sprzeczne z wszystkim, w co wierzył. Byłoby też sprzeczne z jego przeczuciami. Na ogół właściwie oceniał ludzi, rzadko kiedy się mylił.

Potrząsnął głową, by odegnać te myśli. Nie zdradzi ani nie oszuka Beth. Za bardzo mu na niej zależy.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Beth właśnie odprowadziła siódmego i ósmego gościa do pokoju, dlatego z ulgą wróciła za biurko. Niestety ledwie usiadła, drzwi frontowe znów się otworzyły. W soboty zawsze był duży ruch, dlatego nie zdziwiła się, że już od rana zaczęli zjeżdżać pierwsi goście. Jednak teraz najchętniej schowałaby się do szafy, bo miała naprawdę dużo papierkowej roboty. Już po raz kolejny próbowała sprawdzić listę zamówień sporządzoną przez Lori. Chciała się upewnić, że szefowa kuchni o niczym nie zapomniała, bo chodziło o ważną sprawę, a mianowicie o uroczyste otwarcie restauracji. Powinna się pośpieszyć, bo Lori na pewno chciała jak najwcześniej zamówić wszystkie potrzebne produkty.

- Halo, jest tu kto?

Słyszając znajomy głos, Beth na chwilę dosłownie zamarła. Strach ścisnął ją lodowatymi palcami za gardło.

Nie, to niemożliwe! Boże, spraw, by był to tylko koszmarny sen.

Wstała i zobaczyła kobietę, której naprawdę nie miała teraz ochoty oglądać.

- Mamo, co ty, na Boga... - Nie potrzebowała dalszych komplikacji, było wystarczająco źle.

Zaraz, kogo ona próbuje oszukać? To nie tyle komplikacja, co prawdziwe trzęsienie ziemi.

- Niespodzianka, Beth! Cieszysz się, że mnie widzisz?

Margaret Shaw uśmiechnęła się niepewnie, co wprawilo Beth w stan osłupienia. Matka była zawsze bardzo pewna siebie, apodyktyczna, pozbawiona wrażliwości.

- Przyjechałam, by spędzić z tobą Święto Dziękczynienia, a być może także Boże Narodzenie. Zobaczymy.

To już szczyt bezczelności, pomyślała Beth ponuro.

- Beth, będzie cudownie, zobaczysz. Nieźle się zabawimy.

To chyba jakieś żarty. Od kiedy to Margaret jest zabawna? Był to ostatni epitet, jakim można by ją określić.

- Nie spodziewałam się ciebie. Powinnaś zadzwonić i uprzedzić mnie o przyjeździe. Nie wiem, czy znajdę dla ciebie pokój. Mamy prawie komplet gości.

- Bez obaw, kochanie. Poprosiłam moja przyjaciółkę, Elise Little, by zarezerwowała dla mnie pokój na swoje nazwisko. Chciałam ci zrobić niespodziankę i widzę, że się udało.

Beth zmusiła się do uśmiechu i podeszła, by uściskać matkę. Margaret przytuliła ją mocno, a potem zapytała:

- Czy ty ostatnio nie przytyłaś? Te dzinsy są trochę za obcisłe.

Beth policzyła do dziesięciu, dwudziestu, trzydziestu, aż wreszcie wysunęła się z objęć matki.

- Nie mam pojęcia. Zresztą nawet nie mam wagi. - Niepotrzebny jej był kolejny środek depresyjny, wystarczyło przecież porozmawiać z matką lub z byłym mężem.

- To trochę niezwykle. Ja ważę się codziennie rano. Jeśli zauważę, że trochę mi przybyło, natychmiast stosuję dietę. Dzięki

temu od lat utrzymuje tę samą wagę i dobrą figurę. Samotna kobieta musi...

- A od kiedy to jesteś samotna, mamó? - Margaret Shaw nie umiała żyć bez mężczyzny. Gdy nie miała kogo dręczyć, była nieszczęśliwa. - Co stało się z Herbem? Odniosłam wrażenie, że to poważny związek. Tak przynajmniej napisałaś w ostatnim liście.

Margaret odgarnęła przetykany siwizną kosmyk włosów i westchnęła dramatycznie.

- Skończyłam z nim. Bardzo się na nim zawiodłam.

A na kim się nie zawiodłaś, pomyślała Beth.

- Potrzebuję mężczyzny z gestem, a nie biedaka albo dusigrosza. Chciałam spędzić święta na Florydzie, ale Herb powiedział, że za to nie zapłaci. A niby po co nam mężczyźni? Do płacenia rachunków. Ja zachowywałam się w tym związku bez zarzutu. Grzecznie słuchałam jego przerażająco nudnych opowieści wojennych, wspierałam go, gdy podejmował ważne decyzje finansowe, które zresztą w większości zakończyły się fiaskiem. - Margaret potrząsnęła głową. - Cóż, taka już jestem. Lubię dawać, ale rzadko otrzymuję coś w zamian. To frustrujące.

Beth właśnie zastanawiała się, czy ma się roześmiać, czy wybuchnąć płaczem, kiedy drzwi się otworzyły i na progu pojawił się Brad. Wiedziała, że musi ich sobie przedstawić. Wolałaby tego uniknąć, bo zauważyła badawcze spojrzenie, jakim Margaret go obrzuciła.

- Cześć, Brad - powitała go z uśmiechem.

- Poznaj moją matkę, Margaret Shaw. Doktor Donovan mieszka w naszym pensjonacie z córką - wyjaśniła.

Brad spojrział na nią zdziwiony, a potem wyciągnął rękę i uśmiechnął się czarująco:

- Miło mi panią poznać, pani Shaw.

- Och, dziękuję, doktorze Donovan. Hm, lekarz. To robi wrażenie. A jakiej specjalności, jeśli wolno zapytać?

- Brad jest pediatrą - wyjaśniła szybko Beth, zanim zdążył otworzyć usta. Nie chciała, by Margaret zaczęła go przesłuchiwać, a była w tym naprawdę dobra. Uważała lekarzy za idealnych kandydatów na męża. Byli bogaci, powszechnie szanowani i mogli zapewnić kobiecie status, o jakim Margaret zawsze marzyła zarówno dla siebie, jak i dla Beth. - Doktor Donovan mieszka i praktykuje w Wirginii. - A to dość daleko stąd.

- Jak cudownie spotkać mężczyznę, który kocha dzieci. Już zaczynałam wątpić, że kiedykolwiek doczekam się wnuków. Kiedy Greg się z nią rozwiódł...

- To ja rozwiódłam się z Gregiem, mamó - poprawiła ją natychmiast Beth i zacisnęła pięści.

- Nieważne, to nieistotne szczegóły. Tak czy siak, twoje małżeństwo się rozpadło i trwało dość krótko.

- Tak, to prawda. I pomyśleć, że twoje również się rozpadło i trwało niewiele dłużej.

Brad czuł się coraz bardziej nieswojo. Zażenowany słowną potyczką między matką i córką, uśmiechnął się przeproszająco i powiedział:

- Bardzo panie przepraszam, ale muszę iść na górę i sprawdzić, co porabia Stacy.

Szybko się oddalił, a potem równie szybko wbiegł po schodach, przeskakując po kilka stopni. Wyglądał jak skazaniec, który właśnie uciekł spod katowskiego topora.

Beth nie miała mu tego za złe. Ona też najchętniej by uciekła, ale matka jeszcze nie skończyła przemowy.

- Widzisz, co narobiłaś? Tak bardzo chciałaś się popisać inteligentnymi uwagami. Ten miły doktor na pewno pomyślał, że my się bez przerwy kłócimy - powiedziała Margaret.

- Mamo, to przecież prawda. Nigdy nie umiałyśmy z sobą spokojnie rozmawiać. Tym bardziej zdziwił mnie twój przyjazd. - A przy okazji zatrujesz mi Święto Dziękczynienia, nie wspominając już o życiu. Beth skrzyżowała ręce na piersiach, czekając na kolejny cios.

- Czy matka nie może tak po prostu odwiedzić córki, bez żadnego szczególnego powodu? No powiedz?

Beth nie dała się nabrać i wypaliła prosto z mostu:

- Od kiedy się rozwidłam, nie odwiedziłaś mnie ani razu. Nie wiem, o co chodzi, ale nie wierzę, by przygnała cię tu tęsknota.

Margaret wyciągnęła rękę i pogładziła córkę po policzku. Ten czuły gest tak zaskoczył Beth, że na chwilę zamarła.

- Kochanie, martwiłam się o ciebie. Mieszkasz tu sama z dwoma ekscentrycznymi i irytującymi staruszkami. A właśnie, jak one się miewają? Wciąż pakują się w jakieś kłopoty? Już dawno powinnaś je oddać do przytułku. Właściwie to ja powinnam to zrobić, zdjąć z ciebie ciężar decyzji.

Beth najchętniej zaczęłaby wrzeszczeć. Dlaczego Margaret jest taka niewrażliwa? Dlaczego myśli tylko o sobie?

- Ciocia Ivy i ciocia Iris mają się dobrze. Nie wymagają stałej opieki, tylko czasami trzeba im trochę pomóc. Opieka nad nimi wcale mi nie ciąży, dlatego bardzo proszę, żebyś przestała się wtrącać w moje sprawy, mamó. Ciotki są teraz u siebie. Może pójdziesz się z nimi przywitać?

- Później. Najpierw się rozpakuję i odpocznę. Lot z San Francisco był koszmarny. Nienawidzę nocnych lotów, bo po przebudzeniu mam ciężką głowę i czuję się otumaniona, zupełnie jakby mnie ktoś nafaszerował narkotykami. Ale są tańsze, a od kiedy przeszłam na emeryturę, muszę liczyć każdego centa.

- Poczekaj, sprawdzę w komputerze, w którym pokoju cię umieściłam. Zaraz wracam.

- Nie śpiesz się. Przejdę się i zobaczę, czego tu dokonałaś. Od mojej ostatniej wizyty na pewno wiele się zmieniło.

- Wspaniale - odparła Beth z udawanym entuzjazmem. Dobrze wiedziała, że matka przedstawi jej po inspekcji długą listę krytycznych uwag. Zawsze tak było, bo Margaret od lat powtarzała, że Beth wszystko robi źle.

Włączyła komputer i zaklęła pod nosem. Spodziewała się, że ten ostatni tydzień przed wielkim otwarciem będzie trudny, ale żeby aż tak? Nie przewidziała wizyty matki, ale przecież nie wyrzuci jej na ulice. Mimo wszystko to jednak matka.

Cholerna biologia.

Nie może też zapominać o kościach zakopanych w piwnicy. Jeśli Margaret coś zwierzy... Beth potrząsnęła głową. Wolą nie myśleć, co by się wtedy działo.

Margaret chłonęła informacje niczym gąbka, ale też lubiła się nimi dzielić. Nie należała do dyskretnych osób, co więcej, uwielbiała przyciągać powszechną uwagę. Dążyła do tego wszelkimi dostępnymi środkami, nie bacząc na możliwe konsekwencje.

- Proszę, proszę, chyba zaraz zemdleję z wrażenia. Zobacz, kochanie, kogo do nas przywiało!

Wchodząc do mieszkania ciotek, Margaret zmusiła się do uśmiechu. Nie mogła zrozumieć, dlaczego starsze panie tak bardzo lubią jej dokuczać.

- Ja też się cieszę, że cię widzę, ciociu Ivy. Czarująca jak zwykle. - Ivy zawsze była bardziej wygadana. Margaret jej nie lubiła, zresztą z wzajemnością.

Ivy rozciągnęła usta w uśmiechu, ale jej oczy pozostały chłodne.

- Margaret, czy Beth wie, że tu jesteś?

- Oczywiście. Bardzo się ucieszyła na mój widok.

Iris otworzyła książkę i podniosła wzrok.

- Wyobrażam sobie - mruknęła i uśmiechnęła się sceptycznie, podając tym samym w wątpliwość słowa Margaret.

- Jeśli nastawiliście córkę przeciwko mnie, to...

- Ha! - Ivy roześmiała się jadowicie. - Nie układa ci się z Beth, ale to wyłącznie twoja wina, Margaret. Dobrze o tym wiesz. Przez te wszystkie lata ani ja, ani Iris nie powiedziałyśmy o tobie złego słowa.

- Chociaż miałyśmy na to ochotę - wyrwała się Iris, za co Ivy natychmiast obdarzyła ją pełnym uznania uśmiechem.

- Dziękuję, siostrzyczko, sama bym lepiej tego nie wyraziła.

- Wiem, że nie zawsze byłam dobrą matką - przyznała Margaret.

- Ale kocham Beth.

- Tylko dlaczego okazujesz to w taki dziwny sposób? - Ivy nie kryła dezaprobaty. - Nieustannie ją krytykowałeś, nigdy nie byłeś z niej zadowolona. Najpierw to ty ją wdeptywałeś w ziemię, a potem ten idiota, którego poślubiła. To cud, że zachowała resztki godności i wiary w siebie.

- Nigdy nie krytykuję Beth - zaproponowała Margaret.

- Jak to? Jeszcze nie zdążyłaś udzielić jej żadnych rad? Nie powiedziałaś nic niemiłego? Przepraszam cię, Margaret, ale jakoś trudno mi w to uwierzyć.

- Ja... - Margaret zaczerwieniła się gwałtownie i zamilkła.

- Wiedziałam.

- Wspomniałam, że Beth trochę przybrała na wadze, ale to nie była krytyka, po prostu stwierdzenie faktu.

- Margaret, jesteś niemożliwa. - Iris spojrzała na nią z przyganą.

- W każdej sytuacji powinnaś wspierać swoje dziecko. Zaakceptuj ją, zamiast próbować ją zmieniać. Gdybyś знаła Beth tak dobrze jak my, byłabyś z niej dumna. Wyrosła na wspaniałą kobietę.

- Beth zamieniła tę starą ruinę w dobrze prosperujący pensjonat - dodała Ivy. - Goście są zachwyceni, chwalą wszystko, wystrój pokoi i jedzenie.

- Tak, zauważyłam wiele korzystnych zmian - przyznała Margaret. - Bardzo mi się tu podoba.

- Powiedziałaś o tym Beth? - chciała wiedzieć Iris.

- Jeszcze nie, ale na pewno powiem.

Ivy celowo zignorowała ostrzegawcze spojrzenie siostry i powiedziała:

- Jestem stara, dlatego nie boję się mówić tego, co myślę.

Margaret, spróbuj dogadać się z córką. Jeśli ci się nie uda, będziesz tego żałować do końca życia i skończysz jako samotna, zgorzkniała staruszka, której nikt nie kocha i o którą nikt się nie troszczy.

Margaret wybuchnęła płaczem, co bardzo zdumiało ciotki.

- Wiem... Jak myślicie, dlaczego przyjechałam? - Wstała i zaczęła nerwowo krążyć po pokoju. - Chcę być z Beth. Moje życie było takie puste, głupie i nudne. Ja...

- Jeśli przyjechałaś tu, bo poczułaś się samotna, to lepiej wracaj do domu. Beth nie potrzebuje kolejnego kłopotu, i tak ma co robić. Prowadzi pensjonat i opiekuje się nami. - Iris skrzyżowała ręce na piersiach, szykując się do walki.

Margaret zatrzymała się gwałtownie i oznajmiła stanowczo:

- Powiem prawdę, Czuje się bardzo samotna. Kilka tygodni po zerwaniu z Herbem uświadomiłam sobie nagle, że zbyt łatwo tracę wszystkich, których kocham.

- Tracisz ich na własne życzenie - przypomniała jej Ivy. - Nikt nie był w stanie sprostać twoim oczekiwaniom. To dlatego rozpadło się twoje małżeństwo.

- Melvin był słaby.

- Owszem, to prawda, jednak jest niewielu mężczyzn, którzy wytrzymaliby z taką silną kobietą jak ty. Wiem coś o tym, bo miałam podobny problem. Jak sądzisz, dlaczego nigdy nie wyszłam za mąż?

- Mężczyźni nie są warci tego, by przez nich płakać. Już dość się wycierpiałam. Skończyłam z nimi, teraz zależy mi tylko na córce. Pragnę ją odzyskać.

- Kochanie, łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Beth doznała wiele złego od ojca, od ciebie, od męża. Stała się nieufna - powiedziała Ivy. Iris wstała i spojrzała Margaret prosto w oczy.

- Nie będę się spokojnie przyglądać, jak ją ponownie ranisz. Rozumiesz? Ivy i ja wiele jej zawdzięczamy. Kochamy tę dziewczynę tak mocno, że nie sposób tego wyrazić słowami.

- Nie zamierzam skrzywdzić Beth. Ja też ją kocham.

- Więc lepiej zacznij to okazywać. Trzymaj swój jadowity język na wodzy. Pomóż jej, zamiast ją bezustannie krytykować - powiedziała Ivy.

- Czasami szybciej mówię, niż myślę. Postaram się to zmienić. - Iris i Ivy spojrzały na siebie, a potem wzniosły oczy do nieba, jednak Margaret mówiła dalej: - Co sądzicie o doktorze Donovanie? Wydał mi się bardzo sympatyczny. Odniosłam wrażenie, że Beth jest nim zainteresowana.

- Tak, jest bardzo sympatyczny - odparła Iris.

- Jednak Beth nie życzy sobie, by ktoś wtrącał się w jej prywatne sprawy, zwłaszcza teraz, kiedy sytuacja jest trochę... skomplikowana.

- Właśnie, skomplikowana - poparła siostrę Ivy.

- Nie bardzo rozumiem. - Margaret zmarszczyła brwi.

Ciotki wiedziały, że cokolwiek powiedzą, może być użyte przeciwko Beth.

- Córka doktora Donovan, Stacy, nie przepada za Beth - wyjaśniła Iris. - Nadal nie pogodziła się ze śmiercią matki. To biedne dziecko próbuje chronić ojca przed wszystkimi kobietami. Nie chce, by się powtórnie ożenił.

- Cóż, kiedyś jej przejdzie - wtrąciła Margaret.

- Tak, ale to wymaga czasu - odparła Ivy.

- Dobrze wiem, o czym teraz myślisz, Margaret. Jeśli rzeczywiście pragniesz odzyskać córkę, nie idź tą drogą. Wiesz, że Beth nie znosi swatania, a na punkcie Bradleya Donovan jest szczególnie wrażliwa.

- Będę działać bardzo dyskretnie i ostrożnie, jak zawsze.

Ivy nie zdążyła odpowiedzieć, bo w progu pojawiła się Beth z dużą srebrną tacą. Beth była zaskoczona, widząc, że matka i ciotki prowadzą spokojną pogawędkę. To dziwne, bo przecież nigdy się nie lubiły. Tak naprawdę Iris i Ivy nie znosiły Margaret, co Beth w pełni rozumiała.

Beth postawiła tacę na stoliku i oznajmiła:

- Przyniosłam herbatę i kanapki. Na pewno zgłodniałyście.

Zdrzemnął się? - zwróciła się do matki.

- Tak, oczywiście - odparła Margaret z uśmiechem. - Łóżko jest bardzo wygodne, a pokój ładny i przytulny. Świetnie urządziłaś te wnętrza, Beth.

Beth na chwilę zastygła z otwartymi ustami, ale dobrze wiedziała, co zaraz nastąpi.

- Ale?

- Ale co?

- Zazwyczaj dodajesz jakieś „ale”. Pewnie zamierzałaś powiedzieć: „Ale powinnaś zmienić to lub tamto”.

- No cóż... - Stojące za Beth Iris i Ivy syknęły ostrzegawczo. Margaret dokończyła: - Cóż, kochanie, wszystko jest idealne. To jeden z najlepszych hoteli, w jakich mieszkałam. Na pewno wszyscy goście są zadowoleni.

Beth popadła w tak głęboką zadumę, że aż zrobiły się jej zmarszczki na czole. Ciekawe, kto przebrał się za jej matkę. Może to jednak Elise Little? Ta uśmiechnięta i sypiąca komplementami kobieta nie mogła być Margaret Shaw. Takie cuda się nie zdarzają.

Może ciotka Iris rzuciła na nią jakiś czar i zamieniła ją w sympatyczną i przyjazną światu istotę? Przecież niektóre żaby zamieniają się w pięknego księcia.

- Beth, już nie mogę doczekać się kolacji - powiedziała Margaret.

- Twoje ciotki powiedziały, że serwujesz wspaniałe jedzenie.

- Kolację podajemy od szóstej. Na którą zrobić ci rezerwację?

- Sama to załatwię.

- W takim razie zejść już na dół. Dzisiaj będzie urwanie głowy, bo przyjechało dużo nowych gości.

- Czy mogę ci jakoś pomóc? - spytała Margaret, po raz kolejny wprawiając Beth w osłupienie. - Skoro już tu jestem, chcę się na coś przydać.

Czy ona żartuje? Kiedy mieszkały razem, to Beth wykonywała większość prac domowych, łącznie z gotowaniem. Jej matka nie miała zadatków na boginię ogniska domowego.

- Goście nie pracują, mamó, a poza tym nie potrzebuję pomocy.

- Widząc rozzalenie w oczach matki, dodała łagodniej: - Ale dziękuję, że to zaproponowałaś.

- Kochanie, czy już ci wspominałam, że jutro jest pierwsze posiedzenie klubu Czerwone Kapelusze i Róże? - Ivy uśmiechnęła się.

- Ja i Louise jesteśmy bardzo podniecone.

- Słyszałam o takich klubach - odparła Margaret z lekką zazdrością.

- Nie wiem, czy wszyscy dadzą radę przyjść, przecież niedługo jest Święto Dziękczynienia. Chyba wybrałaś złą datę, ciociu Ivy - powiedziała Beth.

- Większość pań z klubu to wdowy lub panny. I tak nie mają z kim świętować. Oczywiście zaproszę je wszystkie na otwarcie naszej restauracji. To będzie taka wycieczka.

- Ja też szepnę słówko, gdzie trzeba - powiedziała Iris. - W poniedziałek rano wybiorę się do miasta. Odwiedzę po kolei znajomych sklepikarzy i rzemieślników. Przez te wszystkie lata wydałam u nich sporo pieniędzy, pora, by jakoś się odwdzińczyli.

- Wiesz co, ciociu Iris? - powiedziała Margaret. - Wybiorę się z tobą. Jestem ciekawa, jakie zmiany zaszły w miasteczku od mojej ostatniej wizyty.

Iris wahała się przez chwilę, a potem powiedziała spokojnie:

- Dobrze, Margaret, ale tym razem postaraj się nikogo nie obrazić. Frieda Thompson nie chciała mnie obsługiwać przez pół roku po tym, jak nazwałaś jej sklep „budą z niemodnymi ciuchami”.

Pamiętasz?

- Obiecuję, że zatrzymam moje opinie dla siebie.

Beth już miała na końcu języka, że to byłoby coś naprawdę niezwykłego, ale darowała sobie ten komentarz. Ciekawiło ją, jak długo matka zdoła zachowywać się miło i przyjaźnie.

Uznała, że co najwyżej dobę.

Późnym popołudniem Beth spotkała kolejna nieprzyjemna niespodzianka.

- Pan Pickens, jak miło, że pan wpadł. Czy już coś wiadomo w sprawie mojego kredytu? - Dyskretnie zacisnęła kciuki i zaprosiła bankiera do środka.

- Niestety nie - odparł, rozwiewając nadzieje Beth. - Takie sprawy wymagają czasu. Przyszedłem, by dokładnie obejrzeć piwnicę.

- Piwnicę? - zdumiała się. - Przecież już ją panu pokazywałam.

- Muszę się upewnić, że nie ma tam żadnych zacieków i poważnych zniszczeń. Na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało dobrze, ale wolałbym dokładnie zbadać tę sprawę. Jeśli to jakiś problem, przyjdę kiedy indziej.

Do diabła, to jest naprawdę duży problem, pomyślała, a na głos powiedziała:

- Skądże. Pójdę przodem, by się upewnić, czy wszystko jest w porządku. - Najbardziej bała się, co zrobił Buster. Wczoraj znów kopał przy drzwiach piwnicy, próbując dostać się do środka.

- Nie rób sobie kłopotu, Beth. Znam drogę, a ty masz na pewno mnóstwo roboty.

- To żaden kłopot. Wyjdziemy tylnymi drzwiami. Wezmę po drodze płaszcz.

Pickens ruszył za nią do holu, a potem do kuchni. Lori była tak zajęta przygotowywaniem kolacji, że nawet nie podniosła głowy.

No i dobrze, pomyślała Beth. Im prędzej pan Pickens stąd wyjdzie, tym lepiej.

Ledwie zdążyli wyjść z domu, gdy zatrzymała ich Stacy:

- Hej, co się dzieje? Dokąd się wybieracie? Beth zatrzymała się, przedstawiła ich sobie, a potem wyjaśniła:

- Muszę pokazać panu Pickensowi piwnicę. Zaraz wrócimy.

- Super. Mogę iść z wami? Jeszcze nigdy nie widziałam takiej starej piwnicy.

- Raczej nie. To spotkanie biznesowe i...

- Nie mam nic przeciwko - oznajmił pan Pickens.

Beth najchętniej kopnęłaby go w goleń.

- To co, Beth, mogę iść? Przecież pan Pickens się zgodził.

Proszę.

Beth westchnęła ciężko. Nie miała ochoty na kłótnie z upartą nastolatką, a poza tym pan Pickens mógłby nabrać podejrzeń.

Spróbowała jeszcze raz zniechęcić Stacy:

- Tam jest bardzo ciemno i brudno. Kiedy byłam w twoim wieku, nienawidziłam tam chodzić. No wiesz, wszędzie myszy i pająki.

- Nie boję się ani myszy, ani pajaków. To co, mogę pójść?

- No dobrze, ale pamiętaj, że cię ostrzegałam.

Gdy stanęli przed drzwiami piwnicy, Beth zauważyła coś białego. To chyba kość, pomyślała w popłochu.

Do diabła, i co ja mam teraz zrobić?

- Co my tu mamy? - zainteresował się pan Pickens i kucnął, by wszystko dokładnie obejrzeć. - Skąd to się tu wzięło?

Beth nie zamierzała mu mówić, że to najprawdopodobniej szczątka Lyle'a McMurtry'ego.

- Co to takiego? Mogę zobaczyć? - dopytywała się Stacy.

Bankier ostrożnie uniósł kość.

- Według mnie to część zuchwy małego niedźwiedzia. - Beth wypuściła wstrzymywany oddech i w duchu podziękowała Bogu. - Ciekawe, w tej okolicy od dawna nikt nie widział niedźwiedzia.

Beth zastanawiała się gorączkowo, co powiedzieć.

- Pewnie Buster przytargał to z dworu. Często, by się przypodobać, przynosi mi różne trofea.

- Mój pies też tak robił. Bardzo mi go brakuje.

- Czy teraz wejdziemy do piwnicy? - spytała Stacy.

- To zależy od pana Pickensa - odparła Beth.

- Chciałbym najpierw obejrzeć fundamenty. Wyjdźmy na zewnątrz, a potem wrócimy do piwnicy.

Beth najchętniej by go uściskała. Nie chciała, by Stacy im towarzyszyła, bo dziewczynka była bardzo dociekliwa i wścibska.

- O rany, tata już na pewno na mnie czeka. Muszę się umyć i przebrać do kolacji. Prosił, żebym się nie spóźniła.

- No to już lepiej leć. - Kiedy ponownie zobaczę Brada, pocałuję go, postanowiła nagle.

- Ale kiedyś zejdziemy do piwnicy, prawda? - nudziła Stacy.

- Tak, oczywiście. A teraz już biegnij. Jeśli spotkasz moje ciotki, powtórz im, proszę, że niedługo do nich zajrzę.

Potem obserwowała z ulgą, jak Stacy odchodzi. Gdyby tylko potrafiła wymyślić, jak najszybciej pozbyć się pana Pickensa.

RS

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Gdy Beth wieczorem wyszła na werandę, by zaczerpnąć świeżego powietrza, zastała tam Brada. Siedział na jednym z bujanych foteli i wyglądał na pogrążonego w zadumie. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie powinna zostawić go w spokoju, ale była ciekawa, dlaczego jest taki smutny.

- Co tu porabiasz? - spytała. - Zrezygnowałeś z deseru? Przecież bardzo lubisz sernik w czekoladzie, prawda?

- Jestem już po kolacji, a sernik był rzeczywiście pyszny. Stacy chciała obejrzeć jakiś program w telewizji, a ja postanowiłem chwilę podumać.

- Chyba ci nie przeszkadzam? Wybieram się na krótki spacer. Powinnam teraz obsługiwać gości, ale chciałam chwilę odetchnąć.

- Czy to ma coś wspólnego z przyjazdem twojej matki?

- No tak, na pewno zauważyłeś, że niezbyt dobrze się dogadujemy. Jej niespodziewana wizyta rzeczywiście trochę wytrąciła mnie z równowagi. - Widok matki obudził różne sprzeczne emocje: złość, ból, smutek, potrzebę bliskości. Teraz Beth była kłębkim nerwów.

Sądziła, że dobrze zna matkę i że ta już niczym jej nie zaskoczy, jednak stało się inaczej. Margaret przez całe popołudnie starała się być miłą, ani razu nie skrytykowała córki.

Za to rano, tuż po przyjeździe, dała jej nieźle popalić.

- Może mama po prostu chciała cię zobaczyć i sprawdzić, jak sobie radzisz? Matki mają świetny instynkt.

Beth westchnęła.

- Twoja może tak, ale moja zawsze troszczyła się tylko o siebie. Nie sądzę, że to się kiedykolwiek zmieni. Muszę jednak przyznać, że dzisiaj bardzo się starała. - Swoją drogą, ciekawe dlaczego.

Cholera. Nie mam siły, by zмагаć się jeszcze z matką.

Brad ujął ją za rękę i poprowadził w stronę stawu. Szli w milczeniu przez mokrą od rosy trawę. Noc była zimna i wkrótce policzki Beth lekko się zaczerwieniły. Owinęła się ciasniej kurtką. Miała nadzieję, że Brad, który był tylko w swetrze, nie złapie zapalenia płuc.

- Wyjdź swojej mamie naprzeciw i zobacz, co się stanie - zaproponował. - Dzieci często myślą, że ich rodzice będą żyć wiecznie. Im bardziej są z nimi skłóceni, tym trudniej jest im zaakceptować ich śmierć.

- Pewnie tak, ale to nie odnosi się do mojej matki. Bardzo się od siebie oddaliśmy, a poza tym jest zdrowa jak koń. - Chociaż od kiedy ostatnio się widziały, Margaret bardzo się postarzała. Na niegdyś nieskazitelnej, gładkiej skórze pojawiły się zmarszczki, niebieskie oczy, kiedyś pełne blasku, teraz wyraźnie przygasły. Może Brad miał rację? Może rzeczywiście powinna być bardziej wyrozumiała.

- Bardzo mi brakuje mojej mamy - wyznał. - Tak chętnie pogadałbym z nią o zwykłych, codziennych sprawach. O pracy domowej Stacy albo trudnym pacjencie. Umiała słuchać.

Słyszając smutek w jego głosie, Beth poczuła ukłucie zazdrości. Dlaczego ona nie umiała równie ciepło opowiadać o swojej matce?

- Przykro mi, że już jej przy tobie nie ma. Musiała być wspaniałą kobietą. Moja mama nigdy nie słuchała, a nawet nie słyszała, co do niej mówię. Była zbyt zajęta swoimi problemami i nie miała czasu na moje. - Nawet wtedy, gdy Beth zadzwoniła, by opowiedzieć o romansie Grega. Chciała się komuś zwierzyć, podświadomie liczyła też na dobrą radę i słowa otuchy. Przecież małżeństwo matki też się rozpadło. Jednak Margaret nie miała czasu na rozmowę z córką i szybko się rozłączyła.

Doszli nad staw i usiedli na starej drewnianej huśtawce, ustawionej tuż nad wodą.

- Mama i tata byli małżeństwem jak z powieści - wspominał Brad. - Nie pamiętam żadnej kłótni. Rozumieli się bez słów.

Objął ją, a wtedy poczuła ciepło jego ciała. Napawała się intymnością tego gestu.

- Wiem, że bardzo tęsknisz za tatą. Tak mi przykro. Na pewno się znajdzie, zobaczysz.

- Dziś rano rozmawiałem z szeryfem Murdockiem. - Westchnął zrezygnowany. - Niestety nie miał nic nowego do powiedzenia. Wszystkie tropy okazały się ślepym zaułkiem.

- To w pewnym sensie dobrze, prawda? Przynajmniej masz pewność, że ojcu nic się nie stało i nie leży w szpitalu. Chociaż, jeśli ma zaniki pamięci, mogą być problemy z ustaleniem jego tożsamości.

- Obyś miała rację. Stacy nie zniosłaby kolejnej tragedii.

Dopiero dochodzi do siebie po śmierci matki. Gdyby jeszcze straciła dziadka...

- Nawet tak nie mów. - Uścisnęła jego dłoń.

- Na pewno się znajdzie, zobaczysz. Nie trać nadziei. - Poczowała okropne wyrzuty sumienia. Przecież nie była z nim do końca szczerą. Nie wyznała mu całej prawdy.

- Zaczynam wątpić, że to wszystko dobrze się skończy. Szeryf Murdock powiedział mi, że czasami zaginione osoby nigdy nie wracają do domu.

Beth pomyślała o kościach znalezionych w piwnicy. Raczej nie należały do Roberta Donovana, ale nigdy nie można być pewnym. W dodatku wciąż wisiała nad nią stara, nierozwiązana sprawa Lyle'a McMurtry'ego.

Tak bardzo pragnęła oczyścić duszę i sumienie, wyznać wszystko Bradowi, zwierzyć mu się.

- Posłuchaj, Brad...

- Ciii... Dosyć gadania. Chcę cię pocałować. W chłodnym powietrzu nocy jego wargi niemal parzyły. Beth z ulgą poddała się czarowi chwili. Całując Brada, czuła się, jakby po długiej nieobecności wracała do domu. Do bezpiecznego miejsca, gdzie ją kochano i troszczono się o nią, i w którym pragnęła pozostać na wieki.

Nie protestowała, kiedy Brad rozpiął jej kurtkę. Pragnęła wszystko mocno odczuwać, zatracić się w pożądaniu. Wolała myśleć o Bradzie niż o tych wszystkich okropnościach, z którymi ostatnio się zmagала.

- Beth, pragnę cię - szepnął. Zaczął pieścić kciukiem brodawki jej piersi. Chciała krzyknąć, by przestał, by okazał jej trochę litości, ale on pogłębił pocałunek. - Pragnę cię tak mocno, że to aż boli.

Jej serce drgnęło z radości. Brad czuł to samo co ona.

- Ja też cię pragnę, ale chodźmy gdzie indziej. Tutaj ktoś może nas zobaczyć.

Spojrzał jej prosto w oczy i uśmiechnął się.

- Myślałem o stodole. Kiedy byłem tam ostatnio, zauważyłem stertę siana. Twój pracownik, który niemal stale tam urzęduje, wyjechał. Nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Czy mogła to zrobić? Czy mogła kochać się z Bradem, wiedząc, że ich znajomość nie przerodzi się w nic głębszego?

- Beth, zależy mi na tobie. - Poglądził ją delikatnie po policzku. - Pragnę cię, od kiedy cię ujrzałem, ale nie chodzi mi tylko o seks. To coś o wiele poważniejszego.

- No dobrze - szepnęła wreszcie. - Chodźmy do stodoły. - Postępowała skrajnie nieodpowiedzialnie. Powinna teraz zajmować się gośćmi, a przede wszystkim przeprowadzić poważną rozmowę z Bradem. Nieważne, chociaż raz w życiu postanowiła być egoistką, zrobić coś wyłącznie dla siebie, nie zważając na konsekwencje.

- Przepraszam, ale zauważyłem, że pani jest sama. Chętnie dotrzymam pani towarzystwa. Ja też spędzam dzisiejszy wieczór samotnie. Czy mogę się przysiąść?

Aubrey namierzył atrakcyjną blondynkę, gdy tylko weszła do hotelowej restauracji. Była dokładnie w jego typie. Miała klasę, urodę i wspaniałe ciało. Zauważył, jak zaraz po wejściu uważnie przyjrzała

się pozostałym gościom. Zupełnie jakby kogoś szukała - kogokolwiek. Taka kobieta na pewno nie lubi jadać samotnie. Aubrey nie miał obsesji na punkcie seksu. Mógł się obyć bez tej przyjemności kilka tygodni, a nawet miesięcy. Seks, co odkrył we wczesnej młodości, wysysa z mężczyzn energię i utrudnia koncentrację na naprawdę ważnych sprawach. A cóż może być ważniejszego od robienia interesów i zarabiania pieniędzy? Kobiety zbyt go rozpraszały, dlatego rzadko decydował się na jakiś krótkotrwały romans. Jednak dzisiaj wieczorem postanowił zrobić wyjątek. Potrzebował rozrywki, bo zaczynał się nudzić.

- Byłoby cudownie - odparła. - Proszę usiąść, jeszcze nie zdążyłam niczego zamówić. - Uśmiechnęła się jeszcze szerzej, ukazując olśniewająco białe zęby.

Aubrey pogratulował sobie w duchu dobrego wyboru. Nie znosił widoku brzydkich i zaniedbanych zębów. Pierwszą rzeczą, jaką zrobił po założeniu firmy, było zapewnienie wszystkim pracownikom opieki dentystycznej.

- Nazywam się Karen Richards - przedstawiła się blondynka.

- Aubrey Fontaine. Miło mi panią poznać. - Gdy wyciągnął rękę, zauważył, że Karen zerka na jego złotego roleksa.

Kobiety są takie żalosne i łatwe do rozszyfrowania, pomyślał. Całe szczęście, że nigdy się nie ożenił ani nie spłodził żadnych dzieci. Nie znosił pijawek, unikał kłopotów.

- Co sprowadza pana do Mediocrity, panie Fontaine?

- Mówmy sobie po imieniu.

- W porządku, Aubrey. Skoro postanowiliśmy zjeść razem kolację, możemy sobie darować oficjalne formy.

- Świetnie. - Nie zamierzał wtajemniczać jej w swoje plany. Wiele dobrych interesów spaliło na panewce tylko dlatego, że ktoś nie umiał utrzymać języka za zębami. - Chciałem kupić jakąś nieruchomość, ale jak na razie nie znalazłem w okolicy nic ciekawego.

- Jakoś mnie to nie dziwi. W tym miasteczku rzeczywiście nie ma nic godnego uwagi. Kilka żałosnych sklepików, a pensjonat, w którym mieszkałam, był koszmar.

Aubrey natychmiast nadstawił ucha.

- Czy mogę zapytać, jak się nazywa ten pensjonat? Widziałem tylko jeden i zrobił na mnie dobre wrażenie.

- „Pensjonat u Sióstr”. Zamieszkałam tam po przyjeździe, ale wytrzymałam tylko kilka nocy. Niestety to miejsce nie spełniało moich oczekiwań. Jeśli mam być szczerą, to było dość koszarne doświadczenie. Co prawda nieźle tam karmią, ale ręczniki były szorstkie, pokój mikroskopijny, a właścicielka wyjątkowo niesympatyczna. Nadęta i niegrzeczna. Nic dziwnego, że ma problemy finansowe. Sama słyszałam, jak o tym opowiada. Zresztą to widać na każdym kroku. Te wnętrza są niedoinwestowane.

Aubrey natychmiast się ożywił.

- Szczerze ci współczuję. Ja też cenię dobrą obsługę i komfort. Właśnie dlatego zatrzymałem się w „Excelsiorze”.

Jednak Karen sprawiała wrażenie, jakby go nie słuchała, i ciągnęła dalej:

- Coś takiego zdarzyło mi się po raz pierwszy w życiu. Pościel wyglądała, jakby była niedoprana, a łóżko niewygodne. Oczywiście natychmiast to zgłosiłam, ale zignorowano moją skargę.

- Doskonale cię rozumiem. Masz taką delikatną skórę. - Łyknęła jego komplement bez mrugnięcia okiem, czym go szczerze ubawiła.

Postawiłby ostatniego dolara, że urocza Karen poluje na bogatego męża.

- Dziękuję ci, Aubrey. Jak miło, że to zauważyłeś. Bardzo o siebie dbam, po kąpieli zawsze używam balsamu.

Na szczęście przy ich stoliku pojawił się kelner i Karen wreszcie umilkła. Aubrey naprawdę nie był ciekaw, czym pacykuje się ta nieco już podstarzała i pazerna łowczyni męskich portfeli.

Musiał się jakoś wzmocnić, bo zapowiadała się wyjątkowo długa noc. Zamówił butelkę bordo.

- Mam nadzieję, że lubisz francuskie wino. Innego nie pijam. - Gdy skinęła głową, poprosił kelnera o napełnienie kieliszków. - A ciębie co tu sprowadza? Spędzasz urlop w Mediocrity?

- Coś w tym stylu. Potrzebowałam kilku dni samotności. Zmęczył mnie wyścig szczurów, no i chciałam odpocząć od wielkiego miasta.

Zapewne mówiła o Filadelfii, ale nie zamierzał jej o to pytać. Po co zaprzętać sobie głowę nieistotnymi szczegółami. Zamierzał spędzić z Karen najwyżej jedną noc. Chciał od niej tylko seksu. Jeśli pragnęła czegoś więcej, srodze się zawiedzie.

- Karen, przykro mi, że trafiłaś na taki podły pensjonat.

Ciekawe, w jaki sposób właścicielka zamierza zdobyć pieniądze, skoro tak źle traktuje gości.

- Powiem ci coś w zaufaniu, ale nie śmieję się ze mnie. Ten dom jest nawiedzony. W nocy słyszałam dziwne, mrozące krew w żyłach dźwięki. Wszyscy w miasteczku opowiadają niestworzone rzeczy o dwóch starszych paniach, które tam mieszkają. Podobno jedna z nich jest czarownica.

Och, zapewne mówi o mojej drogiej mamusi, pomyślał Aubrey.

Upił łyk wina i z rozbawieniem obserwował zabiegi Karen.

Właśnie nachyliła się ku niemu, demonstrując bujny biust.

- Idealny - mruknął z uznaniem, co skwitowała uwodzicielskim uśmiechem.

- Aubrey, powinniśmy się lepiej poznać. Czuję, że mamy z sobą wiele wspólnego.

Owszem, seks w ten lub w inny sposób łączy ludzi. Dla Karen Richards był to sposób na osiągnięcie wymarzonego celu.

- Może zjemy deser w pokoju. Tam są lepsze warunki do pogłębienia naszej znajomości. -Umoczyła palec w winie, a potem go oblizwała.

Aubreyowi zrobiło się gorąco. Do tej pory był dumny ze swojej samokontroli, ta kobieta sprawiła, że ciało przestało go słuchać.

- Boże, Beth, doprowadzasz mnie do szaleństwa. Jak ja cię pragnę! - Brad pogłębił pocałunek i popchnął ją na miękkie, pachnące siano. Oprócz tego w stodole pachniało skórą, drewnem i ziemią. Jednak on przede wszystkim czuł zapach lawendy.

Lawenda pasowała do Beth. Aromat był trochę staroświecki, ale przy tym bardzo swojski. Tak samo jak Beth. Właśnie dlatego tak bardzo mu się podobała.

- Brad, już dawno tak się nie czułam. Jest cudownie. -

Uśmiechnęła się łagodnie i pogłaskała go po policzku.

- Czuje się tak samo. - Zaczął odpinać guziki jej bluzki. Zdziwił się trochę na widok koronkowego, czarnego stanika. Owszem, Beth była bardzo kobieca, ale wyobrażał sobie, że nosi praktyczną bawełnianą bieliznę.

Gdy odpiął haftki z przodu, Beth gwałtownie drgnęła, czując na piersiach powiew chłodnego powietrza.

- Jaka jesteś piękna - szeptał, gładząc, a potem całując jej krągłe piersi.

Gdy zaczął ssać jej brodawki, jęknęła z rozkoszy.

- Nie wytrzymam dłużej tej słodkiej tortury... tak dawno z nikim się nie kochałam - przyznała.

- Ja też, kochanie. Ale nie śpieszmy się, cieszymy się każdą wspólnie spędzoną chwilą. - Chciał, by ten wieczór na zawsze pozostał w ich pamięci. I chciał też, żeby było wspaniale ze względu na Beth.

Powoli ją rozebrał, potem sam pozbył się ubrania. Gdy byli już nadzy, patrzył na nią przez chwilę rozświetlonymi oczami.

- Jesteś taka piękna.

- A ty... taki duży...

- Przestań tak na mnie patrzeć, bo nie ręczę za siebie.

Obiecałem, że nie będziemy się śpieszyć, pamiętasz?

Uśmiechnęła się nieśmiało i zaczęła go gładzić po ramionach i brzuchu.

- To ty jesteś piękny - odparła, prowokując go do śmiechu.

- Mężczyźni nie są piękni. Bóg zarezerwował ten przywilej dla słabszej płci, ale dzięki za uznanie.

- Przy tobie czuję się bardzo seksowna. To dla mnie nowość.

- Jesteś seksowna. Chyba nigdy w to nie wątpiłaś?

Zaczęli się całować, co tylko podsyciło ich pożądanie. W pewnym momencie Beth szepnęła:

- Brad, kochaj się ze mną.

Nie potrzebował zachęty. Pieścił Beth gorącymi dłońmi i wargami. Zaczęła drżeć.

- Och, Boże! Co ty ze mną wyprawiasz. Przestań mnie tak dręczyć!

- Już niedługo, kochanie.

Gdy uznał, że jest gotowa, wszedł w nią powoli.

- Wszystko w porządku? - spytał, słysząc jej przyśpieszony oddech.

- Oczywiście, ale chciałabym ci coś powiedzieć. Prawie nigdy nie miewam orgazmu. Mam nadzieję, że nie będziesz rozczarowany.

Rozbrojony jej szczerością, pocałował ją delikatnie i szepnął:

- Nie wszystkie kobiety mają orgazm, ale postaram się.

Poruszali się coraz szybciej, coraz gwałtowniej, stopniowo zatracając się w obezwładniającej namiętności.

- Brad, och Brad! - krzyczała. - Och Boże!

Próbował wykrzesać z siebie resztki samokontroli, by przedłużyć moment rozkoszy. Chciał, by przeżyli orgazm razem, by stali się jednością.

Jej oddech stał się płytki, a Brad zabierał ją coraz wyżej i wyżej. Zamknęła oczy, zaczęła jęczeć. Ujął jej biodra, by poczuła go jeszcze mocniej.

Wreszcie dotarli na brzeg. Pokazał jej, czym jest prawdziwa rozkosz, pokazał jej cud spełnienia.

Jej twarz ociekała potem. Beth powoli otworzyła oczy i uśmiechnęła się tak zmysłowo, że na chwilę wstrzymał oddech. Uświadomił sobie, jak bardzo ją kocha.

- Kocham cię, Beth. Pokochałem cię od pierwszego wejrzenia.

- Ja też cię kocham. - Ujęła w dłonie jego twarz. - Było wspaniale. Po raz pierwszy poczułam się jak prawdziwa kobieta.

- Jesteś kobietą w każdym calu, kochanie. Świetnie do siebie pasujemy. Wiesz o tym, prawda? To się czuje.

- Ubierzmy się. - Jej uśmiech nagle przybladł, w oczach pojawił się żal. - Musimy porozmawiać.

- W porządku. - Zmarszczył brwi. - Chociaż wolałbym się z tobą kochać.

- Muszę ci wyjaśnić parę rzeczy. Im szybciej, tym lepiej. Może zmienisz zdanie i będziesz żałował tego, co się właśnie stało. Musisz wiedzieć, że ja nigdy nie będę żałować.

Odgarnął włosy z jej twarzy i ucałował czubek nosa.

- Cokolwiek mi powiesz, nie zmienię zdania.

- Jesteś cudownym mężczyzną, ale wstrzymaj się z oceną, dopóki nie usłyszysz, co mam ci do powiedzenia. - Jej oczy wypełniły się łzami.

- Ubierzmy się - zaproponował, podając jej bieliznę. - Kiedy jesteś naga, nie mogę się skupić.

Uśmiechnęła się smutno i sięgnęła po ubranie.

RS

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

- No dobrze. - Brad oparł się o drewnianą drabinę prowadzącą na stryszek i skrzyżował ręce na piersi. - O czym chciałaś mi powiedzieć?

Beth usiadła ciężko na beli siana. Zastanawiała się, jak powiedzieć mężczyźnie, którego kochała i z którym przed chwilą przeżyła coś cudownego, że go zwodziła. I tak nic nie wymyślę, doszła do wniosku. Odchrząknęła i powiedziała:

- Wiem, że się zdenerwujesz, ale zachowaj spokój, spróbuj mnie zrozumieć. Musiałam chronić tych, których bardzo Kocham.

Brad spojrział na nią podejrzliwie, zmarszczył brwi i spytał ostrym tonem:

- Wiesz, co przydarzyło się mojemu ojcu? Czy o to chodzi? Czy twoje ciotki miały z tym coś wspólnego?

- Nie sądzę. - Potrząsnęła głową. - To znaczy na pewno nie. W tej sprawie ciotki są niewinne, ale... - Urwała gwałtownie i przełknęła ślinę.

- No to o co chodzi, Beth? Co próbujesz mi powiedzieć? - spytał zniecierpliwiony.

Zmusiła się, by spojrzeć mu w oczy, choć nie było to łatwe.

- W piwnicy znalazłam kości, a raczej wykopał je Buster. To zdarzyło się tuż przed twoim przyjazdem.

- Co takiego?! - Tak gwałtownie odsunął się od drabiny, że zakołysała się niebezpiecznie. - Jakie kości?

- Nie wiem. Według mnie ludzkie, ale nie jestem ekspertem.
Wysłałam jedną do analizy. - Boże, kiedy Ellen wreszcie wróci!

Brad podszedł do niej, ujął za ramiona i zmusił, by wstała.
Złość, którą zobaczyła w jego oczach, na chwilę ją obezwładniła.

- Dlaczego mówisz mi o tym dopiero teraz? Dlaczego tak długo
mnie okłamywałaś? Dobrze wiesz, jak bardzo martwię się o ojca.

- Na razie nie ma o czym mówić. Poczekajmy na wyniki analizy.
Poza tym nie mogłam narażać moich ciotek.

- Twoich ciotek?! A co z moim ojcem? Może też leży
pogrzebany w twojej piwnicy!

- To nie mogą być kości twojego ojca. Jego ciało nie uległoby
tak szybko rozkładowi.

- Ale to mogą być szczątki Lyle'a McMurtry'ego.

- Tego nie możesz wiedzieć. - Zaciśnęła pięści. - Nikt nie zdołał
udowodnić, że moje ciotki miały coś wspólnego ze zniknięciem tego
człowieka.

- Kości w piwnicy to wystarczający dowód. A jeśli mojego ojca
spotkał taki sam los jak nieszczęsnego McMurtry'ego? Na litość
boską, Beth, czy ty w ogóle rozumiesz, co zrobiłaś?

- Tak. Chroniłam dwie starsze panie przed bezpodstawnymi
atakami i być może więzieniem. Gdybym musiała, zrobiłabym to
jeszcze raz. Kocham je równie mocno, jak ty swojego ojca.

- Zaufałam ci - wycedził przez zaciśnięte zęby. - Wierzyłem,
kiedy twierdziłaś, że nie masz pojęcia, co stało się z moim ojcem. Nic
dziwnego, potrafisz być bardzo przekonująca. Zupełnie mnie zmyliłaś.
Czuję się jak kompletny idiota.

Krew napłynęła jej do twarzy, zaczęły palić ją policzki. Powinna się oburzyć, że zarzucił jej kłamstwo, ale przecież naprawdę go oszukała, czy raczej nie była z nim do końca szczerą. Jego gniew był do pewnego stopnia uzasadniony, jednak tylko do pewnego stopnia.

- Powiedz coś - zażądał.

Policzyła do dziesięciu, a potem spytała:

- Co zamierzasz zrobić?

- To co muszę. Zaraz zadzwonię do szeryfa. Ścisnęła go mocno za ramię, próbując zachować resztki spokoju, chociaż była bliska paniki.

- Nie możesz! On natychmiast zaaresztuje moje ciotki pod zarzutem morderstwa. To staruszki, nie dożyją nawet procesu. Brad, proszę, wstrzymaj się jeszcze!

- A jeśli są winne? Może te słodkie i urocze staruszki zabiły mojego ojca? Co wtedy?

- Na pewno nie. Znam je od chwili narodzin. Nigdy nie były okrutne. Rozmawiałeś z nimi. Jak mogłeś w ogóle pomyśleć, że są zdolne do takich okropnych rzeczy?

- Czy wierzysz w ich niewinność również w sprawie McMurtry'ego? Masz absolutną pewność, że to nie jego kości leżą w waszej piwnicy? Nie wiesz, co twoje ciotki robiły pięćdziesiąt lat temu. Zraniona kobieta jest zdolna do wszystkiego, nawet do morderstwa.

- Nie! - Gwałtownie potrząsnęła głową. - To nieprawda.

- Słyszałaś, co mówiła Iris, gdy miała wysoką gorączkę. Błagała McMurtry'ego o przebaczenie. Nie mówiłaby tak, gdyby go nie skrzywdziła.

- Wiem w głębi serca, że żadna z moich ciotek nie jest zdolna do morderstwa. - No tak, ale skąd wzięły się w piwnicy medalion i zakrwawiona koszula? Dobrze, że przynajmniej o tym znalezisku nie poinformowała Brada. Jak widać, szczerść nie zawsze popłaca.

- Przykro mi, ale muszę wyjaśnić zagadkę zaginięcia mojego ojca. Nie zamierzam przejść do porządku dziennego nad twoimi rewelacjami. Poza tym Stacy bardzo kocha dziadka i choćby ze względu na nią powinienem doprowadzić sprawę do końca. Nie chcę, by dorastała w przekonaniu, że nas porzucił i wybrał samotność.

Beth rozmyślała gorączkowo. Musiała szybko ułożyć jakiś plan.

- Dobrze, to przynajmniej obiecaj, że dasz mi czas do rana. Muszę przygotować ciotki na najgorszą ewentualność. - Zauważyła, że się waha, więc dodała: - Powiedziałeś, że mnie kochasz. Proszę, Brad.

- Beth, to nie fair, i dobrze o tym wiesz. Ty też wyznałaś mi miłość, a przy tym cały czas wodziłaś mnie za nos.

- Przepraszam. Wolałabym, by to nigdy się nie wydarzyło. Próbowałam ci uzmysłwić, że zbyt wiele nas dzieli, dlatego nie warto się angażować.

- I chyba miałaś rację.

Te ostre słowa bardzo ją zraniły. Los postawił na jej drodze mężczyznę, którego kochała i szanowała. Dlaczego nie mogą być razem? To takie niesprawiedliwe.

- Dobrze, poczekam do rana, ale nie dłużej.

- Dziękuję. - Beth odetchnęła z ulgą i zaczęła planować następne posunięcie.

Nadszedł nowy dzień, a wraz z nim pojawił się szeryf Murdock. Przyjechał do pensjonatu tuż po dziewiątej, czyli Brad dotrzymał słowa i skontaktował się z nim dopiero rano. Miała nadzieję, że wyciągnął tego tłuszciocha z łóżka.

Mógł tu węszyć do upadłego, i tak niczego nie znajdzie. W nocy ukryła kości tam, gdzie nikt ich nie znajdzie. Poczekwała, aż wszyscy goście położą się do łóżek, a potem zakopała kości pod budą Bustera. A jednak mam w sobie awanturniczą żyłkę, pomyślała z dumą.

- Dzień dobry, Beth - przywitał ją szeryf i zdjął kapelusz. W holu było pusto, bo większość gości nadal leżała w łóżkach, a reszta była na śniadaniu. - Dziś rano zadzwonił do mnie doktor Donovan. Twierdzi, że w twojej piwnicy leżą jakieś kości. Czy to prawda?

Przypomniała sobie wszystkie sceny filmowe, w których bohaterki udają zaskoczenie. Zrobiła minę niewiniątka, otworzyła usta i zamrugowała.

- Co takiego? Chyba pan żartuje! Brad tak powiedział? Hm, cóż, wczoraj wieczorem... - zarumieniła się - doszło między nami do malej sprzeczki. Nigdy nie sądziłam, że posunie się do takiej podłości tylko dlatego, że nie dostał, czego chciał.

Szeryf wyraźnie się zmieszał.

- A zatem twierdzisz, że w twojej piwnicy nie ma żadnych kości?

- Żadnych, o których bym wiedziała - odparła z udawanym oburzeniem. - Oczywiście Buster być może czasami coś tam zakopuje, ale niczego nie zauważyłam.

- Czyli nie będziesz miała nic przeciwko temu, bym się tam rozejrzał? - Wciąż zakłopotany, odruchowo potarł szczękę.

- Chce pan przeszukiwać moją piwnicę tuż przed Świętem Dziękczynienia i uroczystym otwarciem restauracji?

- Niestety tak. W takich sprawach pośpiech jest wskazany. Na pewno to rozumiesz.

- To jest mi bardzo nie na rękę, mówiąc delikatnie.

- Mogę postarać się o nakaz przeszukania, ale mam nadzieję, że będziesz ze mną współpracować. To jak?

Westchnęła teatralnie.

- Tak, oczywiście, chociaż z drugiej strony trochę się panu dziwię. Zna mnie pan od wielu lat, a jednak zaufał pan obcemu, który próbuje się na mnie odegrać.

- Doktor Donovan nie sprawił na mnie wrażenia mściwego człowieka. Jest spokojny i zrównoważony.

- A ja nie? Cóż, wielkie dzięki.

Zaczął bezwiednie bawić się kapeluszem.

- Nie, skądże, Beth. Zawsze uważałem cię za bardzo rozsądną osobę. Twardo stąpasz po ziemi. Niestety, nie mogę tego samego powiedzieć o twoich ciotkach. Zamierzam tu trochę pokopać i zobaczyć, co jest na rzeczy.

Skrzyżowała ramiona na piersiach. Ta postawa miała manifestować urażona niewinność.

- Proszę się nie krępować, szeryfie. Zapraszam do piwnicy. Gdy pan skończy, proszę dokładnie zamknąć drzwi. Gościom nie wolno tam schodzić. Nie chcę się potem z nimi procesować, chyba pan rozumie. - Sięgnęła do kieszeni, wyjęła klucz i podała go szeryfowi. Widok zaskoczenia na jego nalanej twarzy był wart każdych pieniędzy. - Gdy pan już skończy bezowocne poszukiwanie skarbu, oczekuję przeprosin.

- Oczywiście. No to biorę się do roboty, tylko najpierw pójde do samochodu po łopatę i zawiadomię doktora Donovaną, że...

- Nie zgadzam się na obecność doktora Donovaną. Musi pan iść sam. Proszę włożyć kurtkę, bo na dole jest chłodno i wilgotno. Światło też nie działa, Niech pan nie zapomni o latarce.

Szeryf nie wyglądał na uszczęśliwionego. Nie lubił fizycznej pracy i z zasady unikał niepotrzebnego wysiłku.

- Cóż, w takim razie zawiadomię Donovaną, że nie może mi towarzyszyć.

Odwrócił się, ale zanim zdążył odejść, Beth złapała go za ramię.

- Szeryfie Murdock, czy wyświadczy mi pan przysługę? Proszę przekazać ode mnie Bradleyowi Donovanowi, żeby poszedł do diabła.

- Gdzie wkrótce do niego dołączę, pomyślała, bo należy mi się kara za te wszystkie kłamstwa i oszustwa.

Brad krążył niespokojnie po ogródku na tyłach domu. Nie dbał o to, że jego drogie skórzane półbuty nasiakają wodą. Niecierpliwie czekał na informacje od szeryfa.

Seth Murdock zszedł do piwnicy mniej więcej godzinę temu. Prawie w ogóle się nie odzywał, tylko od czasu do czasu klął na czym świat stoi.

Brad spędził bezsenłą noc. Nie mógł uwierzyć, że wieczór, który zaczął się tak wspaniale, zamienił się w koszmar.

Beth go oszukała, a on wierzył jej bez zastrzeżeń. Chociaż szeryf właśnie w tej chwili przekopywał piwnicę Beth, Brad nadal miał wątpliwości, czy to wszystko dzieje się naprawdę. Było im z Beth wspaniale, ale ona wszystko popsuła. Wyznała mu rzeczy, o których naprawdę wolałby nie wiedzieć.

Oczywiście rozumiał, że chciała chronić ciotki, ale, na litość boską, jego ojciec zaginał! Powinna była mu już wcześniej powiedzieć o tych kościach.

Zaczął się nawet zastanawiać, czy nie kochała się z nim tylko po to, by łatwiej nim manipulować. Dopiero gdy trochę się opamiętał, uświadomił sobie, że wyznanie Beth jest dowodem najwyższego zaufania.

Czy naprawdę go kochała, czy tylko z nim igrała?

Ale czy to teraz ważne?

- Jezu, ależ ze mnie głupek...

- Cześć, tato. Co ty tutaj robisz? Zerwałeś się skoro świt. Chyba miałeś iść na ryby. Rozmyśliłeś się? - Stacy spojrzała na niego pytająco.

- Muszę najpierw pomóc w pewnej sprawie szeryfowi Murdockowi.

- Co ty! A o co chodzi?

Brad nie chciał jej niepokoić, dlatego trochę nagiął prawdę.

- W miasteczku doszło do włamania. Szeryf Murdock uważa, że to jakieś dzieciaki, bo zginał sprzęt stereo. Przeszukuje dom po domu, szukając złodziejskiego łupu. Teraz jest w piwnicy.

- A ty stoisz na czatach? - spytała podekscytowana. - Pomagasz szeryfowi w śledztwie?

- Można tak powiedzieć.

- Fajnie, ale uważaj na siebie, dobrze? No wiesz, żeby cię nie postrzelili.

- Oczywiście, skarbie. Dlaczego wstałaś tak wcześnie? Jadłaś już śniadanie?

- Beth poprosiła mnie, żebym znalazła Bustera, bo chce go wykapać. Chyba zrozumiał jej słowa, bo natychmiast uciekł.

- Ty i Beth dogadujecie się coraz lepiej, prawda? - Kiedyś o tym marzył, ale teraz było to bez znaczenia.

- Ona jest w porządku. - Stacy wzruszyła ramionami. - Lubię też bardzo jej ciotki, no i Bustera.

- Cóż, nie przywiązuj się do nich wszystkich zbytnio - poradził jej, zmuszając się do uśmiechu. - Wiesz, że niedługo stąd wyjeżdżamy. - Ja też powinienem o tym pamiętać, pomyślał.

- Może po powrocie do domu kupimy sobie psa? Chciałabym labradora, takiego jak Buster.

Dał jej pstryczka w nos, czego nie zносиła.

- Wkrótce Boże Narodzenie. Kto wie, co się zdarzy?

- Naprawdę? Mówisz serio? Tato, byłoby super. Obiecuję, że to ja będę o niego dbać. Nawet nie będziesz wiedział, że mamy w domu psa. Beth twierdzi, że nieźle sobie radzę z Busterem.

- Zobaczymy. A teraz leć już poszukać psa. Beth na pewno niecierpliwie czeka.

- Tak, jest w pralni.

- No to do zobaczenia. Bądź grzeczna.

Odbiegła, podskakując radośnie i wymachując rękami. Chwilę później spod ziemi wyszedł szeryf Murdock.

Był od stóp do głów pokryty kurzem i gliną. Spodnie i koszula, zazwyczaj starannie wyprasowane, przybrały kolor brązu. Buty zrobiły się szare. Był bardzo zmęczony i najwyraźniej wściekły, co nie wróżyło nic dobrego.

- I jak tam? - zapytał Brad ostrożnie.

- Niczego nie znalazłem, doktorze Donovan. Czy jest pan pewien, że Beth mówiła serio? Może tylko żartowała.

- Nie znalazł pan żadnych kości? - Brad zmarszczył czoło. - Nie rozumiem. - Dlaczego Beth miałyby go tak podpuszczać? Mówiła zupełnie serio, był tego pewien.

- No to jest nas dwóch, doktorze. Beth była bardzo zdziwiona, kiedy opowiedziałem jej o całej sprawie i nawet zasugerowała, że pan zwariował. Muszę ja teraz przeprosić, bo narobiłem tak niezłego bałaganu i rozkopałem całą podłogę. Bardzo możliwe, że nie zaprosi nas na uroczyste otwarcie restauracji, a żonie bardzo na tym zależało. Od tygodni truje mi głowę i wciąż powtarza, że będą tu wszyscy notable z miasteczka.

- Jestem pewien, że mówiła zupełnie serio. Musiała w nocy przenieść je gdzie indziej.

- Hm... Ziemia tam, na dole, jest twarda jak beton. Jestem potężnej postury, ale zmęczyłem się jak diabli. Wątpię, by taka drobna kobieta jak Beth zdołała wykopać choćby mały dołek. Brad zaklął cicho.

- Po co miałyby mnie okłamywać?

- Do diabła, nie mam pojęcia. Może coś się panu przyśniło. Albo po prostu chciała wystrychnąć pana na dudka. Wie pan, jak to jest z kobietami, trudno za nimi trafić. Powiedziała, że wczoraj trochę się pokłóciliście. Może chciała się na panu odegrać?

- Nie pokłóciliśmy się, przynajmniej nie od razu. - Szeryf wyraźnie nadstawił uszu, a Brada zalała fala gorąca. - No dobrze, pokłóciliśmy się, ale dopiero jak mi powiedziała o tych kościach. To chyba zupełnie zrozumiałe.

- Dam panu dobrą radę. Najlepiej niech pan pogada o tym z Beth. Ja nawet nie próbuję zrozumieć kobiet. Moja żona doprowadza mnie czasami do szaleństwa. - Wyciągnął z kieszeni kurtki paczkę orzeszków i zaczął rytmicznie przeżuwać. - Nie zdążyłem dzisiaj zjeść śniadania - wyjaśnił.

- Przepraszam za kłopot. Doceniam, że postanowił pan wszystko sprawdzić osobiście.

- Na tym polega moja praca, synu. - Murdock poklepał Brada po ramieniu. - Wiem, że pan się denerwuje z powodu ojca, ale czasami trzeba pogodzić się z faktami. Życie już takie jest. Nie wszystkim pisane są szczęśliwe zakończenia, choć wszyscy o nich marzymy.

Brad przez chwilę obserwował odchodzącego szeryfa, a potem pobiegł do domu. Już on pogada sobie z Beth! Była kłamczucha, w dodatku okazała się o wiele sprytniejsza i bardziej przewidująca, niż się spodziewał.

Beth sprawdziła, że gościom nic nie brakuje, i wyszła z restauracji. Skierowała się do pralni mieszczącej się na tyłach domu. Chciała wykąpać psa i miała nadzieję, że Stacy już go znalazła. Buster uwielbiał taplać się w wodzie, ale nienawidził, gdy Beth go myła.

Jednak w piwnicy zastała jedynie Brada, który aż kipiał z wściekłości. Wcale mu się nie dziwię, pomyślała.

- Co z nimi zrobiłaś?

-Nie rozumiem. Z czym?

- Beth, nie przeciągaj struny. Dobrze wiesz, że pytam o kości. Co z nimi, do diabła, zrobiłaś?

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Na pewno dobrze się czujesz?

- Przekonałem się już, że świetnie kłamiesz i jesteś świetną aktorką. - Westchnął głęboko, próbując się uspokoić. - Uważaj, ukrywanie dowodów to poważne przestępstwo. Jeśli odnajdę te kości, natychmiast zawiadomię odpowiednie władze. Rozumiesz?

- Przecież już to zrobiłaś - brnęła dalej. Postanowiła wszystkiemu zaprzeczać, bo uznała, że to najlepsza linia obrony. - Nie byłam zachwycona, gdy szeryf Murdock zjawił się tu z samego rana. Mam dużo roboty i nie potrzebuję dodatkowych atrakcji. A wszystko dlatego, że naopowiadałaś mu jakichś głupot.

- W co ty pogrywasz? Jeszcze nie zwariowałem. Dobrze wiem, co mi powiedziałaś.

- Naprawdę nie wiem, o czym mówisz. Przepraszam, ale jestem zajęta. - Próbowała go wyminąć, ale złapał ją za rękę.

- Do diabła, przestań kręcić i powiedz prawdę.

- Mówię prawdę, tylko ty nie chcesz mi uwierzyć. Przepraszam, ale...

- Ja przez ciebie naprawdę zwariuję. Dobrze wiedziała, o czym mówi, bo czasami sama miała takie wrażenie.

- Myślę, że powinniśmy zapomnieć o naszych romantycznych uniesieniach. Tak będzie lepiej dla nas obojga.

Zadumał się chwilę i już miał coś powiedzieć, gdy do środka wpadła Stacy. Ciągnęła za obrożę opierającego się Bustera.

- Znalazłam go.

- Wspaniale, Stacy.

Stacy spojrzała na nich zdziwiona.

- Cześć, tato. Co ty tu robisz? Czy coś się stało? Wyglądasz trochę dziwnie. Jak tam pościg za rabusiami?

- Wszystko w porządku.

- Dzięki za pomoc, Stacy. Jeśli chcesz, możemy go razem wykopać.

- Naprawdę? Fajnie. - Dziewczynka uśmiechnęła się szeroko. - Wiesz, może ja też będę miała psa.

- Przykro mi, Stacy, ale musimy teraz pojechać do miasta. Beth poradzi sobie sama.

- Dlaczego nie mogę zostać z Beth? Ona już się zgodziła, prawda, Beth?

- Przecież chciałaś kupić trochę ciuchów. - Brad spojrział na Beth, prosząc ją o wsparcie.

- Tak, zgodziłam się, ale będzie lepiej, jeśli pojedziesz z tatą. Skorzystaj z jego wspaniałomyślnej oferty, bo mężczyźni nie znoszą chodzić na zakupy. Pomożesz mi przy następnej kąpieli Bustera, o ile tu jeszcze będziesz.

Na myśl o ich szybkim wyjeździe poczuła ukłucie w sercu. Nie chciała zakochać się w Bradzie, ale z miłością już tak jest. Zawsze rozwija się inaczej, niż oczekiwałaś. Później przychodziło cierpienie, złamane serce, wzajemne żale i pretensje. Normalna kolej rzeczy.

- No dobra. Polecę na górę po torebkę i zaraz wracam. - Wybiegła z pralni, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

- Dziękuję za pomoc. Nie chcę, by Stacy przywiązała się zbyt mocno do Bustera ani do ciebie.

- Rozumiem - odparła cicho.

- Chciałbym powiedzieć to samo o sobie - rzekł z westchnieniem, odwrócił się wyszedł.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

- Pani Randall, właśnie stałam namydlona pod prysznicem, gdy zabrakło wody. Muszę przyznać, że trochę mnie to zdenerwowało.

Beth podniosła głowę znad ulotek reklamowych. W holu stała pani Frederick. Miała minę, jakby przed chwilą zjadła kilogram cytryn. Ognieście czerwony szlafrok przylegał ściśle do jej mokrego ciała. Nie był to widok jaki Beth chciałaby ujrzeć z samego rana

Uśmiechnęła się przepaszająco.

- Tak mi przykro, pani Frederick. - Banał, ale co innego mogła powiedzieć. Nawet nie miała pojęcia, co się stało. - Zaraz spróbuję...

- Beth, chodź tu natychmiast! - rozległ się z kuchni krzyk Lori. - W kranach nie ma wody!

Pani Frederick spojrzała na Beth bardzo znacząco, co miało zapewne wyrażać: „A nie mówiłam”.

Beth obiecała, że natychmiast usunie usterkę.

- I to wszystko, co zamierza pani zrobić? - spytała pani Frederick, unosząc brwi.

- Nie bardzo rozumiem.

- Naraziła mnie pani na niewygodę. Oczekuję jednego noclegu gratis. W przeciwnym wypadku moja noga nigdy więcej tu nie postanie. A jak pani zapewne wiadomo, ja i mój mąż Archie uwielbiamy podróżować. - Odwróciła się i ruszyła majestatycznie po schodach. Jej wyniosła poza nieco kontrastowała ze śmiesznymi, obszytymi futerkiem białymi klapkami.

Beth uznała, że ma teraz większe zmartwienia. Pobieгла do kuchni. Lori stała przy zlewie i klęła jak szewc.

- Co się dzieje z tą wodą? - spytała zdezorientowana Beth. Przecież w zeszłym roku zmieniłam całą instalację, pomyślała.

Lori gwałtownym gestem uniosła dłonie. Była jeszcze bardziej zdenerwowana niż zazwyczaj.

- A niby skąd mam wiedzieć? Z kranu nic nie leci, a ja gotuję makaron. Potrzebuję wody.

- Zaraz wezwę hydraulika.

- Nie fatyguj się, już to zrobiłam. Może przyjsć dopiero jutro rano.

- Co takiego? - Beth poczuła, że robi się jej słabo. Brak wody to także nieczynne prysznice, toalety, zamknięta restauracja, zero gości, a zatem zero pieniędzy. - Wykluczone. Nie tak umawiałam się z Mortem. Obiecał, że będzie na każde zawołanie.

- Pan Toomis powiedział, że dzisiaj się nie wyrobi, bo ma za dużo klientów.

- A to kawał... - Urwała na widok wchodzącego Brada.

Połowę jego twarzy pokrywał krem do golenia, na ramiona miał zarzucony ręcznik. Gdyby Beth nie była taka zła, na pewno wybuchnęłaby śmiechem. Coś takiego! Elegancki doktor odważył się wyjść z pokoju w samym podkoszulku.

- Jakiś problem? - zapytał.

- W całym pensjonacie nie ma wody, choć na pewno już się o tym przekonałeś.

Podszedł do zlewu, postukał w krany, odkręcił je, a potem znów zakręcił. Potem wetknął głowę pod zlew i po chwili powiedział:

- Myślałem, że może ktoś omyłkowo zakręcił zawory, ale nie.-

- Co za ulga - mruknęła Lori. - No to dlaczego nie ma wody?

- Na razie nie wiem. Gdzie jest główne ujęcie wody?

- Na tyłach domu. tam na pewno wszystko jest w porządku. W zeszłym roku wymieniłam całą instalację.

- To może zepsuła się pompa - odparł po chwili namysłu. - Choć z drugiej strony, jeśli wymieniałaś całą instalację, to pompa też jest nowa.

- No to o co chodzi? Co się właściwie stało? Boże, chyba się wścieknę. Dlaczego wszystko dzieje się naraz?

- A co jeszcze się stało? - chciała wiedzieć Lori, obserwując ich uważnie.

- Nic takiego, po prostu histeryzuję - odparła szybko Beth i zaczerwieniła się.

- Chciałbym sprawdzić główny wyłącznik prądu. Gdzie masz panel kontrolny?

Nawyzywała się w duchu od idiotek. Oczywiście najpierw powinna wszystko sprawdzić. Podała Bradowi latarkę, bo panel był ukryty za metalowymi drzwiczkami w ścianie. Przez chwilę zmagał się z wyłącznikami, a potem powiedział:

- Ktoś wyłączył pompę.

- Ale kto miałby to robić? I po co?

- Czasami, gdy sieć jest przeciążona, ze względów bezpieczeństwa wyłącza się automatycznie.

Znalazł odpowiedni wyłącznik i po chwili Lori zawołała:

- Mamy wodę!

Beth usłyszała pomruk pracującej pompy i odetchnęła z ulgą. Pani Frederick wreszcie się wykąpie.

- Dziękuję ci, Brad. Nawet sobie nie wyobrażam, ci by tu się działo, gdybym beczynn timer czekała na przyjazd hydraulika.

Większość gości na pewno by się wyprowadziła. - A to byłoby straszne, bo moje finanse i tak są w opłakanym stanie.

Kiedy wreszcie pan Pickens podejmie decyzję w sprawie mojego kredytu? - zastanawiała się. Naprawdę rozpaczliwie potrzebuję tych pieniędzy.

- Co prawda o wiele pewniej czuję się ze stetoskopem, ale z takimi prostymi rzeczami też sobie radzę. Cieszę się, że mogłem pomóc.

Już miał odejść, lecz Beth złapała go za ramię.

- Przykro mi, że sprawy między nami tak się skomplikowały, Brad.

- Mnie też. - Była tak smutna, że poczuł się zakłopotany. - Lepiej pójdę na górę i skończę się golić.

- Oczywiście ja...

Zatrzymał się i spojrzał na nią z nadzieją, ale tylko potrząsnęła głową. Nie chciała mówić nic więcej.

Patrzyła z ciężkim sercem, jak odchodzi. Cokolwiek by powiedziała, nic już nie pomoże.

Wieczorem tego samego dnia Beth wpadła do kuchni, wymachując triumfalnie gazetą.

- Zgadnij, co się stało, Lori!

Lori podniosła wzrok znad menu na jutrzejszy dzień i smętnie potrząsnęła głową.

- Poddaję się, choć z drugiej strony co może być gorszego od awarii wody? Wiesz co? Nie mam ochoty wysłuchiwać kolejnych złych wiadomości.

- Ale to bardzo dobra wiadomość, wręcz wspaniała! W „Philadelphia Inquirer” zamieścili o nas artykuł. Mój pensjonat będzie sławny.

Beth uśmiechała się od ucha do ucha, tymczasem Lori siedziała jak skamieniała. To najgorsza rzecz, jak mogła mi się wydarzyć, pomyślała ponuro. Bill regularnie czyta tę gazetę. Beth oczywiście nie miała o niczym zielonego pojęcia.

- Kiedy ukazał się ten artykuł? - Czy naprawdę chciała wiedzieć, ile czasu jej zostało?

- Poczekaj, zaraz sprawdzę... Pięć dni temu. Dostałam ten egzemplarz od Hildy Croft z towarzystwa historycznego. Ona jest wielką entuzjastką naszego pensjonatu. Próbuje go wpisać do rejestru zabytków. Ależ jestem podekscytowana. Muszę powiedzieć o tym ciotkom.

Nie chcąc sprawiać szefowej przykrości, Lori wzniosła kilka entuzjastycznych okrzyków:

- Och, Beth, wspaniale, bardzo się cieszę. Wiem, jak ciężko pracowałaś na sukces i w pełni na niego zasłużyłaś.

- Obie ciężko na to pracowałyśmy. - Gdy Beth porwała ją w ramiona, Lori poczuła się jak zdrajczynie. - Dobra, muszę lecieć. Myślę, że to moje ciotki spowodowały awarię. Zużywają mnóstwo prądu. Bez przerwy gotują wodę na herbatę w elektrycznym czajniku. Próbuje przemówić im do rozsądku, ale bezskutecznie. - Lori ze zrozumieniem pokiwała głową. - Dzisiaj rano zauważyłam, że są trochę zdenerwowane. Podobno to moja matka doprowadza je do szału, w co jestem skłonna uwierzyć. - Westchnęła. - Mam wyrzuty sumienia, bo ostatnio jestem bardzo zajęta i prawie do nich nie zaglądam. Matka zaproponowała mi pomoc i obiecała, że będzie mieć je na oku. Szkoda tylko, że jej nie ma kto pilnować.

- No cóż, powodzenia - odparła Lori, życząc sobie w duchu tego samego. Tak, będzie potrzebowała dużo szczęścia, gdy Bill ją wreszcie odnajdzie.

Gdy skończyła układać menu, wróciła do pokoju i włączyła komputer. W poczcie znalazła następną wiadomość od Billa. Wlepiała oczy w ekran.

Lori, niełatwo cię było wytropić. Pewnie by mi się nie udało, gdyby nie artykuł w gazecie. Wkrótce cię odwiedzę, by odebrać moje noże i przepisy. Bill

A zatem Bill Thackery ją odnalazł. To była pierwsza myśl, która przyszła jej do głowy. Zaraz potem pomyślała, że musi natychmiast złożyć wymówienie i wyjechać. Najlepiej jutro z samego rana. Nie chciała, by Beth była świadkiem jej konfrontacji z Billem.

Miałaby rzucić wszystko, zostawić Beth na lodzie? Jej wyjazd byłby dla pensjonatu katastrofą, a ona pokochała to miejsce. Czuła się

tu jak w domu. Jeśli wyjedzie, będzie za wszystkimi bardzo tęsknić, szczególnie za Beth.

- Cholera jasna, Bill! Dlaczego po prostu nie zostawisz mnie w spokoju?

Postąpiła idiotycznie, kradnąc przepisy i noże. Powinna też usamodzielnic się o wiele wcześniej, ale brakowało jej wiary we własne zdolności. To się zmieniło. Teraz już nie potrzebowała przepisów Billa... no, może tylko na ten przepyszny farsz do indyka. Był rzeczywiście rewelacyjny, zwłaszcza od kiedy trochę go udoskonalila. Opracowała wiele własnych przepisów i jej styl stał się rozpoznawalny. Czasami goście prosili ją o przepis na jakieś danie, co zwykle wprawiało ją w popłoch.

Już nie potrzebowała Billa. Nie potrzebowała też kłopotów, w które mógł ją wpędzić. Jeśli wyjdzie na jaw, że jest złodziejka, jej kariera będzie skończona, a przyszłość pensjonatu bardzo niepewna.

Przechodząc przez salonik przy recepcji, Beth zauważyła matkę. Margaret leżała wygodnie na sofie i czytała książkę. Sądząc po okładce, jakiś romans. Widać trafiła właśnie na szczególnie ekscytującą scenę, bo była bez reszty pogrążona w lekturze.

- Mamo, musimy porozmawiać.

Margaret uniosła głowę i uśmiechnęła się. Usiadła i wskazała córce miejsce obok siebie.

- Oczywiście, kochanie. Chyba się nie gniewasz, że pożyczyłam sobie książkę z biblioteki dla gości. To romans. Nigdy przedtem żadnego nie czytałam, ale ten mi się podoba.

- Cieszę się, chociaż jestem nieco zdziwiona. O ile pamiętam, zawsze krytykowałeś moje lektury.

- Naprawdę? Sama nie wiem, dlaczego. To się naprawdę dobrze czyta.

Beth powstrzymała się od zgryźliwego komentarza i powiedziała:

- Ciocie Ivy i Iris są trochę zaniepokojone twoją aktywnością. Podobno przewróciłaś ich pokoje do góry nogami, grzebałaś w ich osobistych rzeczach, przeznaczyłaś do wyrzucenia stare sukienki, książki i różne drobiazgi, które uznałaś za zbędne. Są wyraźnie zdenerwowane.-

- Dlaczego nic mi nie powiedziały? - Margaret naprawdę był zdumiona. - Po prostu sądziłam...

Beth westchnęła, zastanawiając się, czy jej matka naprawdę jest taka niedomyślna, czy po prostu świetnie udaje.

- Nie bez powodu zabroniłam gościom wchodzić na trzecie piętro. Tam mieszczą się prywatne pokoje Iris i Ivy, ich dom. Mogą tam robić, co im się żywnie podoba. Gromadzić najdziwniejsze rzeczy. Ty być może uważasz, że to śmieci, ale one są przywiązane do każdego drobiazgu.

- Przecież ja nie jestem gościem. Należę do rodziny. Chciałam tam trochę posprzątać, żeby im było wygodniej. Zrobiły z mieszkania prawdziwą graciarnię. Trzymają mnóstwo niepotrzebnych szpargałów.

- Mamo, to są ich rzeczy, nie nasze. Na pewno chciałaś dobrze, ale powstrzymaj swoje zapędy organizacyjne. Przestań tam sprzątać.

- Dobrze, kochanie - zgodziła się Margaret potulnie. - Przepraszę ciotki za całe zamieszanie. Po prostu próbowałam pomóc. Zresztą muszę coś robić, nie mogę całymi dniami obijać się z kąta w kąt.

- Zdaję sobie sprawę, że w Mediocrity nie ma zbyt wielu atrakcji, ale ty też powinnaś o tym wiedzieć, bo przecież tutaj się wychowa-łaś, prawda? -

- Nie rozumiałaś mnie. Chętnie zwolnię obroty. Zaczęłam się nawet zastanawiać, czy nie wrócić do Mediocrity, bo w Kalifornii nic mnie już nie trzyma.

Beth aż zadrżała. Poczula, jak w jej przelyku rośnie wielka gula.

- Dlaczego chcesz się tu przeprowadzić? To chyba zbyt pochopna decyzja.

- Skądże, wszystko przemyślałam. Kupię sobie małe mieszkanie albo domek, znajdę pracę na pół etatu i będę blisko rodziny. Nie jestem coraz młodsza, Beth. Nie chcę umierać w samotności.

- Przestań gadać głupoty - zdenerwowała się Beth. - Jesteś zdrowa jak koń i dobrze o tym wiesz. - Do tej pory Margaret uwielbiała wypominać innym wiek, a o swoim taktownie milczała.

- Wiesz, jak to jest. Jednego dnia jesteś zdrowy, a następnego umierasz. Nic nie jest nam dane na zawsze.

Beth poczuła ukłucie w sercu. Matka mówiła zupełnie sensownie, a i Beth doświadczyła na swojej skórze nagłych zawirowań. Jej związek z Bradem rozpadł się, zanim na dobre się zaczął.

- Tak, zdaje sobie z tego sprawę, ale ty jesteś zdrowa, prawda?

- Tak, kochanie. Nic mi nie dolega.

Beth odczuła ulgę. Nie zawsze zgadzała się z matką, ale kochała ją

- To świetnie.

- Jesteś niezadowolona, że będę mieszkać bliżej ciebie? Marzę, by stać się częścią twego życia.

- Dlaczego? Przez te wszystkie lata nieustannie mnie krytykowałaś. Nigdy nie zdołałam cię zadowolić. Gdy rozwodziłam się z Gregiem, wcale mnie nie wspierałaś, tylko wzięłaś jego stronę. To bolało, bo bardzo cię wtedy potrzebowałam. Nie mam nikogo poza tobą i ciotkami. Przynajmniej one nigdy mnie nie zawiodły.

Margaret zbladła gwałtownie. Na jej twarzy malowały się poczucie winy i ból. Ujęła dłoń córki i ścisnęła.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo tego żałuję. To prawda, nie zawsze byłam dobrą matką. Po rozwodzie bardzo zgorzkniałam. W głębi duszy winiłam cię za rozpad mojego małżeństwa i za to, że moje życie stało się piekłem. Twój ojciec kochał cię o wiele bardziej niż mnie. To był jeden z powodów, dla których się z nim rozstałam. Chciałam ukarać was oboje, zemścić się.

- Ale dlaczego? Przecież nic ci nie zrobiłam. Miałam tylko dziesięć lat, potrzebowałam obojga rodziców.

- Byłam głupia i samolubna. Nadal jestem, ale pracuję nad sobą. Chcę, byśmy znów były rodziną. Pragnę być z tobą na tyle blisko, na ile mi pozwolisz.

- No... nie wiem. - Beth westchnęła ciężko. - Tak wiele się wydarzyło, tak bardzo mnie zraniłaś. Nie wiem...

- Proszę, daj mi jeszcze jedną szansę. Chcę wszystko naprawić. Obiecuję, że spróbuję się zmienić.

- Muszę to przemyśleć, zanim ci odpowiem. Teraz za dużo się wokół mnie dzieje. W hotelu jest dużo gości, niedługo uroczyste otwarcie restauracji. Jest tyle roboty...

- Jeśli mogę ci jakoś pomóc, wystarczy powiedzieć. Mówię poważnie. Nie umiem gotować, ale w młodości dorabiałam jako kelnerka. Mogę też zmywać naczynia albo sprzątać, cokolwiek chcesz.

- Dziękuję za propozycję, kto wie, czy nie będę musiała z niej skorzystać. Im bliżej otwarcia restauracji, tym więcej do zrobienia. I wciąż jakieś problemy.

- Chodzi ci o dzisiejszą awarię wody?

- Między innymi.

- Nie mam zbyt dużo pieniędzy na koncie, bo nigdy nie umiałam oszczędzać. Jeśli potrzebujesz finansowego wsparcia, chętnie ci pomogę.

- Dziękuję - szepnęła Beth bliska łez. - Wystąpiłam o kredyt do banku, właśnie czekam na rozpatrzenie mojego wniosku.

- A co będzie zabezpieczeniem kredytu?

- Pensjonat, nic innego nie mam

- To trochę ryzykowne. Pracowałam w sektorze bankowym i widziałam wiele tragedii. Widziałam, jak ludzie tracą domy i firmy, dorobek całego życia.

- Wiem, mam, ale nie mam wyboru. Zresztą jeśli nie dostanę kredytu, to i tak stracę pensjonat. Na jedno wychodzi. - Nie mogła

uwierzyć, że zwierza się matce, jednak tak długo dusiła wszystko w sobie, że teraz musiała się z kimś podzielić swoimi kłopotami.

- Rozumiem, kochanie. Będę trzymać za ciebie kciuki.

- Kciuki i palce u stóp, bo z panem Pickensem nie ma żartów.

Nie stosuje taryfy ulgowej. Zna mnie od dziecka, ale nie oczekuję, że to mi w czymś pomoże.

- Dziękuję, że mi się zwierzyłaś, Beth. To wiele dla mnie znaczy.

- To pierwszy krok w dobrym kierunku, prawda? Och, mamoo...

Margaret objęła córkę, a Beth poczuła, że jej oczy znów napełniają się łzami.

- Tak. W przeszłości było różnie, ale teraz będę stała przy tobie murem.

- Beth, mam złe wieści.

Lori z przyjemnością obserwowała, jak Beth pochłania owsiane ciasteczka, dopiero przed chwilą wyjęte z piekarnika. Codziennie podawała do popołudniowej herbaty inny rodzaj ciasteczek. Beth otrzepała okruchy ze spodni, przełknęła ostatni kęs ciasta i powiedziała:

- Nie zniosę kolejnych złych wieści. Mort Toomis raczył się wreszcie pokazać. Powiedział, że trzeba wymienić system kanalizacyjny. Jest niedroży. Wyobrażasz sobie, co by się działo, gdyby zaczęły szwankować toalety? - Potrząsnęła głową. - Nawet nie miałam odwagi zapytać, ile to wszystko będzie kosztować.

- I co zrobisz? - spytała Lori.

- A mam jakiś wybór? Toomis wypompował wszystkie ścieki. To powinno na razie pomóc.

- Przykro mi to słyszeć. - Lori z niesmakiem zmarszczyła nos.

- Mam nadzieję, że to już koniec nieszczęść na dzisiaj. - Beth westchnęła.

Dziś rano Lori zamierzała złożyć wymówienie, ale nie mogła teraz zostawić Beth. Szefowa i tak miała dość kłopotów. Kiepsko wyglądała, dosłownie słańiała się na nogach. Zresztą jest jej coś winna, bo to Beth pozwoliła jej rozwinąć skrzydła.

Oby tylko Bill nie dotarł tu przed Świętem Dziękczynienia. Chciała doczekać uroczystego otwarcia restauracji. Dopiero potem zastanowi się, co dalej. Teraz postanowiła zostać.

Niestety miała do przekazania Beth kilka niemiłych informacji, które nie mogły czekać.

- Musimy porozmawiać.

- Przepraszam, zupełnie o tym zapomniałam,

O co chodzi? No już, wykrztuś to wreszcie. Nie bój się, wytrzymam.

- Dzisiaj rano dzwonił jeden z dostawców i powiedział, że zabrakło świeżych indyków, które zamówiliśmy. Musimy zdobyć gdzieś mrożone.

- Boże! A zostało tak mało czasu. Nie zdążymy, wiem, że nie zdążymy.

Lori podsunęła zrozpaczonej Beth kolejne ciasteczko.

- Zjedz. Od razu poczujesz się lepiej.

- Wątpię. Już nigdy w życiu nie poczuję się lepiej. Jak mogłam w ogóle pomyśleć, że będę umiała prowadzić pensjonat? - Włożyła ciasteczko do ust. - Mam pecha, zawsze wszystko szło mi jak po grudzie. Dlaczego tym razem miałyby być inaczej?

- Słuchaj, nie przejmuj się tak. Zamówiłam indyki. Obiecali je przywieźć po południu. Chyba nawet nie powinnam była ci o tym wspominać, ale po prostu wolałam świeże. Mrożone też będą dobre, zobaczysz.

- Obyś miała rację. Wyczerpałam już tygodniowy przydział nieszczęść.

- Czy mi się tylko wydaje, czy też mówisz o czymś więcej niż problemy w pensjonacie? Beth westchnęła, wzięła całą garść ciasteczek, przystawiła krzesło do stołu i usiadła ciężko.

- Hm, jak widać, nie mam twarzy pokerzysty i nie umiem ukrywać uczuć. Nic ci się nie wydaje. Rzeczywiście mam większe problemy niż brak świeżych indyków.

Lori odsunęła blachę z ciasteczkami, wytarła ręce w fartuch i też usiadła.

- Nie mam kryształowej kuli, ale przeczuwam, że doszło do czegoś między tobą i doktorkiem. Powietrze wokół was jest tak gęste, że mogłabym je kroić nożem. Może chcesz o tym pogadać? Jestem dobrym słuchaczem.

- Kocham Brada Donovana i myślę, że on czuje do mnie to samo, jednak jest kilka poważnych powodów, dla których nie możemy być razem.

- Wszystkie problemy można jakoś rozwiązać. Chyba przesadzasz.

- Chciałabym.

- To co, opowiesz mi o tym?

- Przepraszam, nie mogę. Nie teraz. - Beth potrząsnęła głową. - Ale doceniam, że chciałaś mnie wysłuchać. Zresztą to już bez znaczenia, bo wszystko między nami skończone. Brad wróci do swojego życia w Wirginii, a ja przynajmniej zachowam miłe wspomnienia.

- Posłuchaj, Beth, nie byłam z tobą do końca szczerą. Mam z tego powodu okropne wyrzuty sumienia.

- O co chodzi? - zdumiała się Beth.

- Uciekłam z mojej ostatniej posady z Filadelfii. Nie mogłam już dłużej pracować z Billem Thackerym. Musiałam coś sobie udowodnić, stanąć na własnych nogach. Zabrałam jego ulubione noże i przepisy. Odeszłam nagle, bez słowa wyjaśnienia. To było wredne zachowanie, a przy tym bardzo dziecinne, nieprofesjonalne. Zrozumiem, jeśli mnie zwolnisz. Nie będę protestować, po prostu odejdę.

Beth przez chwilę układała sobie w głowie wszystko, co usłyszała. Po chwili powiedziała:

- Zwolnić cię?! Czyś ty oszalała? Rozumiem, dlaczego tak postąpiłaś. Wiem, jak to jest, gdy człowiek musi sobie udowodnić, że jest coś wart. Przez lata żyłam w cieniu męża. Miałabym cię winić za to, że postanowiłaś zrobić karierę na własną rękę? Gdybyś została w Filadelfii, nigdy nie uwierzyłabyś w swój wielki talent.

- Dziękuję, że mnie rozumiesz, bo nie byłam tego pewna.

Postąpiłam okropnie, prawda?

- Cóż, przynajmniej nie kochałaś się na sianie z facetem, którego już nigdy więcej nie zobaczysz.

- O mój Boże! Nie wiedziałam.

- Hm, ja też nie wiedziałam... co robię.

- Mam nadzieję, że między tobą i doktorem Donovanem wszystko się ułoży. Świetna z was para.

- Nawet jeśli się ułoży, nie zapominaj, że on ma córkę. Stacy mnie nie lubi i nie chce, żeby jej tata ponownie się ożenił. A ja z kolei nie wiem, czy chcę ponownie wyjść za mąż. Nie miałabym odwagi jeszcze raz zaryzykować.

- Wiesz co? Z nas też dobrana para. Obie mamy kłopoty z facetami, tajemnice, i przeżywamy większe dramaty niż bohaterki filmów. Dobrze, że ci się zwierzyłam, od razu lżej mi na duszy.

- Mnie też. - Beth uśmiechnęła się. - Jak myślisz, co powinnymy w tej sytuacji zrobić?

- A co my możemy? Najlepiej spokojnie czekać na rozwój wypadków. Bill może tu przyjedzie, a może nie. Nie warto martwić się na zapas. Skupmy się na razie na czekającej nas uroczystości i zapomnijmy o całej reszcie.

Beth napełniła dwie szklanki mlekiem i podała jedną Lori.

- Wznieśmy toast za sukces naszej restauracji. Oby jedzenie było wspaniałe, toalety sprawne...

- ...a demony pogrążone we śnie.

- Amen.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

W całym kraju były setki, może nawet tysiące restauratorów, którzy mogliby się poszczycić tym, że Święto Dziękczynienia przebiegło w ich lokalu bez żadnych zakłóceń. Beth niestety nie zaliczała się do tych szczęśliwców.

Przekląte prawo Murphy'ego, że jeśli coś może pójść źle, to na pewno tak pójdzie, znów potwierdziło swą prawdziwość. Zaczęło się od tego, że nie przywieziono indyków. Na szczęście Brad zaproponował pomoc. Przez cały dzień jeździł po wszystkich okolicznych sklepach, by kupić tyle indyków, ile tylko zdoła.

Margaret też nieźle się spisała. Zastąpiła dwie nowe kelnerki, które tego dnia po prostu nie przyszły do pracy. Ivy i Iris pomagały w kuchni. Przygotowywały ciasta, tłukły ziemniaki, wykonywały skrupulatnie wszystkie polecenia Lori. Nawet Stacy zgłosiła się na ochotnika i zmywała razem z Margaret naczynia.

Beth doszła do wniosku, że mimo wszystko jest wielką szczęściarą. Postanowiła pójść do szopy po drewno do kominka. W ciągu dnia temperatura spadła i zrobiło się dość mroźno. Kierując się zdrowym rozsądkiem, włożyła ciepłą kurtkę, ale właściwie było jej gorąco. Uroczyste otwarcie restauracji okazało się wielkim sukcesem.

Komentarze na temat jedzenia były bardziej niż pochlebne. Wszyscy, łącznie z burmistrzem i jego żoną, chwalili Lori i obiecali wpadać tu regularnie na posiłki. Szeryf Murdock, który pochłoniął trzy duże kawałki placka z dynią, oznajmił, że w życiu nie jadł niczego

lepszego. Niestety jego komentarz nie umknął uwagi czujnej małżonki, która kopnęła go pod stołem tak mocno, że niemal złamała mu goleń.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu Beth czuła się naprawdę szczęśliwa. Planowały później z Lori opić sukces butelką szampana.

W ciągu kilku ostatnich dni bardzo się do siebie zbliżyły. Zwierzały się sobie ze swych marzeń, opowiadały o nadziejach i rozczarowaniach. Zawiązała się między nimi nić prawdziwej przyjaźni.

- Nie powinnaś sama dźwigać drewna, Beth. Pomogę ci.

Brad zagroził jej drogę i wyciągnął ramiona, ale Beth potrząsnęła głową.

- Doktorze Donovan, proszę nie zapominać, że pan jest tutaj gościem, a goście nie przyjeżdżają tu, żeby pracować. Poza tym i tak już dużo zrobiłeś. Uratowałeś mi życie, bo udało ci się kupić indyki. Gdyby nie ty, nie miałybyśmy co podać na kolację. Jeszcze raz dziękuję.

- Chętnie pomogłem. - Uśmiechnął się. - Kiedy dostawca nie przywiózł indyków, byłaś bliska załamania nerwowego.

Postanowiłem wcielić się w bohatera, który ratuje damę z opresji. Poza tym byłem ci coś winien. Twoje ciotki spędzają mnóstwo czasu ze Stacy, pomogły jej w nauce. Uwielbia je.

- Cóż, i tak ci dziękuję. Nie musisz nosić drewna. Hank wraca już w poniedziałek, a to należy do jego obowiązków.

- Dopiero w poniedziałek? Do tego czasu wykrzywisz sobie kręgosłup od dźwigania. Pozwól sobie pomóc.

Nie miała ochoty klócić się o takie głupstwa. Oddała mu drewno. Skoro Brad chce odgrywać macho, proszę bardzo.

- Dziękuję.

- Ty i Lori świetnie się spisałyście. Możecie być z siebie dumne. Dzisiejszy wieczór zakończył się sukcesem. Wszyscy zachwycali się jedzeniem, które mnie też smakowało, a zwłaszcza farszem.

- Nawet nie wiesz, jak miło mi tego słuchać. Chwilami miałam ochotę rzucić wszystko w diabły i uciec.

- Cieszę się, że wytrwałaś. Na początku, kiedy rozkręcasz biznes, jest zawsze dużo problemów. Taka jest kolej rzeczy. Później idzie coraz lepiej, wszystko toczy się gładko.

- Jesteś niepoprawnym optymistą. Szkoda, że to nie jest zaraźliwe.

- Beth, tęsknię za tobą. - Pogładził ją po policzku. - Wiem, że ja też ponoszę winę za rozpad naszego związku. To niewybaczalny błąd, za który chciałem cię przeprosić.

Zmieszana Beth schyliła się, podniosła kilka drew i ruszyła w stronę domu.

- Nie masz mnie za co przepraszać. Nie żałuję ani jednej wspólnie spędzonej minuty.

- To dobrze, bo... chętnie bym to powtórzył.

- Ale to byłoby nierozsądne, prawda? - Za-

- Pewnie tak, ale ja cię naprawdę kocham. Moje uczucia do ciebie wcale się nie zmieniły. Dużo ostatnio myślałem. I wiesz, do jakiego wniosku doszedłem? Wierzę we wszystko, co powiedziałaś mi

o moim ojcu. A co do twoich ciotek... Są ekscentryczne, ale nie byłyby zdolne do morderstwa.

Słowa Brada napęłniły Beth radością i optymizmem. Rzuciła drewno na ziemię, a Brad zrobił to samo.

Wpadli sobie w ramiona, zaczęli się żarliwie całować, byli zachłanni, jakby ten pocałunek miał się już nigdy nie powtórzyć. Gdy wreszcie oderwali się od siebie, z trudem łapali oddech.

- Ja też cię kocham, Brad, ale to niczego nie zmienia. Nadal nie wiadomo, gdzie podziewa się twój ojciec.

- Myliłem się, podejrzewając twoje ciotki. Nigdy nie popełniły żadnego przestępstwa. Dałem posłuch plotkom i oszczerstwom. To nie najlepiej o mnie świadczy.

Zdumiało ją to wyznanie. A zatem przestał ją podejrzewać, chociaż powiedziała mu, co znalazła w piwnicy.

- Dziękuję, Brad. Doceniam to, co powiedziałeś. Szkoda, że nie mogę ci pomóc w sprawie ojca. - Gdy patrzyła na jego znękaną twarz, jej serce rozpadało się na kawałki.

- Najgorzej, że nic z tego nie rozumiem. Ojciec był ostatnio bardzo przygnębiony i nieszczęśliwy. Może powinienem rozważyć te najgorsze możliwości. A jeśli odebrał sobie życie? To by znaczyło również, że w pewnym sensie go zawiodłem.

- Och, Brad, nawet tak nie mów. Ty nie jesteś niczemu winien.

- Musi być jakieś logiczne wytłumaczenie jego zniknięcia. Może miał wypadek, może popełnił samobójstwo albo ktoś go zabił. Nie wiem, czy kiedykolwiek się dowiem, co się z nim stało. Trudno mi się z tym pogodzić.

- Nie wolno ci tracić nadziei. Musisz wierzyć, że on żyje i do was wróci.

- Często powtarzam Stacy, by przestała rozpaczać nad śmiercią mamy. Powinna pogodzić się z faktami i żyć dalej. Teraz pora, bym to ja zastosował się do tej rady. Na chwilę stanąłem w miejscu, lecz już pora pomyśleć o przyszłości.

- A o czym konkretnie mówisz? - spytała, choć już wiedziała, o co chodzi.

- Chcę spędzić z tobą resztę życia.

- Och, Brad, to się chyba nie uda. Pochodzimy z różnych środowisk i jesteśmy zupełnie inni. Jesteś lekarzem i cieszysz się powszechnym szacunkiem. Ja nie nadaję się do takiego życia, nie pasuję do twojego świata. A nawet gdyby... nie wiem, czy tego teraz chcę.

Wątpliwe, czy kiedykolwiek będzie to wiedziała. Małżeństwo z Gregiem nauczyło ją ostrożności. Chyba nie umiałyby poświęcić się dla żadnego mężczyzny, żyć w jego cieniu.

Miałyby się wyrzec swojej osobowości, o którą tak ciężko walczyła? Nie, wołała być niezależna, liczyć tylko na siebie. No i była jeszcze Stacy. Beth nie widziała się w roli matki. Nie umiałyby się dogadać z nastolatką.

- Ale przecież powiedziałaś, że mnie kochasz. Nie rozumiem. - Spojrzał na nią zdumiony.

- Tak, Kocham cię, ale nie jestem pewna... to znaczy... to stało się tak nagle... i ja...

- Zaskoczyłem cię? - spytał z nadzieją.

- Powiedzmy. Niedawno oskarżyłeś mnie o kilka paskudnych rzeczy, a zaraz potem mnie całujesz i wyznajesz mi miłość. Nie wiem, co o tym myśleć. - I nie wiem, jak długo wytrwasz w tym uczuciu, dodała w myślach.

A mówią, że to kobiety są zmienne. Dobre sobie...

- Tak, Beth, ale ja dopiero teraz zrozumiałem, czego naprawdę pragnę. Musiałem, po prostu musiałem natychmiast ci o tym powiedzieć.

- Cieszę się, że to zrobiłeś. - Uśmiechnęła się łagodnie. - Mam teraz o czym myśleć.

- Nie chcę na ciebie naciskać.

- Doceniam to - odparła zgodnie z prawdą. Rzeczywiście, miała sporo kłopotów. Matka, kredyt bankowy, kości, ciotki, być może zamieszane w jakieś nieczyste sprawy...

- Lepiej wejdźmy do środka, bo zamarzniemy na śmierć. Zresztą mama zaraz zacznie mnie szukać.

- Trochę lepiej się dogadujecie, prawda?

- Tak. Dużo rozmawialiśmy, to i owo sobie wyjaśniliśmy.

Wreszcie dowiedziałam się, kim naprawdę jest Margaret Shaw, a ona dowiedziała się, kim naprawdę jestem ja. Nigdy nie rozmawialiśmy jak matka z córką, jak kobieta z kobietą. Zawsze traktowała mnie jak dziecko.

- A ja mogę zaświadczyć, że jesteś bardzo, bardzo kobieca. - Uśmiechnął się zmysłowo.

- Jak zawsze podbudowałeś moje ego.

- A ty moje. Nigdy o tym nie zapominaj.

- Miałeś mnie nie naciskać, pamiętasz?

- Nie naciskam. Chcę tylko, byś poznała sławetny czar

Donovanów. Siega starych czasów i kolebki naszego rodu, Irlandii. Jeden z moich przodków, Michael Donovan, był podobno słynnym kobieciarzem.

Zaśmiała się, rozbawiona jego irlandzkim akcentem.

- W porządku, ostrzegłeś mnie.

- No to uważaj, bo nie zamierzam tak łatwo się poddać.

Nie chciała, żeby się poddawał, ale równocześnie była tak przestraszona, że najchętniej wzięłaby nogi za pas.

W poniedziałek rano Aubrey, ubrany w grafitowy trzyczęściowy garnitur od Armaniego stanął na progu „Pensjonatu u Sióstr”. Niecierpliwym gestem nacisnął dzwonek. Nie wziął płaszcza, nienawidził ich, i teraz było mu potwornie zimno.

Kilka chwil później drzwi otworzyła mu atrakcyjna kasztanowłosa kobieta. Była ubrana w dżinsy i sweter. Wyglądała tak młodo, że chyba nie mogła być właścicielką pensjonatu.

- Słucham - spytała, uśmiechając się wyćwiczonym uśmiechem, który na pewno nie był szczery. Żaden normalny człowiek nie tryska szczęściem w poniedziałek rano.

- Nazywam się John Connor.

- Och, jak ten z „Terminatora”?

- Słucham?

Potrząsnęła głową, zaczerwieniła się.

- To jeden z bohaterów filmu, w którym grał Arnold Schwarzenegger - wyjaśniła. - Wszystko kojarzy mi się z filmami.

Aubrey często przedstawiał się fałszywym nazwiskiem, zwłaszcza gdy miał ku temu powody. Nie wiedział, o czym mówi ta dziewczyna, rzadko oglądał filmy. Uważał to za stratę czasu. Nigdy też nie widział żadnej roli aktualnego gubernatora Kalifornii.

- Chciałbym zobaczyć się z Elizabeth Randall. Czy to możliwe?

- Tak, to ja - odparła ku jego niebotycznemu zdumieniu. -

Byliśmy umówieni? Jeżeli tak, to wyleciało mi to z głowy i bardzo pana przepraszam.

- Nie, pani Randall, nie byliśmy umówieni, jednak bardzo proszę, by poświęciła mi pani kilka minut. Zajmuję się handlem nieruchomościami i zamierzam kupić kilka posiadłości w okolicy. Również ten dom. Jestem gotów zaoferować pani bardzo korzystną...

- Nie jestem zainteresowana. Nie zamierzam sprzedać pensjonatu. Proszę sobie oszczędzić dalszej przemowy.

- Młoda damo, nie powinna pani tak szybko odrzucać mojej oferty. Najpierw chciałbym przedstawić pani moje plany co do tego budynku. Zamierzam wybudować na tym terenie luksusowe osiedle. - Zachnęła się, ale mówił dalej, jakby nie zauważył jej reakcji. - Ten teren ma duży potencjał. - O ile zrówna z ziemią tę starą ruinę. Oczywiście nie zamierzał o tym wspominać.

- Nie obchodzi mnie, co pan zamierza wybudować. Pensjonat nie jest na sprzedaż. Nieważne, jaką cenę mi pan zaproponuje ani jakie powody poda.

- Nie uznaję odmowy, pani Randall. Jestem człowiekiem sukcesu. Zawsze dostaję to, czego chcę. A teraz chcę kupić tę posiadłość.

- Nie wiem, jak to panu grzecznie powiedzieć, panie Connor. Odnoszę wrażenie, że pan mnie nie zrozumiał. Nie zamierzam sprzedawać tego domu. Ten dom należy do mojej rodziny od wielu pokoleń. Włożyłam w jego remont wiele pracy i serca. Nie wszystko można kupić, a niektóre rzeczy są ważniejsze niż pieniądze. A teraz proszę wybaczyć, ale muszę zająć się gośćmi. Chyba pan rozumie.

Aubrey zacisnął wargi. Nienawidził robić interesów z kobietami. Podejmowały decyzje pod wpływem emocji, a to najgłupsze, co można zrobić.

- Nie wysłuchała pani mojej oferty, pani Randall. Kobiecie w pani sytuacji zapewne przydadzą się cztery miliony dolarów. Prowadząc ten pensjonat, zarabia pani zapewne o wiele mniej. Dzięki tym pieniądzom zapewni pani dostatni byt sobie i rodzinie. Czeka panią łatwe i przyjemne życie, bez żadnych trosk.

Beth na chwilę zamarła z otwartymi ustami.

- Cztery miliony dolarów? Dlaczego, na Boga, proponuje mi pan taką niebotyczną kwotę? Ta posiadłość z całą pewnością nie jest tyle warta. Zatem powstaje pytanie, dlaczego chce pan mi aż tyle zapłacić.

- Ponieważ mogę sobie na to pozwolić, pani Randall. I ponieważ w odróżnieniu od innych jestem wizjonerem. Odrobiłem moje lekcje. Ten region będzie się rozwijał. Zainwestuje w Mediocrity, ściągnę tu turystów.

- To bardzo hojna propozycja, ale nadal nie jestem zainteresowana. Tak jak powiedziałam, pieniądze to nie wszystko.

Czy ta kobieta postradła zmysły? W życiu liczą się tylko pieniądze. Dzięki nim zdobywasz władzę, a dzięki władzy wpływy. A potem możesz już robić, na co przyjdzie ci ochota.

- Chodzą słuchy, że ma pani kłopoty finansowe, przez co w pensjonacie doszło do groźnej awarii. Tego typu problemy wpłyną niekorzystnie na stan pani interesów. Przyjedzie mniej gości, a pani mniej zarobi. Kilka słów wystarczy, by pani odniosła sukces lub poniosła klęskę. Czy pani jest tego świadoma?

- Awaria została już usunięta. Pensjonat jest w bardzo dobrym stanie, a moja sytuacja finansowa nie powinna pana obchodzić.

Był pewien, że ta kobieta kłamie, ale postanowił milczeć, przynajmniej na razie. Uwielbiał robić niespodzianki.

- Teraz już się pożegnam, pani Randall, ale jeszcze tu wrócę. Zawsze dostaję to, czego chcę. Nieważne, co będę musiał zrobić, by stać się właścicielem tej posiadłości. Dopnę swego.

- Czy to groźba? - Beth zmrużyła oczy.

- Skądże, tylko przedsmak tego, w jaki sposób załatwiam interesy. Nie odniósłbym sukcesu, gdybym nie umiał pokonywać przeszkód.

- Jak mawiają moje ciotki, panie Connor, szczeka pan pod niewłaściwym drzewem.

- A ja zwykłem mówić, pani Randall, że kota można obdrzeć ze skóry na wiele sposobów.

- Nawet sobie nie wyobrażacie, jaki był bezczelny. Był w moim domu, ale próbował mnie zastraszyć. Niewiarygodne! Na pewno nigdy mu nie sprzedam pensjonatu.

Ivy i Iris wymieniły zmartwione spojrzenia, a potem Ivy zapytała:

- Dlaczego tak upiera się przy kupnie tego starego domu? To trochę dziwne.

- A jak się nazywa? - chciała wiedzieć matka. - Miał paskudny chrapliwy głos.

Beth nadal była roztrzęsiona. Gdy tylko wyprosiła aroganckiego inwestora z domu i zatrzasnęła za nim drzwi, od razu pobiegła na górę, by opowiedzieć o wszystkim ciotkom i matce.

- Przedstawił się jako John Connor. Chce tutaj zbudować luksusowe osiedle. Tutaj, na mojej ziemi. Kiedy odrzuciłam jego ofertę, uśmiechnął się paskudnie, jakbym nie miała w tej sprawie nic do gadania i zaczął bredzić o rozwoju Mediocrity. To było okropne. Dostałam gęziej skórki. - Energicznie roztała ramiona.

- Kochanie, może powinniśmy zadzwonić do szeryfa? - zaproponowała Iris. - Niech pogada z tym mężczyzną. - Powie mu, żeby zostawił cię w spokoju.

- Szeryf Murdock nic nie zrobi, bo ten mężczyzna zaproponował mi cztery miliony dolarów o co miałabym go oskarżać? - Beth potrząsnęła głową.

- Cztery miliony? - krzyknęła Margaret. - Na pewno nie chcesz rozważyć jego oferty? To bardzo dużo pieniędzy.

- To prawda, mam. - Beth zaczerpnęła powietrza. - Ten pensjonat jest dla mnie wart wszystkie pieniądze świata.

Powiedziałam temu facetowi, że nie jestem zainteresowana i kazałam

się stąd wynosić. - Rzeczywiście tak było, ale John Connor zupełnie nie rozumiał jej decyzji.

- Posłuchaj, Beth. Może twoja mama ma rację? - Ivy zerknęła na siostrę, która dodała jej otuchy skinieniem głowy. - Jeśli mądrze zainwestujesz te pieniądze, już nigdy nie będziesz musiała pracować, a ty przecież pracujesz ponad siły. Będziesz mogła jeździć na wycieczki, zwiedzać świat, kupować to, na co przyjdzie ci ochota. Zrealizujesz swoje marzenia.

- Ciociu Ivy, nie wierzę, że to mówisz. Rozumiem punkt widzenia mamy, ale to wasz dom, twój i cioci Iris. Tutaj się wychowałyście. Wiem, jak bardzo kochacie to miejsce.

- Beth, to tylko dom. Kochamy go, oczywiście, i cieszymy się, że ty też go pokochałaś. Rozważ jeszcze raz ofertę pana Connora.

Beth zerwała się z kanapy i zaczęła krążyć nerwowo po pokoju.

- Nie wierzę własnym uszom! - krzyknęła wzburzona.

- Beth, spójrz na to wszystko spokojnie - poprosiła Ivy. - Iris i ja jesteśmy już bardzo stare. Chyba powinnyśmy się przenieść do jakiegoś zakładu opiekuńczego, zamiast rujnować ci życie.

- Po pierwsze, szybko wyrzuciliby was z każdego domu starców. Po drugie, wcale nie rujnujecie mi życia. Cieszę się, że z wami mieszkam. Gdyby nie wy, nie pozbierałabym się po rozwodzie. Dzięki wam mogłam wszystko rozpocząć od nowa. Przekonałam się, że mogę być kimś więcej niż żoną i gospodynią domową.

- Dlaczego zakładasz, że nigdy nie założysz rodziny i nigdy nie będziesz mieć dzieci? - zdenerwowała się Margaret. - Sparzyłaś się na

Gregu, ale nie wszyscy mężczyźni są tacy podli. Spójrz na doktora Donovana. Byłby świetnym mężem i ojcem. To oczywiste.

Beth z trudem stłumiła cisnące się jej na język przekleństwo.

- Mamo, obiecałaś nie rozmawiać ze mną na ten temat.

- Wiem, kochanie, ale ostatnio spędziłam trochę czasu ze Stacy.

Myślę, że ona cię naprawdę lubi. Sama mi to powiedziała.

- Owszem, trochę lepiej się dogadujemy, ale to jeszcze nic nie znaczy. Ona nie chce, by jej ojciec ponownie się ożenił, a ja z kolei nie dojrzałam jeszcze do kolejnego małżeństwa. To samo powiedziałam Bradowi i... - Zakryła dłonią usta, ale było już za późno.

- Czy doktor Donovan poprosił cię o rękę? - spytała Iris.

- To za dużo powiedziane. - Beth potrząsnęła głową. - Po prostu wspomniał, że świetnie do siebie pasujemy. Uważam temat za wyczerpany. Przyszłam tu, by opowiedzieć wam o tym okropnym Connorze, a wy wolicie rozmawiać o Bradzie, małżeństwie i innych rzeczach, które wyprowadzają mnie z równowagi.

- Beth, my tylko chcemy twojego dobra - szepnęła Ivy. - Liczyliśmy się z tym, że pewnego dnia spotkasz odpowiedniego mężczyznę i wyjdiesz za niego za mąż. Byłybyśmy wtedy szczęśliwe. Nie możesz zrezygnować z szansy na ułożenie sobie życia tylko dlatego, że się martwisz o nasz los.

- Beth nie musi się o nic martwić, ciociu. Ja się wami zajmę. Zamierzam przeprowadzić się do Mediocrity.

Iris i Ivy wymieniły zdumione spojrzenia. Może i nie widziały Margaret w roli opiekunki, ale postanowiły wykorzystać jej słowa dla własnych celów.

- No widzisz? - odezwała się Ivy. - Twoja mama się nami zajmie. Sprzedaj ten stary dom i wyjdź za mąż za doktora Donovana. Urodzisz mu dużo dzieci. Będziecie bardzo szczęśliwi.

Dlaczego nikt mnie nie słucha? - pomyślała zdesperowana Beth. Dla tych kobiet wszystko było białe lub czarne, kwestionowały istnienie szarości.

- Ja doradziłabym ci to samo - powiedziała Iris, uśmiechając się promiennie. - Byłabyś wspaniałą żoną i matką. Jesteś taka miła i troskliwa. Wyrosłaś na wspaniałą kobietę. Jesteśmy z ciebie dumne.

Margaret uklękła przy córce i ujęła jej rękę. Beth spodziewała się kazania, tymczasem usłyszała słowa, które ją oszołomiły:

- Beth, tym razem nie będę ci mówić, co masz robić. Jesteś dorosłą i inteligentną kobietą. Sama podejmujesz decyzje. Chciałabym, żebyś wyszła za mąż i miała dzieci, bo marzę o wnukach. Nieważne, jaką decyzję podejmiesz, zawsze będę cię wspierać. Jeśli nie chcesz sprzedawać pensjonatu, nie sprzedawaj.

- Dziękuję - szepnęła Beth i z trudem powstrzymała łzy. - Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy.

- Chyba wiem. - Margaret uśmiechnęła się smutno. - Trochę to trwało, nim poszłam po rozum do głowy, ale uczę się na błędach.

- Najwyższy czas - powiedziała Ivy.

- Kochanie, na pewno nie chcesz sprzedać pensjonatu?

- Na pewno, ciociu Iris. Ciężko pracowałam na sukces i nie pozwolę, by jakiś arogancki i nadziany głupek wyrzucił mnie z mojego domu.

- W takim razie Iris i ja też będziemy cię wspierać. Najważniejsze, żebyś była szczęśliwa. Jeśli postanowiłaś zatrzymać ten dom, w porządku, niech tak będzie. Tylko nie chciałybyśmy być dla ciebie ciężarem.

- Nigdy nie byłyście dla mnie ciężarem. Kocham was i cieszę się, że jesteście moją rodziną. A teraz, kiedy dołączyła do nas mama, jest... jeszcze lepiej.

Margaret zaczęła szlochać.

- Nie zasłużyłam na tyle szczęścia - szepnęła i wytarła oczy chusteczką.

- Uspokój się - napomniała ją Iris. - Tu nie chodzi o ciebie.

- Tu chodzi o nas wszystkie - poprawiła ją Beth. - To jest nasz dom i nikt nas stąd nie wyrzuci.

No, może z wyjątkiem dłużników, dodała w duchu. Ale na razie jeszcze nie tonę.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Wszyscy goście z wyjątkiem Brada i Stacy wyjechali rano. Beth wreszcie mogła trochę odpocząć, a bardzo tego potrzebowała. Siedziała na werandzie i czytała książkę. Co prawda dzień był słoneczny, ale powietrze bardzo chłodne. Po chwili na werandzie pojawiła się Stacy. Usiadła obok Beth i uśmiechnęła się.

- Cześć, jesteś zajęta?

- Właściwie nie. - Odłożyła książkę. - Próbuję nadrobić zaległości w lekturach. Myślałam, że wybieracie się z tatą do miasta po prezenty gwiazdkowe. Dlaczego jeszcze nie pojechaliście?

- Pojedziemy, ale tata musi najpierw zadzwonić w kilka miejsc.

- Rozumiem. Co chcesz kupić?

- Jakiś ładny prezent dla twoich ciotek i mamy.

- Och, Stacy, to bardzo miło z twojej strony, ale naprawdę nie musisz. - Beth była coraz bardziej zdumiona. - Lepiej kup sobie za te pieniądze coś ładnego.

- Naprawdę lubię twoje ciotki. Są dla mnie bardzo mile. Ciocia Ivy pozwoliła mi kupić kilka rzeczy na e-Bayu, a ciocia Iris uczyła mnie historii. Opowiadała mi bardzo fajne rzeczy. Może ja też zostanę nauczycielką historii. Kiedyś chciałam być piosenkarką, taką jak Jessica Simpson, ale ciocia Ivy twierdzi, że ona wygląda jak kobieta lekkich obyczajów. Według mnie ma rację.

Ciotka mogła właśnie tak powiedzieć, pomyślała Beth. Ivy rzadko przebierała w słowach, zwłaszcza gdy chodziło o dzisiejszą młodzież.

- Wspaniale, Stacy. Świat potrzebuje nauczycieli. Muzyka jest piękna, ale tylko dzięki wiedzy możemy zmienić naszą rzeczywistość.

- Margaret mówi to samo. Ona też jest bardzo miła. Na początku trochę mnie denerwowała, bo dużo mówi i zadaje wiele pytań, ale przekonałam się do niej. Jest bardzo zabawna.

- Mówisz o mojej mamie? - Beth nigdy nie nazwałaby jej zabawną.

Stacy skinęła głową.

- Nauczyła mnie robić francuski manikiur, a kiedy nie ma taty, pożycza mi cienie do oczu.

- Naprawdę? - Matka toczyła z nią wieczne boje o makijaż i zbyt krótkie spódnice, dlatego Beth trzymała je w szkolnej szafce i zawsze pamiętała, by przebrać się przed powrotem do domu. Cóż, jak widać, ludzie się zmieniają. - To miło, że się dogadujecie.

- Twoja mama powiedziała mi, że kiedyś bez przerwy się kłóciłyście. Teraz podobno lepiej wam się układa. I wiesz co? Powiedziała też, że nie była dobrą matką. Czy to prawda?

- Kiedy byłam nastolatką, moja matka miała dużo spraw na głowie. Wyszła za mąż bardzo wcześnie, za mało wiedziała o życiu. Potem rodzice się rozwiedli i było jeszcze gorzej. Bez przerwy mnie kontrolowała, była nadopiekuńcza. Mama nie jest ideałem, ale ideałów nie ma. Teraz rzeczywiście nieźle się dogadujemy.

Powiedziałyśmy sobie szczerze, co nam leży na sercu.

- Ja też dużo rozmawiałam z Margaret o śmierci mojej mamy i przyszłości mojego taty. Margaret uważa, że on znów powinien się ożenić. Kiedy wyjadę do college'u, będzie bardzo samotny. Jak myślisz, czy to prawda?

Aha! Wszystko jasne. Już wiadomo, dlaczego Margaret tak bardzo zaprzyjaźniła się ze Stacy. Jej motywy były łatwe do przejrzania.

- Nie pozwól, by moja matka wywierała na ciebie zbyt duży wpływ. Jest bardzo uparta i lubi wtrącać się w nie swoje sprawy. - Na przykład w moje życie.

- Tak, powiedziała mi o tym, ale według mnie w niektórych sprawach ma rację. Byłam egoistką, bo chciałam mieć tatę tylko dla siebie. Wiem, że on cię bardzo lubi, a ja już nie czuję do ciebie nienawiści. Właściwie to według mnie jesteś w porządku.

- Dziękuję... dziękuję - wyjąkała zaszokowana Beth.

- Zauważyłam, jak ciężko tu pracujesz. Wiele rzeczy robisz zupełnie sama. Dekorujesz dom, układasz śliczne bukiety. To dzięki tobie ten pensjonat jest taki piękny.

- Miło mi to słyszeć - odparła Beth uradowana komplementem. - Myślałam, że nienawidzisz tego miejsca.

- Na początku tak było, bo bardzo tęskniłam za przyjaciółmi i domem. Teraz mam nowych przyjaciół, no i pokochałam Bustera. Mam nadzieję, że tata kupi mi na Gwiazdkę psa.

- Możesz odwiedzać Bustera, kiedy tylko przyjdzie ci ochota - powiedziała Beth. - On też cię lubi.

- Dzięki. Iris i Ivy też mnie zaprosiły. Mogłabym przyjechać autobusem, a Ivy obiecała, że będziemy do siebie pisać mejle.

- Tak, możesz przyjechać autobusem, ale najpierw musisz poprosić tatę o pozwolenie.

- Mój tata pokochał to miejsce. Gdyby nie miał praktyki w Charlottesville, natychmiast by tu się przeprowadził. Sam mi to powiedział. Jak myślisz, a czy ty mogłabyś mieszkać w Wirginii? Mogłabyś zabrać z sobą ciotki. Byłoby fajnie. Pokazałabym wam okolicę, przedstawiłabym przyjaciółkom, może nawet poszłybyśmy razem do jakiegoś centrum handlowego. Niektóre z nich są naprawdę super.

Zaszokowana jej entuzjazmem Beth na chwilę zaniemówiła, a potem powiedziała:

- Wiesz, Stacy, to chyba niemożliwe. Moje ciotki są już bardzo stare, a ludzie w tym wieku nie lubią zmieniać miejsca zamieszkania. No i tutaj mam pensjonat, a tam musiałabym zaczynać wszystko od nowa.

- Tak właśnie myślałam, ale wolałam się zapytać. - Dziewczynka westchnęła, nie kryjąc rozczarowania. - Ciocia Ivy mówi, że trzeba wstrzymać się z pytaniami, dopóki nie nabierzesz pewności, że otrzymasz odpowiedź, o jaką ci chodzi.

Na szczęście Beth nie musiała komentować tych słów, bo na werandzie pojawił się Brad.

- O czym tak plotkujecie? - zapytał.

- O niczym - odparła Stacy. - Tato, jesteś gotowy? Możemy jechać?

Spojrzał na Beth i uśmiechnął się tak seksownie, że zrobiło się jej gorąco.

- A może wybierzesz się z nami? Już drugi raz jedziemy wybierać prezenty gwiazdkowe, bo Stacy nie może się na nic zdecydować. Pewnie chodzi tylko o to, żeby zobaczyć absolutnie wszystkie sklepy, które są w Mediocrity.

- Och, tato, nieprawda.

- Dziękuję za zaproszenie, ale nie skorzystam. Jedźcie sami i bawcie się dobrze. Chcę nacieszyć się ciszą i spokojem, bo ostatnio sporo się tu działo.

Przed pensjonat podjechał zniszczony samochód. W środku siedziało dwoje starszych ludzi.

- Kto to może być? Nie spodziewałam się dzisiaj żadnych gości, chyba że o czymś zapomniałam. - Co jest całkiem możliwe, dodała w duchu, biorąc pod uwagę stan moich nerwów.

Brad i Stacy spojrzeli na nowo przybyłych i zastygli z otwartymi ustami, a potem Brad pomachał do starszego pana w wełnianych granatowych spodniach i grubym czerwono-białym swe-

- Tata?! Tato, czy to naprawdę ty?

Stacy zapiszczała głośno z radości i zbiegła ze schodów.

- Dziadku! Wróciłeś! Rany, w co ty jesteś ubrany? Wyglądasz... hm... dość paskudnie.

Starszy pan uśmiechnął się, a wtedy Beth rozpoznała w nim Roberta Donovana. A zatem ojciec marnotrawny powrócił, i w dodatku nie sam.

Kiedy starsi państwo dotarli na werandę, Brad zapytał nieprzyjemnym tonem:

- Tato, gdzie ty się, do diabła, podziewałeś? Czy wiesz, jak się o ciebie martwiłem? Myślałem, że nie żyjesz. Dlaczego do mnie nawet nie zadzwoniłeś?

- Uważaj, co mówisz, synu. Nie wygaduj takich głupot przy kobietach. - Robert Donovan uśmiechnął się do Beth, a potem przyciągnął do siebie stojącą obok niego kobietę.

Brad uśmiechnął się do niej przepaszająco i wyjaśnił:

- Bardzo panią przepraszam, ale ojciec musi mi co nieco wyjaśnić.

- To jest Opal Cosgrove - przedstawił ją Robert dumnie.

- Opal Cosgrove Donovan - poprawiła go. Mrugnęła wesoło, widząc zakłopotaną minę męża. - Czyżbyś już zapomniał, że wzięliśmy ślub?

- Nigdy w życiu, kochanie. - Pocałował ją w policzek.

Brad dopiero po chwili otrząsnął się ze zdumienia. Świadomość, że Beth jest równie zdumiona, podtrzymała go na duchu.

- Ożeniłeś się? Kiedy, jak? Nic nie rozumiem.

- Synu, wszystko ci wyjaśnię, ale najpierw ja i Opal chcielibyśmy wejść do środka i trochę się ogrzać, o ile pani Randall nie ma nic przeciwko temu. - Spojrzał na Beth. - Wiem, że pani się nas nie spodziewała, ale może jest jakiś wolny pokój?

- Proszę mi mówić po imieniu. Mam wolne pokoje. Chodźmy do środka, bo robi się coraz zimniej. Wszyscy martwili się o pana, panie Donovan, szczególnie Brad i Stacy. Powoli zaczynaliśmy tracić

nadzieję, że jeszcze kiedykolwiek pana zobaczymy. — Zwróciła się do Opal. - Witam, pani Donovan. Miło nas państwo zaskoczyliście. - Ciekawe, czy Brad jest tego samego zdania, pomyślała natychmiast.

Stacy zerknęła nieśmiało na siwowłosa panią, aż wreszcie powiedziała:

- Czy pani jest moją nową babcią?

Opal Donovan objęła ją i uśmiechnęła się ciepło.

- Cóż, chyba tak. Miło mi, że mogę cię wreszcie poznać, Stacy. Twój dziadek dużo mi opowiadał o tobie i twoim tacie. - Wyciągnęła rękę do Brada. - Ciebie też miło poznać, Brad. Mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi.

Brad odruchowo skinął głową. Zastanawiał się, jak ojciec wytłumaczy swoje dziwaczne zachowanie. Krótkotrwała amnezja to stanowczo za mało. On i Stacy prawie umarli ze strachu.

W dodatku Brad wmawiał Beth, że miała coś wspólnego ze zniknięciem Roberta Donovana. Oskarżył kobietę, którą kochał ponad wszystko.

A tu proszę, Robert Donovan, cały i zdrowy, pojawił się jakby nigdy nic. Tak, to przez niego Brad wyszedł na głupka. Pora porozmawiać z kochanym tatusiem.

Po kawie, pączkach i miłej pogawędce Beth odprowadziła Opal Donovan do apartamentu dla nowożeńców. Brad i Robert pozostali w saloniku, by odbyć poważną rozmowę. Stacy natychmiast wyczuła, co się święci, dlatego wolała pójść z Busterem na spacer.

- Nie wierzę, że to zrobiłeś. Ożeniłeś się i nawet mnie o tym nie zawiadomiłeś, tato. - Brad mówił coraz głośniej i coraz szybciej

krażył po pokoju. - Przez sześć tygodni umieraliśmy ze strachu, a ty po prostu pojechałeś z Opal w podróż poślubną i używałeś życia.

Robert spojrział przeprasząco, westchnął głęboko, a potem poklepał się nerwowo po kolanach.

- To niezupełnie tak, synu. Przykro mi, bo wiem, że się o mnie martwiłeś. Nie oceniaj mnie tak surowo, zanim nie wysłuchasz, co mam ci do powiedzenia.

- Miałem powody do zmartwienia. Do diabła, myślałem, że nie żyjesz!

- Rozwazałem tę ewentualność, synu. - Brad już otwierał usta, by zadać kolejne pytanie, ale

Robert nie pozwolił mu dojść do słowa. - Tuż przed wyjazdem z Charlottesville wykryto u mnie raka prostaty.

- Co takiego? O mój Boże, dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

- Nie chciałem was martwić, nie po tym, co przeszliście, gdy umierała Carol. Dość się wycierpiałeś, a wiem, jak wszyscy reagują na słowo rak.

- A więc po prostu zniknąłeś bez słowa wyjaśnienia. To według ciebie nie jest powód do zmartwienia? - Brad potrząsnął głową. - Jak mogłeś być taki nieodpowiedzialny? To zupełnie nie w twoim stylu.

- Przecież przysłałem ci kartkę. Nie dostałeś jej?

- Dostałem, oczywiście. - Brad niecierpliwym gestem przeczesał włosy. - Inaczej by mnie tu nie było. Ani razu nie zadzwoniłeś.

Sprawdzałem nagrania na sekretarce automatycznej i w domu, i w pracy. Cały czas mam przy sobie komórkę.

- Nie mogłem się zdobyć na telefon, ale wysłałem do ciebie mejla. Napisałem, gdzie jestem, i że wszystko ze mną w porządku. Szkoda, że nie sprawdziłeś poczty.

- Sprawdziłem, ale nic tam nie było.

- Do diabła, może wpisałem zły adres. Nie mam pamięci do takich rzeczy. Naprawdę nie chciałem, byście się o mnie martwili. Zamierzałem to rozegrać tak, żeby było wam łatwiej. Cóż, nie wyszło. Przepraszam, synu.

- Gdzie byłeś przez ten cały czas? Nikt nic nie wiedział, zupełnie jakbyś zapadł się pod ziemię.

- W szpitalu w Pittsburgu. Podałem się leczeniu. Właśnie tam poznałem Opal. Ona wygrała walkę z rakiem i pracowała w szpitalu jako wolontariuszka. To była miłość od pierwszego wejrzenia. Myślałem, że kocha się tylko raz, ale to nieprawda.

Brad usiadł obok ojca i próbując nie okazywać strachu, zapytał:

- Tata, jakie są rokowania?

- Bardzo dobre. Mój lekarz, doktor Edwards, powiedział, że to wczesne stadium raka. Był zadowolony z wyników leczenia.

Oczywiście co pół roku muszę chodzić na kontrolę. No wiesz, lepiej dmuchać na zimne.

- Dzięki Bogu, że prawidłowo cię zdiagnozowano i że tak szybko poddałeś się leczeniu. - Szkoda, że Carol nie miała tyle szczęścia.

- Bałem się, że po operacji będę impotentem. To jeden z powodów, dla których nie chciałem z tobą o tym rozmawiać.

Wstydzilem się, chociaż jesteś lekarzem. No, ale teraz wszystko jest w porządku. - Uśmiechnął się z dumą i ulgą.

- Opal wydaje się bardzo miła. Pasujecie do siebie.

- Jest wspaniała. Uwielbiałem twoją matkę i nie sądziłem, że jeszcze kiedykolwiek się zakocham. Miałem ciebie i Stacy, ale dokuczała mi samotność. Brakowało mi kobiecego towarzystwa i chciałem być znów niezależny.

- Powinieneś ze mną o tym porozmawiać, zwierzyć mi się. Nie miałeś do mnie zaufania? Kiepsko się z tym czuję.

- Zaufanie nie ma tu nic do rzeczy. Nie chciałem, byś musiał opiekować się kolejną bliską osobą chorą na raka. Miałbym narażać Stacy na kolejne cierpienia? Jej potrzebny jest spokój, a nie następna tragedia.

- Wiem, mimo wszystko...

- Potrzebowałem czasu, by poukładać sobie wszystko w głowie. Ta podróż okazała się zbawienna, i to z wielu powodów, a Opal to dodatkowa nagroda, której się nie spodziewałem. Czasami z czegoś straszego i przerażającego rodzi się piękno. Wybacz mi, synu, nie chciałem was zranić.

- Wybaczam, mam tylko nadzieję, że teraz Beth wybaczy mnie.

- Beth? - Robert zmarszczył brwi. - Ach, masz na myśli panią Randall. A więc tak się sprawy mają. Miło mi to słyszeć. To bardzo atrakcyjna i pracowita kobieta. Polubiłem też jej ciotki, są urocze.

- A skoro już mowa o ciotkach Beth, czy powiedziałaś im, dokąd się wybierasz?

Robert skinął głową i uśmiechnął się przepaszająco.

- Otóż pewnego wieczoru, kiedy graliśmy w karty, coś mi się wysnęło. Bardzo się zmartwiły, a kiedy wszystko im wyjaśniłem, zgodziły się zachować całą rzecz w sekrecie. Jak widzę, dotrzymały słowa i jestem im za to bardzo wdzięczny.

- Ani mnie, ani szeryfowi nie udało się z nich nic wyciągnąć.

- Zawiadomiłeś szeryfa? Naprawdę musiałeś się o mnie martwić.

Brad opowiedział mu historię zniknięcia Lyle'a McMurtry'ego.

Wyjaśnił, że właśnie z tego powodu podejrzewał starsze panie.

- Myślałeś, że Ivy i Iris coś mi zrobiły? - Ojciec zachichotał. - Te dwie słodkie, urocze damy? A to dobre! Opal się uśmieje, kiedy jej wszystko opowiem.

- Byłem zrozpaczony, a one zachowywały się trochę dziwnie. Przestań się śmiać, tato, to wcale nie jest śmieszne.

- To co, wolałbyś, żebym się nie odnalazł?

- Cieszę się, że wróciłeś, i że znów się zakochałeś. Na pewno będziesz z Opal bardzo szczęśliwy.

- Dziękuję ci, synu. Obyś ty był szczęśliwy z Beth.

- Hm, nasze relacje są dość skomplikowane. - Chociaż miał nadzieję, że nie aż tak bardzo, jak sądziła Beth.

- Poradzisz sobie, chłopcze. - Robert poklepał syna po plecach. - Już czas, żebyś znowu pomyślał o przyszłości. Carol też chciałaby, żebyś był szczęśliwy.

- Carol na zawsze pozostanie w moim sercu, ale kocham Beth Randall i liczę na to, że zgodzi się wyjść za mnie za mąż.

- Poprosiłeś ją o rękę?

- To może za duże słowo, ale coś tam wspomniałem.

- No to na co czekasz, synu? Musisz działać, nic się nie dzieje samo.

Brad zamierzał zastosować się do tej rady, ale najpierw musiał porozmawiać z córką.

Pół godziny później Brad znalazł Stacy nad stawem, gdzie bawiła się z Busterem. Śmiała się radośnie, a Brad po raz pierwszy zauważył, że bardzo wydorosłała. Zrobiło mu się przykro. Jego mała dziewczynka już niedługo pozna jakiegoś mężczyznę i pójdzie swoją drogą.

- Znajdziesz trochę czasu dla swojego starego ojca? - zawołał.

- Tato, wcale nie jesteś stary - zaprotestowała, gdy już do niego podbiegła. - Chociaż w tych garniturach, które nosisz do pracy, wyglądasz trochę staroświecko. Powinieneś sobie kupić fajne džinsy i kowbojski kapelusz.

- Zarzucasz mi niewrażliwość na najnowsze trendy mody?

Wielkie dzięki. Nikt nie podsumuje cię lepiej niż własne dziecko.

- Co tu robisz? Myślałam, że chcesz porozmawiać z dziadkiem. Pokłóciliście się? - spytała zmartwiona.

Brad poprowadził Stacy do huśtawki, na której tak niedawno siedział z Beth.

- Nie, nie martw się, wszystko w porządku.

- Świetnie. Opal od razu mi się spodobała. Jak myślisz, czy powinnam mówić do niej „babciu”?

Bradowi najpierw zrobiło się przykro. Tylko jego mama była babcią Stacy. Ale potem zrozumiał, że jest samolubny.

- Najlepiej zapytaj o to Opal.

- Wiesz co? Będę na nią mówić „bunia”, inaczej niż na moją prawdziwą babcię.

- Jak chcesz, kochanie - odparł uradowany. - Najlepiej załatw to z Opal.

Stacy zebrała garść kamyków i zaczęła wrzucać je do stawu.

- Ożenisz się z Beth?

- Dlaczego pytasz? - Czy ona musi być taka domyślna? - pomyślał.

- Tato, nie jestem głupia. Wiem, że bardzo lubisz Beth, a może nawet ją kochasz. Nie chcę, żebyś był samotny, bo wiesz, pewnego dnia ja wyjadę do college'u.

- Dlaczego uważasz, że będę samotny?

- Margaret tak powiedziała. Poza tym kiedy dziadek się ożenił, chyba już nie będzie z nami mieszkał.

- Pewnie masz rację. - Zdziwił się, że sam o tym nie pomyślał. - Chyba będą chcieli zamieszkać osobno. - A jeśli on poślubi Beth...

- Będę za nimi tęsknić. Bez dziadka to już nie będzie to samo. No i ty gotujesz znacznie gorzej.

- Ja też będę za nim tęsknić. - A gotuję rzeczywiście beznadziejnie, przyznał w duchu.

- To co, ożenisz się z Beth?

- A będziesz wtedy zła?

Stacy zastanawiała się przez chwilę, a potem potrząsnęła głową.

- Lubię ją i chcę, żebyś był szczęśliwy. Zawsze była dla mnie miła, chociaż na początku traktowałam ją bardzo niegrzecznie. Tylko że Beth nie chce przeprowadzić się do Wirginii. Tak mi powiedziała.

- Pytałaś Beth, czy przeprowadzi się do Wirginii? - Córka po raz kolejny go zaskoczyła.

- No tak, ale musiałyby wziąć Bustera, Iris i Ivy. Będę za nimi wszystkimi bardzo tęsknić. Skoro dziadek się znalazł, to pewnie niedługo wracamy do domu.

- Tak, w poniedziałek zaczyna się szkoła. Będziesz musiała nadrobić ten tydzień, który spędziliśmy w Mediocrity.

- Rany, już sobie wyobrażam te tony prac domowych do odrobienia. No to kiedy poprosisz Beth o rękę?

- Najpierw chciałem zapytać ciebie o zdanie, ale skoro nie masz nic przeciwko mojemu małżeństwu z Beth, postaram się to załatwić jak najszybciej. - Musiał wybrać odpowiedni czas, wymyślić romantyczny scenariusz, a przede wszystkim kupić pierścionek.

- Mam nadzieję, że się zgodzi. Będzie fajną macochą.

Słyszając to, poczuł niewypowiedzianą ulgę. Nie wiedział, co by zrobił, gdyby Stacy nie zaaprobowwała jego małżeństwa z Beth.

Wielokrotnie o tym rozmyślał.

- Nie wykładajmy na razie kart na stół, dobrze? Poczekajmy, co odpowie Beth.

- Wiem, że ona bardzo cię lubi, tato. Kiedy przechodzisz obok niej, zawsze się na ciebie gapi.

- Naprawdę? - Uśmiechnął się trochę nieprzytomnie. - Nie zauważyłem.

- Bo jesteś chłopakiem. Kobiety myślą zupełnie inaczej. Tak przynajmniej powiedziała ciocia Iris, a ona prawie zawsze ma rację.

- Jak sądzisz, czy ciotki i matka Beth byłyby zadowolone, gdyby wyszła za mnie za mąż? - Prawdę mówiąc, nie spodziewał się żadnych protestów z ich strony.

- No cóż. - Stacy spojrzała na niego z niedowierzaniem. - One wszystkie chcą was wyswatać. Słyszałam, jak ciotka Ivy mówi ciotce Iris, że musi kupić lawendową sukienkę. Ma zamiar włożyć do tego duży czerwony kapelusz, który nosi na spotkania jakiegoś kobiecego klubu.

- Naprawdę? Nie miałem pojęcia.

- Nie rób takiej głupiej miny, tato. - Poklepała go po ramieniu. - Pan młody zawsze dowiadyuje się ostatni.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Wkrótce po Święcie Dziękczynienia nadszedł czas pożegnań. Rano matka Beth poleciała do Kalifornii, by załatwić wszystkie sprawy związane z przeprowadzką. Obiecała wrócić na Boże Narodzenie, co Beth bardzo ucieszyło. Kilka tygodni temu byłoby to nie do pomyślenia.

Stacy wyjechała godzinę później z dziadkiem i Opal. Wracali do Charlottesville, bo następnego dnia znów zaczynała się szkoła - bardzo niemiła perspektywa dla każdej młodej dziewczyny.

Ciocia Ivy i ciocia Iris poprosiły, by nikt im nie przeszkadzał, i zamknęły się w swoim mieszkaniu. Beth nie miała pojęcia, co planowały, podejrzewała jednak, że wyjazd Stacy zasmucił je o wiele bardziej, niż chciały to przyznać. Przy pożegnaniu wszystkie płakały, nie wyłączając spokojnej zazwyczaj Stacy.

W pensjonacie został tylko Brad, ale on też zbierał się do wyjazdu.

Pensjonat wydawał się przeraźliwie pusty, a jutro będzie jeszcze gorzej. Beth próbowała przygotować się psychicznie na wyjazd Brada, ale to było niewykonalne. Będzie za nim bardzo tęsknić. Nie znali się zbyt długo, ale ta znajomość na zawsze odmieniła jej życie. Miała pensjonat, ciotki, książki i filmy. Nie mogła narzekać na nudę. Ale nie mogła mieć tego, na czym najbardziej jej zależało - ukochanego mężczyzny.

Tak to już jest. Nie wszystkie marzenia się spełniają.

- Beth, masz chwilę? Chciałbym z tobą porozmawiać. To ważne.

Odwróciła się od ognia buzującego w kominku i spojrzała na ukochanego mężczyznę. Bała się tego, co miało nadejść. Bała się nieuchronnego rozstania.

- Spakowałeś się już? - Zmusiła się do uśmiechu i wskazała mu miejsce obok siebie.

- Tak, zostało tylko kilka rzeczy, które rano wrzucę do torby. - Usiadł obok niej na dywaniku.

- Dobra noc na rozpalenie w kominku. Jest bardzo zimno. Podobno w nocy spadnie śnieg.

- Tak, w prognozie zapowiadali obfite opady.

- Co roku z niecierpliwością wypatrywała pierwszych płatków śniegu. Nieskazitelny śnieg przykrywał puchową pierzynką wszystko wokół. To było piękne tło dla świąt Bożego Narodzenia.

- Stacy będzie zła, że nie doczekała się śniegu. Bardzo na to liczyła. Myślę, że jutro nie będzie ze mną rozmawiać.

- Przywieź ją kiedyś do nas z wizytą. Najwięcej śniegu jest w styczniu i lutym.

- Beth...

- Tak? - spytała z wahaniem. Zauważyła, że Brad jest bardzo zdenerwowany.

- Kocham cię. Nie chcę jutro wyjeżdżać, ale muszę wrócić do moich pacjentów.

Jej serce biło jak oszalałe, ale próbowała zachować spokój. Wiedziała, że jeśli zacznie płakać, nie będzie umiała przestać.

- Rozumiem. Nie musisz mi niczego wyjaśniać. Oboje wiedzieliśmy, że ten dzień kiedyś nadejdzie.

- Chcę cię poślubić, żebyśmy już zawsze byli razem. Mam nadzieję, że ty też tego pragniesz.

- Ukląkł, sięgnął do kieszeni dzinsów i wyjął pierścionek z brylantem. - Wyjdź za mnie, Beth. Kocham cię. Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie.

Na chwilę wstrzymała oddech, potem po jej policzkach popłynęły łzy.

- Jaki piękny pierścionek. — Brylant skrzył się, zapraszał, by go przyjęła. Ale nie mogła tego zrobić.

- Powiedz „tak”.

- Brad, już o tym rozmawialiśmy - odparła z ciężkim westchnieniem. - Zbyt wiele nas różni, by nasze małżeństwo mogło być udane.

- Posłuchaj, wiem, że nie powinienem był cię o nic oskarżać. Ani ty, ani ciotki nie zrobiłyście nic złego. Tak mi przykro. Mam nadzieję, że mi przebaczysz. Będę nad tym pracował przez resztę życia.

- Nie o to chodzi. Najgorszy jest brak zaufania. Wybaczam ci, - Uśmiechnął się do niej z ulgą o wdzięcznością. - Ja też bardzo cię kocham, ale muszę opiekować się ciotkami, a teraz przeprowadza się tutaj również moja mama. Nie mogę tak po prostu spakować rzeczy i wyjechać. Jestem za nie odpowiedzialna. Jestem odpowiedzialna za ludzi, którzy pracują dla mnie w pensjonacie. Na pewno mnie rozumiesz.

- Nas też bardzo wiele łączy - przypomniał jej. - Nie kochałabyś się ze mną, gdybyś nie pragnęła poważnego związku. Wiem, że tak jest.

Owszem, miał rację, ale od tamtej nocy wiele się zmieniło. Teraz trzeba było wrócić do rzeczywistości, zapomnieć o marzeniach.

- Mam jeszcze czas, by myśleć o takich sprawach. Na razie...

- Jakich sprawach?

- Na przykład o dzieciach. Nigdy nie chciałam ich mieć.

Oczywiście lubię Stacy, to wspaniała dziewczynka, ale jakoś nie widzę siebie w roli matki. Ty chcesz mieć więcej dzieci, prawda? Wiem, że tak jest, nie próbuj zaprzeczać.

- Nigdy nic takiego nie mówiłem.

- Nie musiałeś. Jesteś pediatrą i kochasz dzieci. Jesteś też wspaniałym ojcem.

- Nie muszę mieć więcej dzieci. Ty jesteś dla mnie ważniejsza.

Pozostawała jeszcze sprawa znaleziska w piwnicy. Beth pamiętała, jak Brad zareagował, kiedy mu o tym powiedziała. Przeraził się, co było zupełnie zrozumiałe. Ona też była przestraszona. A jeśli to naprawdę były szczątki Lyle'a McMurtry'ego? Wybuchnie wielki skandal, jej życie legnie w gruzach. Miała by go narażać na takie przykrości? Nie chciała, by się dla niej poświęcał.

- Przykro mi, Brad. Nie mogę wyjść za ciebie za mąż. Ta decyzja nie ma nic wspólnego z uczuciami, bo ja ciebie naprawdę kocham.

- To dlaczego nie chcesz wyjść za mnie za mąż?

- Jest jeszcze kilka spraw, które wymagają wyjaśnienia.

- Mówisz o tych tajemniczych kościach, które znalazłaś w piwnicy?

- Właśnie, i to ja muszę rozwiązać ten problem. Nie ty, a dopóki tego nie zrobię... - Gdzie, do diabła, podziewa się Ellen? Lada moment powinna wrócić. Beth zostawiła na jej sekretarce automatycznej kilkanaście wiadomości, ale nie doczekała się odpowiedzi.

- Nie dbam o to. Chcę tylko ożenić się z tobą i dożyć końca swych dni u twego boku.

- Tak, Brad, byłoby cudownie. - Pogładziła go po policzku. - Ja też cię kocham, ale to się nie uda, nigdy.

- Nie mów tak, nigdy więcej. - Położył jej palec na ustach. - Jutro wyjeżdżam i nie chcę, by nasza ostatnia wspólna noc skończyła się w ten sposób. Kochaj się ze mną, Beth.

- Tak, ja też tego chcę - szepnęła. Chciała mieć co wspominać przez resztę życia, a piękne wspomnienia to jedyna rzecz, jaka będzie ją ogrzewać podczas długich, zimnych i samotnych nocy.

- Ale najpierw musisz mi coś obiecać. - Ucałował jej dłoń.

- Co takiego?

- Obiecuj, że przemyślisz moją propozycję. Przyjadę tu ze Stacy na święta i wtedy dasz mi odpowiedź, dobrze?

Beth zobaczyła w jego oczach tyle miłości i nadziei, że nie potrafiła odmówić.

- W porządku, obiecuję.

Przyciągnął ją do siebie i powiedział:

- Ja należę do ciebie, a ty do mnie.

Jego pocałunek był słodki i czuły. Beth drżała na całym ciele w niecierpliwym oczekiwaniu. Pożądanie może być torturą, ale Brad nie pozwolił jej cierpieć. Smakował ją wargami, jakby była rajskim owocem. Krew pulsowała jej w skroniach, zaostrzała zmysły. A potem czuła już tylko rozkosz - intensywną, niemal nierzeczywistą.

- Beth, ja naprawdę przez ciebie oszaleję.

Zdjął jej sweter, potem dzinsy i bieliznę. Delikatnie ułożył ją na dywanie. Z zachwytem patrzył na jej ciało ozłoczone blaskiem z kominka.

- Jesteś najpiękniejszą kobietą na świecie. Czy już ci to mówiłem?

- Tak, ale możesz powtarzać to bez końca, nigdy mi się nie znudzi. - Uśmiechnęła się łagodnie i westchnęła.

Pieścił językiem jej czułe na dotyk, wrażliwe sutki, które natychmiast stwardniały. Później Beth niemal zdarła z niego koszulę. Chciała jak najszybciej poczuć ciepło jego ciała.

- Kocham cię tak bardzo, że to aż boli - szepnęła.

- Wiem, skarbie, wiem.

Leżeli nadzy przy kominku. Brad całował jej usta, policzki, powieki. Gdy wszedł w nią wreszcie, krzyknęła z rozkoszy.

Najpierw poruszał się powoli, potem coraz szybciej. Poczowała, jak zalewa ją fala gorąca. I znów stali się jednością.

Potem leżeli długo bez ruchu, zmęczeni, ale szczęśliwi, nasyceni sobą.

- Było wspaniale - powiedział i pocałował ją delikatnie w usta. - I ty też jesteś wspaniała.

- Jeśli tak wygląda nirwana, to chcę jej doznawać jak najczęściej.

- Dobrze nam z sobą, przyznaj.

- Tak.

- Zapamiętaj swoje słowa, bo będziesz je powtarzać bardzo często. Obiecuję.

Obudził ją dźwięk syren. Zerwała się z łóżka i podbiegła do okna. Na tle nocnego nieba zobaczyła języki płomieni. Płonął drewniany dach stodoły.

- Och, mój Boże!

Zarzuciła na ramiona szlafrok i pobiegła na górę, by obudzić ciotki. Dopadła do drzwi ich mieszkania i nie pukając, od razu weszła do środka.

- Obudźcie się! - krzyknęła. - Pali się stodoła.

- Wcale nie śpimy, kochanie - dobiegł z łóżka głos Ivy. - Biegnij zobaczyć, co się stało. Nic nam nie będzie.

Beth pobiegła na tył domu i zapukała do drzwi Lori. Przez chwilę krzyczała, mając nadzieję, że Lori się obudzi. Włożyła buty i kurtkę i pobiegła w kierunku stodoły.

W ciągu dnia padał śnieg, ale potem temperatura trochę się podniosła. Teraz ziemię pokrywała breja, po której trudno było się poruszać.

Gdy dobiegła na miejsce, przed stodołą stał już wóz strażacki. Strażacy pompowali wodę ze stawu. Wokół było potwornie gorąco, wszystko spowijały kłęby czarnego dymu. Beth zakrztusiła się, zaczęła kasłać, a potem rozplakała się. Nie tylko dlatego, że dym

szczypał ją w oczy. Bolało ją serce, bo w tej stodole bawiła się jako dziecko.

- Co się stało? - spytał Hank, który przed chwilą przyjechał.

Wyskoczył z samochodu i owinął się ciasniej skórzana kurtką. - Lori do mnie zadzwoniła, przyjechałem najszybciej, jak mogłem. Beth?

- Nie mam pojęcia, co się stało. - Beth bezradnie wzruszyła ramionami.

Podszedł do nich kapitan Clint Loomis z ochotniczej straży pożarnej. Miał ponurą minę. Był wysokim, dość potężnym mężczyzną z bujnym rudym wąsem.

- Beth, Hank, przykro mi, ale dość kiepsko to wygląda. Straty będą duże.

- Czy ogień się rozprzestrzeniła? - spytała. Odczuła ulgę, że już od dawna nie trzymali w stodole żadnych zwierząt. Składowali tam jedynie siano, które sprzedawali na paszę okolicznym hodowcom.

- Niestety tak. Sądzymy, że pożar zaczął się na strychu.

Znaleźliśmy rozbitą lampę naftową.

Hank potrząsnął głową i zmarszczył brwi.

- Nie wiem, skąd się tam mogła wziąć. Od lat nie używam lamp naftowych. Kupiłem taką na baterie, zresztą ze względów bezpieczeństwa. Te stare budynki płoną jak pochodnie.

- Beth, czy masz pojęcie, skąd mogła tam się wziąć lampa naftowa? - zapytał kapitan Loomis.

- Nie. Hank i ja już dawno zdecydowaliśmy, że są zbyt niebezpieczne. Czasami wchodzę do stodoły ze świeczką, ale też bardzo rzadko. Ciekawe, kto tu zostawił tę lampę.

- Nie znaleźliśmy żadnych śladów, tylko trochę nafty. To mogło być podpalenie.

- Podpalenie?! - krzyknęła Beth. - Dlaczego ktoś chciałby spalić moją stodołę?

- Nie wiem, ale podpalacze rzadko kierują się logiką. Może w trakcie śledztwa uda nam się ustalić, co tu się stało. Czy stodoła jest ubezpieczona?

- Tak, ale pieniądze z ubezpieczenia nie pokryją kosztu remontu. Nie podniosłam składek, które ciocia płaciła lata temu. Od tamtej pory ceny na pewno bardzo wzrosły.

- Niestety tak, teraz są niebotyczne - odparł kapitan i odszedł w kierunku wozu.

- Tak mi przykro, Beth - powiedział Hank.

- Chyba nie uważasz, że miałem z tym coś wspólnego, prawda? Jestem zawsze taki ostrożny. Ale jeśli zawiniłem...

- Spokojnie, Hank, o nic cię nie podejrzewam. Mam do ciebie pełne zaufanie. - Poklepała go uspokajająco po ramieniu. - Po prostu zastanawiam się, kto... - Nagle sobie przypomniała.

- O co chodzi? Wiesz, kto to zrobił? - dopytywał się Hank.

- Nie, skądże, po prostu myślałam na głos. Jedź już do domu, nie chcę, by Willow martwiła się o ciebie.

Skrzywił się na wzmiankę o żonie.

- Ta kobieta martwi się o wszystko, nie tylko o mnie.

Kiedy Hank odjechał, Beth wróciła do domu. Myślała o człowieku, który chciał kupić jej ziemię i jej dom.

John Connor zmierzał po trupach do celu. Sam tak o sobie powiedział.

Czy uciekałby się aż do takich łajdackich metod?

Następnego dnia Aubrey przeczytał w porannym wydaniu „Mediocrity Messenger”, że ogień strawił większą część stodoły przy „Pensjonacie u Sióstr”. Podejrzewano podpalenie, choć śledztwo dopiero się zaczęło.

- No, no, wielka szkoda - mruknął, uśmiechając się pod wąsem. - Ten pożar nie mógł się rozpętać w lepszym czasie.

Ponownie nalał kawy do filiżanki i popijając gorący, aromatyczny płyn, obmyślał następny ruch. Dziś po południu ponownie wybierze się do pensjonatu.

Jednak tym razem nie odwiedzi Elizabeth Randau, lecz kochaną mamusię Iris Swindel. Może uda mu się przekonać tę starą wariatkę do sprzedaży domu. Niechętnie przyznawał się do jakichkolwiek uczuć, ale był bardzo ciekaw kobiety, która mu dała życie.

- Beth, gdzie mam powiesić te bombki? - Iris trzymała w ręku pudło delikatnych niemieckich ozdób choinkowych ze szkła, które były w rodzinie od lat. Starsza pani przystanęła na chwilę, by obejrzeć choinkę. - Jakie piękne drzewko. Chyba najładniejsze, jakie do tej pory miałyśmy. Gdzie je kupiłaś?

Piękna wysoka jodła stała dumnie na środku holu. Beth właśnie wieszała na gałęziach lampki.

- Hank wypatrzył ją na tyłach domu. Nie zapłaciliśmy za nią nawet jednego centa.

- Cudownie pachnie. Chyba najbardziej lubię jodły, chociaż właściwie sosny też są piękne.

- Wiesz co, po prostu postaw to pudełko z ozdobami na stole, ciociu Iris. Czy ciocia Ivy już wróciła z miasta? Obiecała nam pomóc przy łańcuchu z kukurydzy i żurawin. - To była tradycja, której wszystkie trzy bardzo przestrzegały. Beth już się na to cieszyła, ale przede wszystkim wolała być zajęta, bo wtedy nie myślała o zniszczonej stodole ani o Bradzie.

- Nie, kochana. Ivy dzwoniła i powiedziała, że wróci dopiero późnym popołudniem. Je teraz lunch z Louise, a potem idą na zakupy. Zaczniemy bez niej, dobrze?

- Myślałam, że ciocia Ivy kupiła wszystko przez internet. - Już od kilku dni do domu przychodziły paczki ze wszystkich zakątków kraju.

- Tak, ale wiesz, jak ona lubi zakupy. Na pewno jeszcze znajdzie coś interesującego. Zawsze znajduje.

- A jak tam wasz nowy klub dla pań? Macie dużo chętnych?

- Och tak. - Iris ożywiła się. - Świetnie się bawimy. Zapisało się już osiemnaście pań. W styczniu jedziemy autobusem do Filadelfii na występ zespołu chippendale. Ivy nie może się doczekać. Już dawno nie widziałam jej tak podekscytowanej.

Beth uśmiechnęła się, a potem wyjęła z włosów kilka pachnących zielonych igieł.

- Wierzę. Już od dawna chciała ich zobaczyć. Dobrze, że ty też jedziesz, Ivy przyda się przyzwoitka.

- Nie musisz mi o tym przypominać. - Iris skinęła głową, a potem zmarszczyła nos. - Co to za potworny smród? Zupełnie jakbyśmy tu miały skunksa.

Beth wciągnęła powietrze.

- Masz rację. To nie do wytrzymania. Totalna porażka.

- Stacy tak mówiła. Tęsknię za tą dziewczynką. Już liczę dni do ich przyjazdu.

- Beth! - rozległ się przeraźliwy krzyk Lori. - Chodź natychmiast do kuchni! Tu jest jakiś zwierzak. Boję się.

Beth i Iris spojrzały na siebie zdziwione, a potem pobiegły sprawdzić, co tak bardzo wystraszyło szefową kuchni. Lori stała na krześle, z dłonią przyciśniętą do ust, a drugą ręką wskazywała zlew.

- Tam!

Była blada jak ściana.

- O co chodzi? Co się stało? - dopytywała się Beth.

Smród był porażający. Beth zakryła nos i usta, bo zbierało się jej na wymioty.

- W tej szafce pod zlewem - powiedziała drżącym głosem Lori. - Usłyszałam jakieś skrobanie. To chyba szczur.

Beth wzięła szczotkę i otworzyła drzwiczki szafki. Ze środka wychynęło zwierzę o biało--czarnym futrze i pobiegło w kierunku werandy.

- Och nie - jęknęła Beth.

- Czy to skunks? - dopytywała się ciotka Iris.

- Tak, i śmierdzi jak wszyscy diabli. - Beth zagoniła zwierzaka pod drzwi na tyłach domu i krzyknęła: - Szybko, ciociu Iris, otwieraj! Może uda się go wypędzić.

Iris świetnie się spisała, a po skończonej akcji powiedziała:

- Ten smród rzeczywiście jest nie do wytrzymania. Swoją drogą ciekawe, jak skunks dostał się do kuchni.

Beth również się nad tym zastanawiała. Wszystkie jej podejrzenia skupiały się wokół jednego człowieka - Johna Connora.

Gdy skunks zniknął z pola widzenia, Lori zeskoczyła z krzesła i uśmiechnęła się przepaszająco.

- Przepraszam, ale myślałam, że to szczur, a ja się ich panicznie boję.

- Ach, te dziewczyny z miasta - zażartowała Beth.

Niepotrzebnie otwierała usta, bo duszący smród natychmiast wcisnął się do krtani. Ciekawe, czy to już koniec atrakcji.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

- Przykro mi, Beth, ale zarząd zaopiniował negatywnie twój wniosek o kredyt.

Beth siedziała w gabinecie pana Pickensa. Na ścianach wisiały obrazy przedstawiające słynne bitwy wojny secesyjnej oraz mnóstwo map sztabowych. Miała ochotę się rozplakać, jednak małżeństwo z Gregiem nauczyło ją, że płacz nie rozwiązuje żadnych problemów. Po prostu potem człowiek ma tylko opuchnięte i czerwone oczy.

- Nie rozumiem. Prowadzę biznes w naszym mieście, moja rodzina mieszka tu od zawsze. Dlaczego nie chcecie pożyczyć mi pieniędzy? Przecież wiecie, że na to zasługuję.

- Beth, to nie takie proste. Zarząd uznał, że bank nie może sobie pozwolić na takie ryzyko. Ty już spłacasz jeden kredyt i masz bardzo nieregularny dochód. Pożar stodoły jeszcze pogorszył sprawę.

Phinneas Pickens sprawiał wrażenie zakłopotanego. Właśnie niweczył jej plany na przyszłość, deptał marzenia. Miała ochotę zażądać, by oddał jej powidła śliwkowe. Gdyby nie te głupie powidła i chęć przypodobania się panu Pickensowi, nigdy nie zesłaby do piwnicy i nie znalazłaby tych przeklętych kości, a jej życie nie zaczęłoby przypominać opery mydlanej.

- Bardzo liczyłam na tę pożyczkę, panie Pickens, zwłaszcza teraz, po pożarze stodoły. - Tak jak się obawiała, pieniądze z ubezpieczenia nic po-kryją kosztów remontu. - Czy bank nie mógłby ponownie rozpatrzyć mojego wniosku? Mój pensjonat to dobra

wizytówka naszego miasta. Był pan na uroczystym otwarciu restauracji. Wszyscy widzieli, że odniosłam sukces.

- To prawda. Kocham zabytki, dlatego jestem członkiem towarzystwa historycznego. Jednak ten dom jest obciążony pewnym... hm... bagażem.

- Jeśli pan mówi o tej sprawie sprzed pięćdziesięciu lat, to muszę zaprotestować. Mój dom nie ma z tym nic wspólnego. To nie w porządku, że pan to wykorzystuje przeciwko mnie. Przecież nie było mnie wtedy na świecie.

- Gdybym to ja decydował, na pewno dostałabyś kredyt. Lubię cię, Beth. Uważam, że wykonałaś kawał dobrej roboty. Niestety to nie ja podejmuje ostateczną decyzję. - Wzruszył ramionami. - Nic więcej nie mogę zrobić, przykro mi.

- No to mam duży kłopot, bo bardzo potrzebuję tych pieniędzy. Muszę skończyć remont, zaangażować architekta krajobrazu i...

- Jest jeszcze jedna możliwość, choć waham się, czy o tym wspominać, bo to dosyć ryzykowne posunięcie.

- Chętnie wysłucham każdej sugestii, bo jestem w sytuacji bez wyjścia. Proszę mówić. - W Beth wstąpiła nadzieja.

W przeszłości bank robił interesy z Prywatnym Towarzystwem Inwestycyjnym Trident. Przejrzeli twój wniosek kredytowy i są gotowi udzielić ci pożyczki.

- To cudownie.

- Muszę jednak uprzedzić, że rygorystycznie wymagają terminowych spłat, a zabezpieczeniem będzie pensjonat. Jeśli w

jakichś powodów nie dotrzymasz warunków umowy, stracisz wszystko.

- Ale jeśli nie dostanę pożyczki, też wszystko stracę. Nie mam wyboru.

- Oczywiście ostateczna decyzja należy do ciebie, ale moim obowiązkiem jest uprzedzić cię o istniejącym ryzyku. Nie chciałbym wiedzieć, jak tracisz wszystko, na co tak ciężko pracowałaś.

- Nie dojdzie do tego - powiedziała pewnym głosem. - Czy ta firma jest godna zaufania? Nigdy o nich nie słyszałam.

- Tak. - Skinął głową. — Jak już powiedziałem, robiliśmy z nimi interesy w przeszłości. To ostatnia deska ratunku dla wielu naszych klientów. Wchodzą w skład wielkiej korporacji z Filadelfii. Mogą sobie pozwolić na podjęcie większego ryzyka niż nasz bank. Działają na rynku od wielu lat i nigdy nie dostaliśmy na nich żadnej skargi.

- A odsetki? - Kiedy powiedział, zbladła jak ściana. - Bardzo wysokie - zdenerwowała się. - Rozbój w biały dzień, dodała w duchu.

- Twoja zdolność kredytowa jest dość niska. Dopiero rozkręcasz interes i nadal nie wiadomo, czy odniesiesz sukces. Poza tym w historii twojego kredytu znalazło się kilka niepokojących uwag.

- To nie ja robiłam debety, tylko Greg. To on zaciągał te kredyty. Ja spłacałam wszystkie długi, choć kosztowało mnie to sporo wysiłku.

- Jako żona Grega ponosiłaś taką samą odpowiedzialność. Bankowość to same cyfry. Próbuje my uwzględniać czynnik ludzki, ale czasami przeważają inne względy, tak jak w twoim przypadku.

Mamy zobowiązania wobec naszych klientów i traktujemy je bardzo poważnie. Chyba to rozumiesz, prawda?

Owszem, rozumiała, ale przecież nie musiało jej się to podobać. Była między młotem a kowadłem.

Nie miała innego wyjścia jak przyjąć warunki zaproponowane przez Trident. Będzie musiała pracować jeszcze ciężiej.

- Kiedy będę mogła się spotkać z przedstawicielem Tridentu? Zależy mi na czasie.

- Pani Logan zaproponowała spotkanie dzisiaj. W tej chwili jest na zebraniu, ale zaraz kończą. - Zerknął na zegarek. - Mniej więcej za piętnaście minut. Możesz poczekać. Tak będzie lepiej, bo po południu pani Logan wraca do Filadelfii.

- Świetnie. Poczekaam. Chcę to wszystko jak najszybciej załatwić. Potrzebuję tych piętnastu tysięcy dolarów. Przynajmniej rozwiążą część moich problemów. Musiała jeszcze wyjaśnić zagadkę kości z piwnicy, no i czekała ją rozmowa z Bradem.

- Przykro mi, Beth, chciałbym ci pomóc, ale mam związane ręce.

- Pan ma związane ręce, a mnie przypiekają na ogniu. - Obym się tylko nie spaliła, pomyślała ponuro.

Aubrey zapukał nerwowo w drzwi pensjonatu. Wiedział, że Beth nie ma w domu. Dziesięć minut temu widział ją i Ivy Swindel w miasteczku. Starannie wybrał czas wizyty.

Drzwi się wreszcie otworzyły i w progu pojawiła się drobna białowłosa kobieta. Miała błękitne oczy, tak jak on. Gdy w nie spojrział, poczuł wzruszenie. Oto stał przed rodzoną matką.

- Czy pani Iris Swindel? - zapytał, próbując ukryć emocje.

- Tak, to ja - odparła z wahaniem. - O co chodzi?

- Nazywam się John Connor. Kilka dni temu rozmawiałem z pani siostrzenicą i złożyłem jej ofertę kupna tej posiadłości. Może o tym pani wspominała?

Iris Swindel chrząknęła kilka razy, ale Aubrey nie zwracał na to uwagi.

- Owszem, panie Connor - odparła wreszcie i wyprostowała się.

- Nie rozumiem, o czym pan chce ze mną rozmawiać. To Beth jest właścicielką pensjonatu. Ja i moja siostra przepisałyśmy wszystko na nią.

- Mam nadzieję, że pani zdoła skłonić Beth Randall do przyjęcia mojej oferty. Potrzebuję tej ziemi, bo chcę tu inwestować.

- Niepotrzebnie traci pan swój cenny czas, młody człowieku. Moja siostrzenica nie zamierza sprzedawać tej ziemi, a ja nie mam tu nic do gadania.

- Ale rozmawiała z nią pani na ten temat.

- Tak. Uznałam pana ofertę za bardzo dobrą i namawiałam Beth, żeby ją przyjęła. Skoro postanowiła jednak, że nic nie sprzeda, to dalsza rozmowa nie ma sensu. Przykro mi, panie Connor.

- Jestem pewien, że ma pani duży wpływ na siostrzenicę. Gdyby pani z nią jeszcze raz porozmawiała, spróbowała uświadomić ją, że popełnia wielki błąd, to...

- Panie Connor, to nasz dom. - Krucha staruszka nagle zamieniła się w pewną siebie, zdeterminowaną kobietę. - Ja i moja siostra Ivy wychowałyśmy się tutaj. Nigdy nie mieszkaliśmy gdzie indziej. Beth też kocha to miejsce. Chyba pan to rozumie.

- Nie bardzo. - Zaśmiał się nieprzyjemnie. - Nie przywiązuję się ani do rzeczy, ani do ludzi.

-Przykro mi to słyszeć -odparła wstrząśnięta jego słowami. - Uważam naszą rozmowę za skończoną. Do widzenia, panie Connor. Życzę miłego dnia. - Zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

Aubrey nie mógł uwierzyć, że ta słodka i miła staruszka wyrzuciła go z domu. Właściwie co go tak zdziwiło? Przecież przed laty Iris Swindel też wyrzuciła go z domu i oddała do adopcji. Najdroższa mamusia jak widać również nie przywiązywała się zbytnio do ludzi.

Dzięki Bogu, że go nie rozpoznała. Gdyby Iris Swindel wiedziała, z kim rozmawia, na pewno wybuchnęłaby płaczem i zaczęła błagać o przebaczenie. Urządziłaby typowo kobiecą scenę, których tak nienawidził.

Wracając do samochodu, Aubrey rozmyślał nad złożonością życia. Zamierzał stoczyć walkę z matką, która nawet nie wiedziała o jego istnieniu.

Zapłakana Iris obserwowała przez okno odchodzącego Johna Connora. To był jej syn. Domyśliła się, ledwie na niego spojrzała. Zachowanie spokoju kosztowało ją wiele wysiłku.

Lata temu rodzice zmusili ją, żeby oddała dziecko do adopcji. Nadała synkowi imię Aubrey, ale pewnie przybrani rodzice nazwali go inaczej.

- Och, Aubrey, tak mi przykro. Czy kiedykolwiek mi wybaczysz? - szepnęła. Gdyby można było cofnąć czas, postawiłaby

pewnie na swoim. Byłaby matką dla swojego dziecka, którego tak bardzo pragnęła.

Niestety młode kobiety z dobrych rodzin, zwłaszcza w małych miasteczkach, takich jak Mediocrity, rzadko rodziły nieślubne dzieci, a jeśli już tak się zdarzyło, to nigdy ich nie wychowywały. Gdyby zatrzymała dziecko, nazywano by ją kobietą upadłą, a Aubreya wyzywano od bękartów.

Ojciec dzień w dzień mówił, że zgrzeszyła. Wreszcie uległa jego namowom i wyjechała, by urodzić z dala od rodzinnego miasteczka. Zaraz potem dziecko zostało oddane do adopcji. Była młoda i przerażona. Nigdy nie przeżyła nic gorszego.

Chociaż Iris nigdy nie widziała swego dziecka, od razu poznała, że mężczyzna, który stanął dziś na jej progu, to krew z jej krwi, bo Aubrey, czy jak tam się nazywał, był niesłychanie podobny do swojego ojca, Lyle'a McMurtry'ego.

Zaraz po przyjściu do domu Beth znalazła liścik od ciotki. Leżał na stoliku w holu, tuż przy choince. To trochę dziwne, że ciotka zostawiła liścik, przecież mogła zadzwonić.

Zdjęła kapelusz, płaszcz i rękawiczki, a potem, przeskakując po dwa stopnie, wbiegła do mieszkania ciotek.

Zapukała dwa razy i weszła do środka.

Ciotka Iris krążyła po pokoju z rękami założonymi za plecy. Chyba jeszcze nigdy Beth nie widziała jej w takim bojowym nastroju.

- No, jesteś nareszcie. Dzięki Bogu.

- Czy coś się stało? Chyba jesteś trochę zdenerwowana, A gdzie jest ciocia Ivy? Mam nadzieję, że wszystko z nią w porządku.

Dlaczego jej tu nie ma?

- Poprosiłam ją, by pomogła Lori przy kolacji. Chciałam porozmawiać z tobą w cztery oczy.

- No to mów, co cię tak zdenerwowało. - Beth usiadła na kanapie.

- Dzisiaj odwiedził mnie John Connor. Wściekła Beth zerwała się na równe nogi.

- Idę do niego do hotelu i urządzę mu piekło. On nie ma prawa cię nachodzić. To bezczelny...

- Usiądź, kochanie. To będzie trochę długa opowieść.

- Nie groził ci, mam nadzieję? Jestem pewna że to on stoi za tymi wszystkimi nieszczęściami, które nas ostatnio spotkały.

- Masz na myśli pożar? - Ciotka spojrzała na nią zaskoczona.

- Tak, a także skunksa. Oczywiście nie mam żadnego dowodu, to tylko przeczucie. - Może awaria wody też była jego dziełem? Nie, popadam w paranoję, pomyślała.

- To nie w jego stylu, Beth. Pan Connor jest bezwzględny, ale nie podstępny.

- Mówisz o nim, jakbyś go znała.

- Właściwie tak jest. Znam jego matkę.

- Znasz jego matkę? A skąd?

Iris westchnęła głęboko i powiedziała:

- To ja jestem matką Johna Connora.

Beth milczała przez chwilę. Powoli docierał do niej sens słów, które właśnie usłyszała.

- Co ty mówisz, ciociu Iris! Jak on może być twoim synem, skoro nawet go nie znamy? O ile wiem, nigdy nie byłaś zamężna.

- Tak, nie byłam. Muszę ci coś wyznać, choć bardzo się wstydzę. Jako bardzo młoda dziewczyna urodziłam nieślubne dziecko, które potem zostało oddane do adopcji. John Connor jest moim synem, choć ja nazwałam go Aubrey na cześć mojego ukochanego wujka. - Wyjaśniła, jak rodzice zmusili ją do oddania dziecka. - Moja matka mi nie pomogła, stanęła po stronie ojca. Nigdy jej tego nie wybaczę.

- A kto był ojcem dziecka? - spytała Beth, choć już znała odpowiedź.

- Mój narzeczony Lyle McMurtry. Wyznaczono już nawet datę wesela. Byliśmy młodzi i bardzo zakochani. Nie widziałam nic złego w tym, że zaczniemy współżyć przed ślubem. Byłam zakochana, młoda i głupia.

- Ale coś poszło nie tak.

- Dwa dni przed ślubem Lyle wyjechał z miasta, porzucił mnie. - Iris rozszlochała się.

- To łajdak! - krzyknęła Beth.

- On nie wiedział, że jestem w ciąży.

- To dlaczego wyjechał?

- Tuż przed ślubem zaczął się dziwnie zachowywać. Czułam, że nie ma ochoty się żenić, ale długo wmawiałam sobie, że to tylko przedślubna gorączka. Wiedziałam, że on mnie kocha, nigdy w to nie

wątpiłam. Ale Lyle chciał dokonać wielkich rzeczy, zwiedzić świat. Przerazała go myśl o małżeństwie i o życiu w tym małym miasteczku.

- Tak mi przykro, ciociu Iris. Musiałaś bardzo cierpieć.

- Tak, a kiedy dowiedziałam się, że jestem w ciąży, szalałam z rozpacz. Byłam zbyt dumna, by wyznać Lyle'owi prawdę. Nie chciałam przywiązywać go do siebie w ten sposób. Pisał do mnie, próbował wyjaśniać powody swej decyzji. Nie odpisałam na żaden list.

- Ale dlaczego? Gdyby wiedział o dziecku, może by do ciebie wrócił i...

- Nie chciałam poślubić mężczyzny, który nie kochał mnie na tyle mocno by ze mną zostać.

- Wstała, i podała Beth obite skórą pudełko. - To jego listy. Jeśli chcesz, możesz je przeczytać. A to fotografia Lyle'a. Według mnie był bardzo przystojnym mężczyzną.

Beth patrzyła na czarno-białą fotografię. Zupełnie jakby widziała Johna Connora. Podobieństwo było uderzające, tylko John Connor miał masywniejszą sylwetkę.

- Teraz rozumiem, dlaczego od razu go poznałaś. To niesamowite. - Mogła się tego od razu domyślić, gdy znalazła medalion.

- Mam wyrzuty sumienia, że nigdy nie powiedziałam Lyle'owi o synu. Ale czułam się zraniona.

- Bezradnie wzruszyła ramionami.

- Czy John Connor wie, że jesteś jego matką?

- Nie sędzę, kochanie. Skąd mógłby wiedzieć? Beth odetchnęła z ulgą. Arogancki i chciwy

Connor w niczym nie przypominał słodkiej i miłej Iris. Aż trudno było uwierzyć, że to matka i syn.

- Co się stało z Lyle'em? - spytała Beth. - Widzieliście się jeszcze kiedyś?

- Nie, nigdy. Lyle umarł i jest pochowany w Denver. Ktoś znalazł wśród jego rzeczy mój adres i przysłał mi kopię aktu zgonu.

- Jest pochowany w Denver? - upewniła się Beth. Chwała Bogu, pomyślała. Kto w takim razie został pochowany w piwnicy? - Byłaś ze mną szczerą, teraz ja chciałabym ci coś wyznać.

- Oczywiście, kochanie. Wiesz, że możesz mi powiedzieć wszystko.

- Pamiętasz, jak kiedyś zeszłam do piwnicy po powidła śliwkowe dla pana Pickensa? — Ciotka skinęła głową. - Tego samego dnia Buster wykopał tam jakieś kości i mały złoty medalion. W środku było zdjęcie Lyle'a.

- Och, znalazłaś mój medalion - ucieszyła się Iris. - Szukałam go całe lata, nawet nie wiem, kiedy go zgubiłam.

- Jest teraz w moim pokoju. Zaraz przyniosę.

- Później, kochanie. Czekałam tyle lat, że mogę poczekać jeszcze kilka minut.

- Kiedy znalazłam ten medalion przy kościach, nie wiedziałam, co o tym myśleć.

- Myślałaś, że to szczątki Lyle'a? Coś niesamowitego. Musze powiedzieć o tym Ivy. Na pewno się wścieknie. Te paskudne plotki i pomówienia towarzyszą nam już od pięćdziesięciu lat.

- Dlaczego nie pokazałaś szeryfowi aktu zgonu? Dzięki temu zakończyłby wreszcie tę sprawę. - A ja być może dostałabym kredyt w banku. Nie, lepiej nie wspominać o tym ciotce, bardzo by się zmartwiła.

- A po co? Przecież nie zrobiłam nic złego. Co mnie obchodzi, że w tym miasteczku jest trochę ograniczonych ludzi, którzy wierzą w każdą najbardziej ohydną plotkę.

- W takim razie co to za kości?

- Mieliliśmy kiedyś parobka, Sirusa Heslopa. Podczas sezonu łowieckiego oprawiał w naszej piwnicy zwierzynę. Był bardzo leniwy, dlatego zamiast wyrzucać kości, po prostu je zakopywał. Zapił się na śmierć. - Iris syknęła z dezaprobatą.

Beth co prawda przepelniała ulga, ale zarazem dręczyły wyrzuty sumienia. Jak mogła podejrzewać, że ciotki zrobiły coś złego?

- Możesz mnie zaliczyć do tych ograniczonych mieszkańców naszego miasta.

- Nie przejmuj się, kochanie. Ja i Ivy zawsze lubiliśmy szokować tutejszą opinię publiczną. Nie każdego podejrzewają o morderstwo. Dzięki temu nasze życie nabrało smaczku. Jestem przekonana, że w głębi duszy nie wierzyłaś w naszą winę.

- Przysięgam, że tak było. - Beth uściskała ciotkę. - Broniałam was przed wszystkimi, nawet przed Bradem.

- Och Boże! Czy doktor Donovan myśli...

- Martwił się o ojca.
- Biedaczek. Musiał uznać nasze zachowanie za wysoce podejrzane. A przy okazji, jak on się miewa? Masz od niego jakieś wiadomości?
- Tak, dzwoni do mnie codziennie wieczorem. - Mówi mi, jak bardzo mnie kocha i jak bardzo za mną tęskni.
- Kochasz go?
- Tak, ale nie mogę za niego wyjść, choć już kilka razy mi się oświadczył.
- Dlaczego?
- Nie jestem pewna, czy w ogóle chcę wyjść za mąż. Pamiętasz, jak skończył się mój związek z Gregiem.
- Nawet nie wiesz, jak bardzo żałuję swoich wyborów. Wolałabym żyć u boku mężczyzny, zamiast starzeć się w samotności.
- Przecież masz Ivy.
- Tak, kocham ją, ale gdybym miała wybierać między nią a Lyle'em, nie potrzebowałabym chwili namysłu. Pomyśl o tym, zanim podejmiesz ostateczną decyzję. Samotna starość to najgorsza rzecz, jaka może ci się przytrafić.
- Ale ty jesteś zawsze taka radosna i masz tysiące pomysłów.
- Robię, co mogę. Mam różne zainteresowania, ale to tylko kiepskie substytuty. Wolałabym co noc zasypiać w ciepłych ramionach mężczyzny. Przecież czytasz romanse, wiesz, o co mi chodzi.
- Nigdy nie wiem, która z was jest bardziej niezdolna - roześmiała się Beth.

- Ivy. W porównaniu z nią jestem prawdziwym niewiniątkiem.
- Nie byłabym tego taka pewna. - Beth pocałowała ciotkę w policzek. - Bywają chwile, kiedy mogłabyś stanąć z nią w zawody.

RS

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem Beth dekorowała werandę. Właśnie wieszała lampki i jemiołę, kiedy zobaczyła listonosza. Był obładowany paczkami, a torba aż pękała od świątecznych kartek.

- Dzień dobry, Beth. - Pan Jessup uśmiechnął się promiennie. Nic sobie nie robił z zimna, ale Beth już przemarzła do kości. - Mam dla pani list polecony. Proszę tu podpisać.

Zeszła z drabiny, podpisała się i ze zdumieniem odebrała kolejny list od Tridentu. Przecież już otrzymała od nich wszystkie dokumenty oraz czek na piętnaście tysięcy dolarów, który zresztą przekazała ekipie remontującej stodołę.

Miała wiele wydatków, ale ten był najpilniejszy.

Liczyła na to, że ekipa uwinie się z robotą, zanim zaczną się prawdziwe mrozy.

- Te girlandy i bombki wyglądają przepięknie. Zaraz będą święta, a ja jeszcze nic nie przygotowałem. Życzę miłego dnia.

- Proszę na siebie uważać, panie Jessup. - Pomachała mu na pożegnanie, a potem weszła do domu.

Gdy przeczytała list od Tridentu, miała wrażenie, że zaraz eksploduje.

- To niemożliwe! To jakaś pomyłka! - krzyknęła. Przeczytała jeszcze raz, by się upewnić, że wszystko dobrze zrozumiała.

Zrzuciła kurtkę na podłogę, pomaszerowała do biura i wykreśliła numer widoczny na kopercie. Poprosiła o rozmowę z panią Logan, która zgłosiła się po kilku sekundach.

- Dzień dobry. Mówi Nora Logan. W czym mogę pani pomóc, pani Randall?

- Właśnie otrzymałam od państwa zawiadomienie, że nie wpłaciłam pierwszej raty kredytu. Proszę pani, to jakaś pomyłka. Termin spłaty przypada na koniec miesiąca.

- Proszę chwilę poczekać. - Rozległ się szelest papieru, a potem pani Logan zapytała: - Czy pani dokładnie przeczytała umowę kredytową? Mam ją właśnie przed sobą. Zgodziła się pani na dwie spłaty w miesiącu, czyli co dwa tygodnie.

- Nigdy nie słyszałam o podobnych praktykach, to musi być nielegalne.

- To jest jak najbardziej legalne. Jesteśmy prywatną firmą, nie bankiem. O ile sobie dobrze przypominam, szczegółowo omówiłam z panią warunki kredytu i system spłat, a pani dobrowolnie podpisała te dokumenty.

- Ale ja nie pamiętam, żeby pani mi mówiła o tych dwóch ratach w miesiącu. Może pani się myli.

- Ja nigdy się nie mylę, pani Randall. Mam tu przed sobą pani podpis. Przykro mi, jeśli pani nie zrozumiała zasad, na jakich działają takie firmy jak nasza.

- Ale...

- Ponieważ rata nie wpłynęła do nas w terminie, ma pani trzydzieści dni na spłatę całego kredytu oraz odsetek. W przeciwnym wypadku straci pani zabezpieczenie, czyli dom i ziemię.

- Trzydzieści dni? To jakiś absurd! Zdawała sobie sprawę, że nigdy nie sprosta tym wymogom. Nie zgromadzi takiej dużej sumy pieniędzy w tak krótkim czasie. Do diabła, gdyby miała tyle pieniędzy, nie potrzebowałyby pożyczki.

- Przykro mi, pani Randall, nie mogę nic zrobić. Pan Pickens na pewno wszystko pani dokładnie wyjaśnił. Jest świetnie zorientowany, zna zasady, na jakich działamy.

Beth odruchowo pokiwała głową. Tak, Pickens rzeczywiście ją ostrzegął.

- Ale ja już wydałam te pieniądze. Muszę mieć więcej czasu na spłatę zadłużenia. - Na przykład do końca życia, pomyślała ponuro.

- Przykro mi - powtórzyła po raz kolejny pani Logan, choć sądząc po tonie jej głosu, nie było jej ani trochę przykro. - Ma pani trzydzieści dni na spłatę, W przeciwnym wypadku do akcji wkracza komornik.

Beth poczuła, że dzwoni jej w uszach, Potem zrobiło jej się ciemno przed oczami i opadła bezwładnie na podłogę.

Kiedy otworzyła oczy, leżała w saloniku na parterze. Obie ciotki z zatroskanymi minami pochylały się nad nią, wymieniając szeptem gorączkowe uwagi. Jakim cudem dały radę przenieść ją do salonu i położyć na kanapę?

- Co się stało? - spytała, a potem nagle wszystko sobie przypomniała. Zaczęła szlochać.

- Zemdlałaś, kochanie - powiedziała Ivy i poklepała ją po ręce. - Właśnie szliśmy do kuchni, kiedy zauważyliśmy, że leżysz na podłodze. Śmiertelnie nas wystraszyłaś. Mamy wezwać lekarza?

Beth potrząsnęła głową.

- Nie trzeba. Chyba że mógłby mi pożyczyć piętnaście tysięcy dolarów. - Opowiedziała im o liście z Tridentu i rozmowie z panią Logan. - Jestem kompletnie spłukana - oznajmiła na koniec.

- Teraz widzisz wszystko w czarnych kolorach, bo jesteś zdenerwowana - pocieszała ją Iris. Pogładziła Beth po policzku. - Nie martw się, znajdziemy jakieś wyjście z sytuacji. Wszystko będzie dobrze.

Beth usiadła gwałtownie.

- Doceniam, że próbujecie mnie pocieszyć, ale chyba nie rozumiecie powagi sytuacji. Nie mam tych pieniędzy, a to oznacza, że stracimy dom. Przez mnie wylądujemy wszystkie na ulicy - Beth znów wybuchnęła płaczem.

- Nie ma mowy - oświadczyła Iris z niezwykłą jak na nią determinacją. - Nie poddawaj się, Beth, walcz. Mamy w tym mieście wpływowych znajomych, mamy też trochę oszczędności. Zobaczysz, coś wymyślimy.

- Macie piętnaście tysięcy dolarów? A może znacie kogoś, kto dysponuje taką sumą i byłby skłonny ją pożyczyć?

- Cóż, nie - przyznała Iris. - Nie zapominaj jednak, że ludzie w tym mieście kochają zabytki tak samo jak my. Jestem pewna, że gdy Hilda Croft z towarzystwa historycznego usłyszy o naszych kłopotach...

- Nie zapominaj o burmistrzu - przerwała jej Ivy.
- No tak, możemy też liczyć na pomoc burmistrza Lindsaya.

Beth miała nadzieję, że ciotki wiedzą, o czym mówią. Teraz naprawdę potrzebowała rycerza na białym koniu, który wybawiłby ją z opresji. Najlepiej takiego, który dysponowałby sumą piętnastu tysięcy dolarów.

Wieczorem Beth zasiadła przed kominkiem, by jeszcze raz w spokoju przeanalizować swoją sytuację. Gdy zadzwonił telefon, odebrała po pierwszym sygnale. To był Brad. Słyszając jego głos, poczuła szybsze bicie serca.

- Co nowego? - zapytał.

- Kiepsko, a właściwie jeszcze gorzej. - Opowiedziała mu o swoich kłopotach.

- To cholerne łajdaki! - zdenerwował się. - Szkoda, że gdy dostałaś ten list, nie było mnie przy tobie. Już ja bym im powiedział, gdzie mogą go sobie wsadzić. - Usłyszał jej ciężkie westchnienie i dodał: - Jestem za daleko, by ci pomóc. Czuję się taki bezsilny,

- Wystarczy, że ze mną pogadasz. Od razu mi lepiej. Ale dosyć o moich kłopotach. Jak miewa się Stacy? A co u taty i Opal?

- Wszystko w porządku. Stacy zaczęła odliczać dni do Bożego Narodzenia, ja zresztą też. Chociaż oczywiście z zupełnie innych powodów - szepnął zmysłowym głosem. - To już niedługo. - Beth się roześmiała, a Brad mówił dalej: - Tata i Opal nie przyjadą. Wciąż szukają domu.

- Myślałam, że dobrze wam się razem mieszka.

- Potrzebują odrobiny prywatności - wyjaśnił nieco urażonym tonem. - No wiesz, nic dziwnego, ostatecznie są świeżo po ślubie. Posłuchaj - zaczął zupełnie innym tonem - mogę pożyczyć ci te pieniądze. Spłacisz, kiedy będziesz mogła. Nie ma pośpiechu.

- To bardzo miłe z twojej strony, ale nie ma mowy. Wiem, że oszczędzasz na studia Stacy, nie tknę tych pieniędzy. Nie mogłabym. Nie martw się, jakoś sobie poradzę.

- Niedługo przyjadę. Razem pomyślimy, jak wybrnąć z kłopotu. Co dwie głowy, to nie jedna. Chcę ci pomóc.

- Doceniam to, naprawdę, ale sama się w to wpakowałam i sama z tego wybrnę. - Nigdy nie przyjęłaby od Brada pieniędzy, nawet gdyby to była kwestia życia i śmierci.

- Cóż, może zmienisz zdanie. Moja oferta jest nadal aktualna.

- Dziękuję. To bardzo wiele dla mnie znaczy.

- Kocham cię, Beth. Już nigdy nie chcę się z tobą rozstawać.

- Wiem.

Dlaczego była taka uparta? Dlaczego nigdy nie powiedziała mu tego, co tak bardzo chciał usłyszeć? Kochała tego wspaniałego mężczyznę, ale wciąż dręczyły ją obawy. Teraz, gdy jej życie jeszcze bardziej się skomplikowało, nie miała sumienia wciągać go w swoje sprawy. To byłoby nie w porządku.

- Wybacz zmianę tematu, ale czy odezwała się do ciebie przyjaciółka, która miała zbadać sprawę kości z twojej piwnicy?

Beth od razu poprawił się humor. Wreszcie mogła uraczyć Brada dobrymi wieściami.

- To już nieaktualne, Iris i Ivy wszystko mi wyjaśniły. - Streściła mu opowieść ciotek.

Brad roześmiał się głośno.

- Wyszędłem na niezłego idiotę, co?

- A ja na idiotkę.

- I pomyśleć, że ludzie przez pięćdziesiąt lat oczerniali takie urocze staruszki. Oskarżano je o zbrodnię, która nigdy nie miała miejsca.

- Ciotki były zadowolone z takiego stanu rzeczy. Uwielbiały gorszyć otoczenie, chciały uchodzić za skandalistki.

- Chciałbym poznać tego Johna Connora. Aż trudno uwierzyć, że to syn Iris.

- Nienawidzę go. To podła świnia!

- Beth, nie oceniaj go zbyt surowo. Może od dawna przeczuwał, że za bardzo różni się od przybranych rodziców. Adoptowane dzieci mają niezwykłą intuicję, są szczególnie wyczulone na tego typu sprawy. Jeśli na dodatek miał jeszcze nieszczęśliwe dzieciństwo, to trudno się dziwić, że wyrósł na niezbyt sympatycznego człowieka. Pomyśl, co byś czuła, gdybyś się dowiedziała, że rodzice cię adoptowali? Na pewno w pierwszym rzędzie gniew, bo przecież cię porzucili, oddali obcym ludziom.

- Jak sądzisz, czy on wie, że Iris jest jego matką? - spytała poważnie zaniepokojona.

- To całkiem prawdopodobne. Nie wierzę w takie dziwne zbiegi okoliczności. Według mnie niedawno poznał prawdę o swoim

pochodzeniu i przyjechał do Mediocrity, by poznać biologicznych rodziców.

- Iris już dość się wycierpiała. Martwię się o nią. Zżera ją poczucie winy.

- Iris jest silna. Z podniesionym czołem znosi wszystkie przeciwności losu. Poradzi sobie z agresywnym synem.

- Obyś miał rację. Nie pozwolę Connorowi skrzywdzić mojej ciotki, a ja też potrafię być bezwzględna. Zwłaszcza gdy chodzi o dobro bliskich mi osób.

Następnego dnia Lori od rana krzątała się w kuchni. Właśnie wyjmowała z piekarnika kolejną blachę świątecznych ciasteczek, gdy usłyszała, że ktoś wchodzi do domu. Pewnie to Beth, pomyślała. Przecież musimy jeszcze ustalić świąteczne menu.

- Beth, zaraz do ciebie przyjdę - zawołała przez ramię. - Postawiła blachę na blacie i odwróciła się. Na chwilę zastygła w niemym przerażeniu. Stał przed nią Bill Thackery, mężczyzna, którego nie chciała już nigdy widzieć na oczy.

Uśmiechał się szeroko, a był to naprawdę paskudny uśmiech.

- Cześć, Lori - powitał ją. - Sądząc po twojej zaskoczonej minie, nie spodziewałaś się mnie.

Wpadła w panikę. Cholera, dlaczego to dzieje się właśnie teraz?

- Co ty tu robisz, Bill?

Bill nigdy nie brał wolnego przed świętami. Nikomu nie ufał, był niczym generał dowodzący dobrze wyszkoloną armią. Wymagał od podwładnych absolutnego posłuchu. To był jeden z powodów, dlaczego od niego uciekła.

- Po co pytasz? Przecież dobrze znasz odpowiedź. - Wszedł do środka, zdjął kurtkę, rozsiadł się na krześle. Zachowywał się, jakby był u siebie. - Chętnie napiłbym się kawy. - Nie czekając na odpowiedź, sam sprawnie się obsłużył.

- Nie krępuj się - mruknęła Lori, nie kryjąc sarkazmu. - Pewnie przyjechałeś po swoje przepisy i noże?

- Owszem, należą do mnie, chyba nie zaprzeczysz? Jednak przyjechałem tu z zupełnie innego powodu. - Ani na chwilę nie spuszczał jej z oczu. - Lori, świetnie nam się razem pracowało. Byliśmy zgraną drużyną. Chcę, żebyś do mnie wróciła.

Nie mogła uwierzyć własnym uszom. Bill nigdy nikogo nie potrzebował, na nikim mu nie zależało.

- Ja już nie chcę dla ciebie pracować - odparła, siląc się na spokój. - Muszę się usamodzielnic, budować własną karierę. Na pewno mnie rozumiesz

- To rozumiem, ale nie mogę pojąć, dlaczego odeszłaś bez słowa wyjaśnienia. Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi. Na dodatek mnie okradłaś.

Nie mogła wyznać mu prawdy. Gdyby powiedziała, że ją przytłaczał, traktował jak skończoną idiotkę, że podcinał jej skrzydła i wątpił w jej talent, roześmiałyby się jej prosto w twarz. Bill nie przyjmował tego typu wyjaśnień do wiadomości.

- Przyznaję, zachowałam się nieodpowiedzialnie i głupio. Jednak uznałam, że coś mi się od ciebie należy za te lata ciężkiej harówki. Dlatego zabrałam przepisy. Zresztą były również moim dziełem, większość z nich opracowaliśmy wspólnie. Pamiętasz?

- A dlaczego zabrałaś noże?

- Z zemsty. Wiedziałam, jak bardzo je lubisz. Chciałam cię wkurzyć.

- Wkurzyć mnie? Aż tak bardzo mnie nienawidzisz? Nie wierzę.

- Szczerze? Tak. Nigdy mnie nie doceniałeś, nigdy nawet nie pochwaliłeś.

- Podoba ci się w nowym miejscu pracy?

- Bardzo - odparła z entuzjazmem. - Mam pełną kontrolę nad kuchnią i jadłospisem. Oczywiście konsultuję moje pomysły z właścicielką pensjonatu, ale nadajemy na tych samych falach.

- Miło mi to słyszeć.

- Jak mnie znalazłeś? - spytała, chociaż prawdę mówiąc, znała odpowiedź na to pytanie.

- „Inquier” zamieścił artykuł na temat tego pensjonatu. Przecież wiesz, że regularnie czytam tę gazetę. W Filadelfii zrobił się niezły szum.

- Powiem o tym Beth, na pewno się ucieszy.

- Czy będzie równie szczęśliwa, gdy dowie się, że zatrudniła złodziejkę? To kiepska reklama dla pensjonatu.

- Ty draniu! - Jej oczy zapłonęły gniewem. - Nawet ty nie możesz być aż taki podły. - Owszem, mógł, dobrze o tym wiedziała. - Nie pozwolę ci zniszczyć Beth. Ciężko zapracowała na sukces.

- No to wróć do Filadelfii. Jestem skłonny o wszystkim zapomnieć. Co więcej, zrobimy z tego wielką fetę. No wiesz, słynna kucharka wraca na stare śmieci...

- Nie możemy razem pracować, dobrze o tym wiesz. Oboje chcemy rządzić, oboje jesteśmy uparci. Pamiętasz, jak kłóciliśmy się o każdy drobiazg? Nie chcę powtórki z rozrywki.

Wstał, podszedł do niej i delikatnie pogładził ją po policzku. Zaskoczył ją tym gestem. Nigdy przedtem jej nie dotykał. Nie w ten sposób.

- Lubilem się z tobą kłócić. Było zabawnie. To dobry sposób na rozładowanie emocji. Zdolni ludzie pracujący w jednym zespole zawsze się kłócą. Taka jest kolej rzeczy. Zależy mi na tobie, nie chcę cię stracić.

- Bo jestem dobrą kucharką?

- Oczywiście, przecież to ja wszystkiego cię nauczyłem, pamiętasz? Ale... są jeszcze inne powody. Ja... - Zmieszał się, odwrócił i po chwili ponownie zasiadł przy stole.

- Jakie inne powody?

Czyżby Bill czuł do niej coś więcej niż przyjaźń? Nie, to niemożliwe. Pracowali razem przez wiele lat, ale nigdy nawet nie rozmawiali o sprawach osobistych, łączyła ich jedynie praca:

A co ona czuła do niego? Hm, właściwie trudno powiedzieć.

- Dobrze nam się razem pracowało, po co to niszczyć? - Bill wzruszył ramionami. - Szkoda, że

jesteś taka uparta. Na pewno marzysz o tym, by wrócić do Filadelfii.

- Nie mogę wrócić. Myślałam, że zrozumiałeś.

- Nie wyjadę, dopóki nie zmienisz zdania.

- Zwariowałeś? Kto poprowadzi w tym czasie twoją restaurację?
Nie możesz tak po prostu wszystkiego rzucić. Zbliżają się święta, a wtedy jest najwięcej pracy. Chyba naprawdę postradałeś rozum.
Zwariowałeś.

- Może i zwariowałem, ale nie bardziej niż ty.

- Nie chcę dłużej pracować w twoim cieniu, Bill. Jestem niezależną kobietą. Mam prawo żyć, jak mi się podoba. Nie wyjadę stąd. Nie zawiodę zaufania ludzi, którzy tak dużo dla mnie zrobili. Uwierzyli we mnie, dali mi szansę, rozumiesz?

- A co to za życie oparte na kłamstwach i półprawdach?

- Nie okłamałam Beth. A mój talent mówi sam za siebie.

- Wyprostowałaś wreszcie kręgosłup, co? - Spojrzał na nią z uznaniem.

- O czym ty, do diabła, mówisz?

Wstał od stołu, podszedł do Lori i porwał ją w ramiona.

- O tym, że jesteś wspaniała, a ja bardzo za tobą tęsknię. -

Odwrócił się gwałtownie i wybiegł z kuchni.

Lori aż zamrugła ze zdziwienia. Po raz pierwszy przegrała słowną potyczkę z Billem, do tej pory to ona zawsze była górą.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Zgodnie z daną Beth obietnicą, Ivy i Iris Swindel zwróciły się o pomoc do Hildy Croft i burmistrza Lindsaya. Dwa dni później burmistrz zwołał zebranie mieszkańców, na którym miano szukać ratunku dla pensjonatu Beth.

Sala pękała w szwach. Beth siedziała w pierwszym rzędzie, między ciotkami. Ivy i Iris nieustannie podtrzymywały ją na duchu. Były jak kwoki pilnujące słabego kurczaka.

- Nie mogę uwierzyć, że tego dokonaliście - szepnęła do nich. - Jestem wam bardzo wdzięczna. Oby się udało.

- Przynajmniej nikt nigdy więcej nie nazwie nas starymi głupimi wiedźmami - oznajmiła Iris, czym sprowokowała siostrę do chichotu.

- Wiesz, Beth, przyjaźń jest cenniejsza od pieniędzy - rzuciła sentencjonalnie Ivy. - Jednak w obecnej sytuacji nie miałabym nic przeciwko wygranej na loterii. - Zerknęła ukradkiem na siostrzenicę.

Lilly Reynolds, urzędniczka z ratusza, rozpoczęła zebranie.

- Proszę wszystkich o uwagę. Rozpoczynamy posiedzenie Rady d/s Ochrony Zabytków miasta Mediocrity. Przewodniczy pan burmistrz Frank Lindsay.

Burmistrz wszedł na podium, najpierw sprawdził działanie mikrofonu, a potem rozpoczął przemówienie:

- Zwołałem to zebranie, bo jeden z najcenniejszych zabytków naszego miasta znalazł się w poważnym niebezpieczeństwie. Jeśli przejmą go deweloperzy, zbudują na tym terenie kolejne paskudne

osiedle dla nowobogackich. Nie możemy do tego dopuścić. Szkoda, że nie zajęliśmy się tym problemem o wiele wcześniej. Dawno powinniśmy nadać domowi sióstr Swindel status chronionego prawem zabytku.

Sala odpowiedziała głośnymi pomrukami aprobaty, nagle ktoś zawołał:

- Cholerne sępy!

Beth odwróciła się, by sprawdzić, kto krzyknął, i aż zamarła, ujrzała bowiem Johna Connora we własnej osobie. Chętnie starłaby mu z twarzy ten arogancki uśmiezek. Cholerny pasożyt! - pomyślała. Postanowiła nic nie mówić ciotkom. Iris mogłaby się zdenerwować, a i tak miały wystarczająco dużo kłopotów.

- Jeśli chcemy uratować pensjonat, musimy zgromadzić odpowiednie fundusze. Potrzeba piętnaście tysięcy dolarów - wyjaśnił burmistrz.

- Niestety całą sumę należy wpłacić w ciągu trzydziestu dni. Czy ktoś ma jakiś pomysł?

- Widząc, że mężczyzna siedzący z tyłu sali wstał z krzesła, zachęcił go: - Śmiało, proszę mówić.

- Nazywam się Aubrey Fontaine, chociaż niektórzy znają mnie jako Johna Connora.

Iris westchnęła głośno. Beth natychmiast ujęła ją za rękę. Chciała dodać ciotce otuchy.

- Jestem prezesem i właścicielem Tridentu - oznajmił Aubrey Fontaine.

- O mój Boże! - krzyknęła Beth, czując, że zbiera jej się na mdłości.

- Jestem zainteresowany tym terenem, bo rzeczywiście zamierzam wybudować tam luksusowe osiedle.

- Po moim trupie!

- Ivy, usiądź. - Iris pociągnęła siostrę za sweter. - Nie rób z siebie pośmiewiska.

- Jak już wspomniałem, nie przedłużę pani Randall terminu płatności. Albo zapłaci, albo przejmuję pensjonat. Tak stanowi umowa, którą pani Randall dobrowolnie podpisała.

- Ty łajdaku! - krzyknął ktoś z sali, a wielu obecnych pokiwało głowami.

- Zapewniam, że moja firma działa na legalnych zasadach. Moje plany inwestycyjne przyczynią się do rozwoju miasta. Mediocrity stanie się ważnym ośrodkiem turystycznym. Wszyscy na tym skorzystacie.

Gdy Aubrey usiadł, w sali rozległy się niepochlebne komentarze.

Głos zajął ponownie burmistrz:

- Możemy zorganizować kilka zbiórek. Czy ktoś ma jeszcze jakieś pomysły?

Ivy podniosła się z krzesła.

- Jak zapewne wiecie, jestem przewodniczącą klubu Czerwony Kapelusz i Róże. W przyszłym tygodniu urządzamy kiermasz ciast. Fern Reynolds upiecze swoje słynne tarty orzechowe, Iris zrobi ciasteczka kokosowe. Wszystkie pieniądze zarobione na kiermaszu przeznaczymy na ratowanie pensjonatu.

Jako następny wstał Max Greeley.

- Ja i Margie przeznaczamy na ten cel pieniądze, które wpłyną do nas od dwudziestu klientów. Zachęcam panie i panów do odwiedzenia naszego salonu fryzjerskiego.

- A co z łysymi facetami? - spytał aptekarz Roger Owens, wywołując salwy śmiechu.

- Mogę zaproponować masaż lub manikiur. Do wyboru.

Padalo coraz więcej pomysłów, protokółantka ledwie nadążała z ich zapisywaniem.

Wzruszona tak licznymi dowodami przyjaźni i życzliwości, Beth z trudem zachowywała spokój. Najchętniej uściskałaby tych wszystkich wspaniałych ludzi. Z trudem powstrzymywała się od płaczu. Jednak gdy do sali wszedł Brad, dała upust uczuciom. Gorące łzy popłynęły po jej pobladłych policzkach, gardło ścisnęło się boleśnie.

Ciotki entuzjastycznie powitały Brada i natychmiast zrobiły mu miejsce obok Beth.

- Co ty tu robisz? - spytała go Beth cicho.

- Jeszcze wczoraj wieczorem rozmawialiśmy przez telefon.

- Wszystko ci później wyjaśnię. - Uścisnął jej dłoń. - Będzie dobrze, zaufaj mi.

- Ale...

Brad wstał i zaczął mówić. Głośno i wyraźnie.

- Nazywam się Bradley Donovan. Jestem lekarzem praktykującym w Charlottesville, w stanie Wirginia. Miałem szczęście

mieszkać dość długo w pensjonacie prowadzonym przez Beth. Dobrze poznałem zarówno ją, jak i jej urocze ciotki.

- Słyszając komplement, Ivy i Iris zachichotały jak podlotki. - Jestem wzruszony, że tak wielu z was chce poświęcić swój czas i pieniądze dla ratowania domu sióstr Swindel. Beth włożyła w remont tego domu wiele serca i pracy. Stworzyła miejsce, w którym goście czują się jak u siebie. Dlatego niniejszym inicjuję powszechną zbiórkę pieniędzy. Przeznaczam na ten cel tysiąc dolarów.

- Brad - szepnęła oszołomiona Beth i złapała się za gardło.

- Mam nadzieję, że pozostali pójdą w moje ślady - kontynuował przemowę Brad. - Od jutra będę osobiście zbierał pieniądze. Odwiedzę każdy dom w mieście.

W sali wybuchła wrzawa, a Beth na chwilę zastygła z otwartymi ustami. Potem zakryła twarz i zaczęła szlochać. Czym sobie zasłużyła na tyle życzliwości?

Brad objął ją i szepnął:

- Skopiemy temu łajdakowi tyłek. Zobaczysz. - Widząc zaszokowaną minę Iris, dodał: - Przepraszam, Iris. To była tylko taka przerośnia.

- Proszę się mną nie przejmować, doktorze Donovan. Proszę zaopiekować się Beth i dopilnować, by wieczorem dotarła bezpiecznie do domu. Ja mam do załatwienia bardzo pilną sprawę. Muszę uciąć sobie z kimś małą pogawędkę.

- Ciociu Iris, daj spokój. On potrafi być bezwzględny. Nie puszcze cię samej.

- A tam. - Iris machnięciem ręki zbyła obiekcje Beth. - Wiele w życiu przeszłam, nie boję się

Aubreya Fontaine'a. Radziłam sobie z silniejszymi od niego. Wrócę do domu najszybciej, jak się da, ale nie czekajcie na mnie.

- Czy chcesz, żebym ci towarzyszyła? - spytała Ivy, nie kryjąc obaw, zarazem jednak była pełna podziwu dla odwagi siostry. - Nie sądzę, byś...

- Nie. - Iris zdecydowanie potrząsnęła głową. - Tę sprawę muszę załatwić sama.

Gdy Iris kilka minut później wchodziła do hotelu „Excelsior”, aż trzęsła się ze zdenerwowania. Nie miała pojęcia, czy zastanie Aubreya Fontaine'a w pokoju, ale była zdecydowana czekać choćby całą noc. Musiała z nim porozmawiać, wytłumaczyć mu, dlaczego oddała go do adopcji. Niewykluczone, że jej nie zrozumie, ale zawsze warto spróbować.

Aubrey chciał się na niej zemścić, nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Nie zamierzała jednak dopuścić, by przy okazji skrzywdził Beth. Ta dziewczyna w niczym mu nie zawiniła. Harowała jak wół, miała serce na dłoni. Gdyby teraz straciła dorobek całego życia, byłaby to wołająca o pomstę do nieba niesprawiedliwość.

W recepcji siedział jej były uczeń George Worman. Chwilę z nim porozmawiała, a potem spytała, czy Aubrey Fontaine jest w pokoju.

- Tak, pani Swindel, ale nie mogę pani podać numeru, to byłoby sprzeczne z zasadami obowiązującymi w naszym hotelu. Chyba że pan Fontaine wyraziłby na to zgodę.

- Posłuchaj, George. Znam cię od dziecka. Pamiętam, jak przykleiłeś gumę do zucia do włosów koleżanki. Pamiętam, jak podpaliłeś śmieci w łazience dla chłopców. Nie chcę słuchać żadnych wykrętnych wyjaśnień. Po prostu podaj mi numer tego pokoju. Nie zamierzam zamordować pana Fontaine'a, chcę mu zrobić niespodziankę.

- Tak, proszę pani - szepnął posłusznie George, chociaż był już mężczyzną w sile wieku o skroniach przyprószonych siwizną.

Gdy podał jej numer pokoju, Iris z uznaniem skinęła głową.

- Dziękuję ci, George. Miło widzieć, że przez te wszystkie lata przybyło ci rozumu - pochwaliła go. - A jeszcze przed chwilą miałam co do tego wątpliwości.

- Tak, proszę pani. Bardzo dziękuję - wyjąkał. Zmierzając w stronę schodów, Iris uśmiechnęła się triumfalnie. Nieczęsto miała okazję odegrać rolę srogiej nauczycielki, a szkoda. Zawsze świetnie się przy tym bawiła, zwłaszcza gdy miała do czynienia z kimś takim jak George. Było z niego niezłe ziółko. Na pewno przybyło jej przez niego co najmniej kilka siwych włosów.

Gdy dotarła pod właściwe drzwi, na chwilę przystanąła i odetchnęła głęboko. Aubrey Fontaine'a z pewnością nie będzie zachwycony jej widokiem, ale czyż mogła go za to winić?

- Jest tylko jeden sposób, by się o tym przekonać - szepnęła do siebie i zapukała lekko.

Chwilę później dobiegł ją gniewny głos:

- Kto tam? Nic nie zamawiałem. Jestem bardzo zajęty, proszę odejść.

- Aubrey, to nie obsługa hotelowa, tylko Iris Swindel. Muszę z tobą porozmawiać.

Drzwi uchyliły się i po chwili ukazał się w nich ubrany w biały szlafrok Aubrey Fonaine. Widząc Iris, zamrugął ze zdziwienia,

- Właśnie zamierzałem się wykapać. Przepraszam za mój strój, ale nie spodziewałem się gości.

- Czy mogę wejść? Nie zabawię zbyt długo. Zaprosił ją do salonu, wskazał miejsce na sofie.

- Napije się pani kawy albo herbaty?

- Nie, dziękuję - odparła, ale w duchu ucieszyła się, że przynajmniej jest dobrze wychowany i zachowuje się bez zarzutu.

- A zatem co mogę dla pani zrobić, pani Swindel? Czyżby zmieniła pani zdanie w sprawie sprzedaży pensjonatu? Niestety, zbyt długo pani zwlekała. Moja oferta jest już nieaktualna. Sama pani rozumie, że wkrótce i tak stanę się właścicielem tej posiadłości.

Iris potrząsnęła głową.

- Tak, zdaję sobie z tego sprawę. Aubrey, oboje wiemy, po co tu przyszłam. Wystarczyło mi jedno spojrzenie, bym cię rozpoznała. Jesteś bardzo podobny do ojca.

- Mój ojciec nie żyje - odparł opryskliwie, ale widać było, że czuje się nieswojo.

- To prawda.

- Mówiłem o moim przybranym ojcu.

- Przykro mi, szczerze ci współczuję. Twój biologiczny ojciec również nie żyje, Lyle McMurtry zmarł wiele lat temu.

- A cóż mnie to może obchodzić?

- Obchodzi cię. Dobrze wiesz, że to ja jestem twoją biologiczną matką. Miałam bardzo poważne powody, by oddać cię do adopcji. Na pewno często się nad tym zastanawiałeś.

- Szczerze mówiąc, nie, bo dopiero niedawno dowiedziałem się, że jestem adoptowany. Po śmierci matki znalazłem w jej papierach moją metrykę urodzenia i kilka pożółkłych wycinków ze starych gazet. Rodzice nigdy ze mną o tym nie rozmawiali.

Iris poczuła ukłucie w sercu. Cierpiała, patrząc na cierpienie syna.

- Przykro mi, że nigdy nie wyznali ci prawdy. To odkrycie musiało tobą wstrząsnąć.

- Nie byłem rozgoryczony ani zdenerwowany, raczej zaszokowany. Cóż, to wiele wyjaśniało. Nagle zrozumiałem, dlaczego matka traktowała mnie z dystansem, prawie nigdy nie okazywała mi czułości. Wątpię, czy w ogóle mnie kochała. Prawdopodobnie to mój ojciec marzył o posiadaniu dziecka.

- Na pewno cię kochała. - Westchnęła ciężko. Chciała się skupić na rozmowie, ale wyrzuty sumienia przeszkadzały jej zebrać myśli. - Po prostu ludzie okazują uczucia w bardzo różny sposób.

Dopilnowała, byś po jej śmierci poznał prawdę o swoim pochodzeniu.

- Dlaczego mnie oddałaś? - Nawet nie próbował ukryć cierpienia.

- Aubrey, bardzo chciałam cię zatrzymać. Jednak byłeś nieślubnym dzieckiem. Twój ojciec Lyle porzucił mnie tuż przed ślubem. Moi rodzice długo wmawiali mi, że nie poradzę sobie jako samotna matka. Prosiłam ich, błagałam, ale byli bardzo

konserwatywni i obawiali się skandalu. Zaproponowałam nawet, że przeprowadzę się do innego miasta, by nie musieli się za mnie wstydzić, ale nie chcieli słuchać.

Zmarszczył brwi, zamyślił się.

- To było okrutne - stwierdził.

- Mój ojciec był pastorem, kierował się w życiu surowymi zasadami. Dla niego wszystko było albo białe, albo czarne. Nie istniały żadne pośrednie odcienie. Na pewno uważał, że tak będzie dla mnie najlepiej. Nie rozumiał, jak bardzo mnie rani. Gdy się urodziłam, nawet nie pozwolili mi na ciebie spojrzeć. Natychmiast cię zabrali. Nie spodziewałam się, że kiedykolwiek cię zobaczę. - Może tak byłoby lepiej? - pomyślała. Co z tego, że odnalazła syna, skoro czuł do niej jedynie nienawiść? Niewiele mogła zrobić, by to zmienić.

- Przyszłaś tu, żeby się wytłumaczyć, tak? Cóż, niepotrzebna fatyga. Takie sprawy nie mają dla mnie żadnego znaczenia. Nie jestem sentymentalny, wręcz przeciwnie, uważam uczucia za przejaw słabości. Zresztą po co rozgrzebywać stare dzieje. Co się stało, to się nie odstanie. Nienawidzę, gdy ludzie płaczą nad rozlanym mlekiem.

- Wyobrażam sobie, co o mnie myślisz, i wcale mnie to nie dziwi. Jednak chciałam cię prosić, byś nie przelewał swojej złości i swojego rozgoryczenia na moją siostrzenicę. Ona w niczym nie zawiniła, nigdy cię nie skrzywdziła. Dopóki się nie pojawiłaś, nie miała pojęcia o twoim istnieniu. Dopiero wówczas wyznałam jej prawdę.

Uśmiech, który pojawił się na jego twarzy, zatrzymał się na wysokości ust, nie sięgnął oczu.

- A więc o to chodzi, o twoją ukochaną siostrzenicę.

Powinienem od razu się domyślić. Coś ci powiem. W interesach kieruję się wyłącznie rozsądkiem, nie pozwalam, by emocje mąciły mi osąd. Nie kupuję twojego domu z chęci zemsty, to po prostu dobra inwestycja. Zarobię na tym projekcie mnóstwo pieniędzy. Tak to już jest w życiu. Silniejsi pożerają słabszych.

- Nie rozumiesz, że może być inaczej? Zmień warunki umowy, nie niszc Beth. Poradzi sobie, jeśli przesuniesz termin spłaty kredytu.

- Nie dbam o pieniądze, chcę mieć ten dom. Siedzisz na kurze znoszącej złote jajka i nawet o tym nie wiesz.

- Jesteś taki podobny do ojca. - Iris westchnęła ciężko. - Niestety odziedziczyłeś po nim również wiele paskudnych cech charakteru. Był potwornym egoistą, zupełnie jak ty. Kochałam go do szaleństwa, a on zrujnował mi życie. Pozbawił mnie miłości, dziecka, szans na szczęście. Zawsze myślał tylko o sobie, realizował wyłącznie swoje marzenia. - Dlaczego tak długo nie umiała tego przyznać? Płakała po mężczyźnie, który tak naprawdę był samolubnym łajdakiem. - Nie pozwolę ci krzywdzić ludzi, Aubrey. Zrobię wszystko, by chronić moją rodzinę.

- Mamo, czy ty mi grozisz? - spytał kpiąco.

- Tak, synku - odparła takim samym tonem.

- Popemiasz wielki błąd. Kaczka jest stanowczo za droga. Lepiej wziąć kurczaka albo kurę.

Lori spojrzała wrogo na Billa, który uparł się, że jej pomoże, chociaż wcale go o to nie prosiła. Przygotowywali menu na bardzo wykwinłą kolację, która miała się odbyć w najbliższą sobotę.

Wykwintna znaczyła również droga, bo średnia cena jednego dania wahała się w granicach dwustu dolarów.

- W tej kuchni to ja jestem szefem i ja podejmuję decyzję.

Będzie kaczką. - Lori nie zamierzała słuchać jego rad.

- Posłuchaj, Lori...

- Nie, to ty posłuchaj. Bez przerwy próbujesz narzucić mi swoją opinię, do wszystkiego się wtrącasz. Właśnie dlatego nie możemy razem pracować.

- Dobra, dobra. - Uniósł ręce w geście poddania. - Rób, jak uważasz. Niech będzie kaczką.

Uśmiechnęła się ukradkiem, zdumiona tak łatwym zwycięstwem. Hm, to coś nowego...

- A zatem kaczką. Do tego podamy sos wiśniowy i dziki ryż.

- Albo risotto.

- Albo risotto... - Westchnęła ciężko. Dlaczego zgodziła się pracować z tym okropnym facetem? On nigdy się nie zmieni.

Beth weszła do kuchni i skrzywiła się lekko na widok Lori i Billa, którzy chyba byli w trakcie kolejnej kłótni. I tak to już trwało od tygodnia, od kiedy Bill Thackery pojawił się niespodziewanie w jej pensjonacie.

- Wszystko gotowe na sobotnią galę? - spytała, na co Lori zareagowała nieco spłoszonym spojrzeniem.

- Właśnie ustalamy z Billem ostatnie szczegóły. Chcemy, by wszystko przebiegało bez zgrzytów - odparła Lori.

- Panie Thackery, doceniam pańską pomoc. Lori wiele mi o panu opowiadała. Jestem zaszczycona, że taka sława zgodziła się dla nas gotować.

- Proszę mówić mi po imieniu. - Uśmiechnął się, mile polechtany jej komplementem. - Pomagam Lori tylko dlatego, by zostać tu dłużej. Lubię myśleć, że ona mnie potrzebuje, chociaż jest zupełnie inaczej. Poradziłaby sobie świetnie bez mojej pomocy, jest wspaniałą kucharką i dobrym szefem kuchni.

Lori zaczerwieniła się. Bill nie zwykł obsypywać ludzi komplementami, ale już od tygodnia nie szczędził jej pochwał. Teraz, kiedy to ona rządziła w kuchni, ich współpraca przebiegała o wiele lepiej. A w tych rzadkich momentach, kiedy się nie kłócili, jego towarzystwo sprawiało jej przyjemność. Miał poczucie humoru i mnóstwo innych, równie sympatycznych cech, których wcześniej nie zauważyła. Teraz wydawał się jej znacznie miłszy i spokojniejszy. Może dlatego, że trochę odpoczął od codziennej dawki stresu, jakiej dostarczało kierowanie znaną restauracją w Filadelfii.

- A jak Brad sobie radzi ze zbieraniem funduszy? - zainteresowała się Lori.

- Wspaniale. Jest niesamowity, już zebrał od ludzi ponad dwa tysiące dolarów, no i jego tysiąc, czyli razem trzy.

- To rzeczywiście robi wrażenie. A ile macie w sumie?

- Zaraz, muszę policzyć. Ciocie zarobiły na kiermaszu ciast prawie tysiąc dolarów. - Beth męczyły z tego powodu wyrzuty sumienia, bo była niemal pewna, że starsze panie dość natarczywie zmuszały wszystkich do kupna ciasta. - Max i Margie z salonu

fryzjerskiego dali pięćset, no i dostaliśmy pięć tysięcy od towarzystwa historycznego.

Nawet Ellen, która właśnie wróciła z wyjątkowo długich wakacji, przesłała Beth czek na tysiąc dolarów i liścik ze słowami otuchy. Udało jej się też oddać kość z piwnicy Beth do zbadania. Potwierdzono, że nie należała do człowieka.

- Mam nadzieję, że wpływy z sobotniej gali będą duże. - Oby, dodała w myślach, bo naprawdę już nie miała więcej pomysłów.

- Wspaniale - ucieszył się Bill. - Szczęściara z ciebie. Masz naprawdę oddanych przyjaciół. Niestety zazwyczaj doceniamy ich, dopiero kiedy ich tracimy. - Zerknął na Lori, która po raz kolejny tego dnia spłonęła rumieńcem.

- Tak - odparła Beth. - Tak wiele osób mi pomogło zupełnie bezinteresownie. Jestem wzruszona. Czuję się jak George Bailey z filmu „Cudowne życie”. Bez przerwy powtarzał, że ten, kto ma przyjaciół, nigdy nie przegrywa. Pamiętasz to powiedzonko?

- Jasne - uśmiechnął się Bill. - To mój ulubiony film.

- Mój też - przyznała Lori, a wtedy Bill mrugnął do niej porozumiewawczo.

- No, nareszcie jesteście zgodni. Zawsze to jakiś postęp - stwierdziła Beth nieco ironicznie.

W sobotę wieczór, już po uroczystej kolacji, Beth i Brad siedzieli w saloniku Beth i liczyli pieniądze.

Po odliczeniu poniesionych wydatków - na wino, jedzenie i obsługę - zarobili około trzech tysięcy dolarów. Ciągle za mało.

- Nie wystarczy - westchnęła ciężko. - Nadal brakuje mi dwóch tysięcy.

- Dam ci te pieniądze, tylko przestań się zamartwiać. Zgoda?

To była kusząca propozycja, ale Beth nie mogła jej przyjąć.

- I tak dałeś mi już tysiąc dolarów. Więcej od ciebie nie wezmę. Coś wymyślę.

- Czy już się skarżyłem, że jest pani, pani Randall, stanowczo zbyt upartą kobietą?

- Raz lub dwa, panie Donovan.

- A czy wspominałem, że bardzo panią kocham?

- Raz lub dwa.

Pocałował ją żarliwie, a potem powiedział:

- To tak na wszelki wypadek, żebyś o mnie nie zapomniała.

- Bradleyu Donovanie, jesteś cudownym mężczyzną. Jakie to szczęście, że pojawiłeś się w moim życiu.

- To co, wyjdiesz za mnie?

Tak bardzo chciała się zgodzić, ale nie mogła. Miała do spłacenia kilka pożyczek i kilka rodzinnych spraw do wyjaśnienia.

- Proszę cię, nie naciskaj. Teraz nie mam do tego głowy. W przyszłym tygodniu przyjeżdża moja matka. Uporządkowała już wszystkie sprawy w Kalifornii, jest gotowa do przeprowadzki. Nie mówiłam jej o tym okropnym kredycie. Nie miałam siły słuchać kazania o moim braku odpowiedzialności.

- A właśnie z nią powinnaś o tym pogadać. Na pewno udzieliłaby ci kilku cennych rad. Po pierwsze pracowała w banku. A

po drugie, skoro sprzedała dom w Kalifornii, na pewno ma sporo gotówki

- No tak, masz rację.

- Wiesz co, mam świetny pomysł. Weźmy butelkę dobrego wina i chodźmy do mojego pokoju. Postaram się, żebyś zapomniała o wszystkich kłopotach.

- To ty jesteś lekarzem i na pewno znasz najlepsze lekarstwo na kłopoty.

RS

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Pozostał tydzień do spłaty kredytu. Jeżeli Beth nie zgromadzi potrzebnej sumy, straci pensjonat.

Szła powoli brzegiem stawu. Niemal czuła na ramionach ciężar swojej głupoty. Zimny wiatr owiewał jej policzki, oczy jej łzawiły.

Nie powinna brać tego kredytu, to było istne szaleństwo. A jeżeli straci pensjonat? Po raz kolejny zachowała się wyjątkowo głupio i nieodpowiedzialnie. Jeżeli nie wybrnie z kłopotu, ucierpią na tym ciotki, a także jej związek z Bradem.

Nie miała wyjścia, musiała poprosić o pomoc matkę. Trzeba zapomnieć o dumie, bo tym wzniosłym uczuciem jeszcze nikt się nie najadł.

- Beth! Beth! Wszędzie cię szukam. Tata prosił, żebyś przysłała do saloniku na parterze.

Pomachała do Stacy, która przyjechała wczoraj z dziadkami. Ku swemu zdumieniu Beth ucieszyła się na jej widok. To dziwne, ale naprawdę stęskniła się za pyską nastolatką, która zadawała mnóstwo nietaktownych, wścibskich pytań. Ciotki też ucieszyły się z przyjazdu Stacy, no ale one od dawna świetnie się z nią dogadywały.

- Zaraz przyjdę - krzyknęła.

Boże, co się znowu stało? - pomyślała z przestraczem. Kolejna katastrofa? Nie, więcej już nie wytrzymam, uznała. Ciotki utrzymywały, że Bóg doświadcza ludzi, zsyłając na nich tylko takie

nieszczęścia, które są w stanie znieść. Cóż, widać Beth właśnie zdawała taki test, szkoda tylko, że nie знаła wyników.

- Dobra, powiem im - obiecała Stacy i pobiegła do domu.

Beth zmarszczyła brwi. Jakim „im”? Aktualnie w pensjonacie mieszkali Bill Thackery, Brad i Stacy, a także starsi państwo Donovan, którzy zdecydowali się na przyjazd w ostatniej chwili, bo pierwotnie planowali zostać na święta w Wirginii. No i była jeszcze matka Beth. Nic dziwnego, że prawie wszystkie pokoje były zajęte.

Na szczęście trzy pary odwołały wcześniejsze rezerwacje. W innej sytuacji byłaby niezadowolona, ale teraz nawet dobrze się składało. Dobrze, że była otoczona samymi znajomymi, bo jeśli się załamała lub wręcz zwariuje, nie tylko ją poratują, ale też udziela moralnego wsparcia.

Dokładnie wytarła buty w słomiankę i odwiesiła kurtkę. Przechodząc przez kuchnię, wzięła z talerza garść ciasteczek. W saloniku było tłoczno. Rodzina Donovanów w komplecie, Lori i Bill, ciocia Iris, Margaret. Zachowywali się, jakby uczestniczyli w ważnym zebraniu.

- Co się dzieje? - spytała, rzucając roześmianej Stacy imbirowe ciasteczko. Następne dostał Bill, który wcześniej wyciągnął rękę i spojrzał na Beth błagalnie.

- Mój syn opowiedział mi o twoich trudnościach, Beth - zaczął Robert. - Ja i Opal chętnie ci pomożemy. Odłożyliśmy trochę oszczędności i...

- Nie ma mowy, panie Donovan. - Zdecydowanie potrząsnęła głową. - Nie mogę.

- Ależ możesz - przekonywała ją Opal. - Przecież jesteśmy prawie rodziną, a rodzina musi trzymać się razem i wspierać w nieszczęściu. Jestem pewna, że twoja ciotka poprze mnie w tej kwestii.

Iris uśmiechnęła się konspiracyjnie i skinęła potakująco.

- To prawda, kochanie.

Beth, zaskoczona tym zwartym frontem, zerknęła na Brada, oczekując wyjaśnienia. Niestety ukochany mężczyzna milczał i szczyrzył zęby niczym hiena.

Robert podał Beth czek na pięćset dolarów.

- To niezbyt wiele - powiedział. - Ale może się przyda.

- Nawet bardzo. Dziękuję. Jestem wam niezmiernie wdzięczna.

Teraz do Beth podeszła Stacy.

- Tata powiedział, że masz kłopoty i możesz stracić pensjonat. Pozbierałam wszystkie drobniaka. To tylko dwadzieścia dolarów, ale chcę ci je dać.

- Och, Stacy, dziękuję. - Uściskała dziewczynkę. Poczula, że ma mokre policzki. - Nie wiem, co powiedzieć. Jestem taka wzruszona.

- Wiem - odparła dziewczynka, czym rozśmieszyła Beth.

Potem przyszła kolej na ciocię Iris. Z poważną miną wręczyła Beth kopertę.

- To sto dolarów od pana Pickensa. Prosił, by ci przekazać, że jest mu bardzo przykro, bo to on powiedział ci o tym złodziejskim kredycie. Na pewno dałby ci więcej, ale Finnola jest potwornie skąpa. Nigdy jej nie lubiłam.

Beth nie wierzyła własnym uszom. Ten oschły i nieco ponury bankier dał jej pieniądze? To chyba jakiś cud.

- No dobrze, teraz moja kolej - odezwała się Margaret. Wstała z kanapy i podeszła do Beth. - Złożyłam wizytę twojemu byłemu mężowi i jego żonie. Tak przy okazji, mieszkają w paskudnym domu ogrodzonym najwyższym płotem, jaki kiedykolwiek widziałam. Nieważne. Greg postanowił cię wesprzeć i przesyła czterysta dolarów.

- Greg Randall dał mi pieniądze? - Ja chyba śnię, pomyślała Beth. Były mąż lubił wydawać pieniądze, głównie na najlepszy i najdroższy sprzęt sportowy.

- Tak - odparła Margaret. - I wiesz, co się okazało? Kiedy się od ciebie wyprowadzał, zabrał wszystkie kosztowne zabawki, na przykład narty i kulę do gry w kregle, którymi cię obdarowywał. Nie dał ci za nie ani grosza, a przecież były twoje.

Beth wtedy nie protestowała, bo nigdy nie interesowała się sportem. Zapewne Greg obdarował tym sprzętem drugą żonę.

- I co? Postanowił mi to teraz wynagrodzić? Trochę trudno mi w to uwierzyć.

- Hm, powiedział, że chciałby naprawić stare błędy - odparła spokojnie Margaret.

Beth uściskała ją serdecznie.

- Mamo, kocham cię, Dziękuję. Po raz pierwszy w życiu brak mi słów.

Do saloniku weszła Ivy. Miała błyszczące oczy i oddychała szybko, jak po długim biegu.

- Poczekaj, zachowaj trochę podziękowań dla mnie. Zaraz powiem, co zrobiłam.

Beth aż bała się zapytać. Może dlatego, że Ivy miała minę zadowolonego z siebie kocura.

Aubrey stał w holu hotelowym i ze zdumieniem wpatrywał się w czek, który przed chwilą wręczyła mu Beth.

- Zaskoczyła mnie pani. Nie spodziewałem się, że pani da radę spłacić kredyt.

Brad uparł się, by towarzyszyć Beth. Widać uznał, że potrzebowała moralnego wsparcia. Stał teraz obok niej i trzymał ją za rękę.

- Mówiąc szczerze, panie Fontaine, ja też się tego nie spodziewałam. Jednak mieszkańcy tego miasta okazali się bardzo hojni. Postanowili uratować mój pensjonat. - Głównie przed pana zapędami niszczycielskimi, dodała w duchu. - Zebrali pokaźną sumę, ale wciąż trochę mi brakowała. Tę brakującą kwotę dostałam od ciotki Ivy. Sprzedała na aukcji internetowej swoją biżuterię. Dlatego z ulgą i radością pragnę pana poinformować, że pensjonat nadal pozostanie w rękach mojej rodziny.

Próbował zachować kamienną twarz, ale z miernym skutkiem. Był smutny, a Beth zrobiło się głupio, bo przecież nie szczędziła mu złośliwych komentarzy. Jednak nadal nie mogła uwierzyć, że ten zimny i zgorzkniały mężczyzna jest jej kuzynem.

- Skoro nie udało się panu zainwestować w Mediocrity, zapewne niedługo wróci pan do Filadelfii - zakończyła swoją długą przemowę.

- Jeszcze nie wiem. Spodobało mi się w tym miasteczku. Tutaj jest dużo ciekawych domów. Zapewne spróbuję kupić coś innego.

Oby nie, pomyślała natychmiast Beth. Marzyła, by Aubray Fontaine znalazł się jak najdalej od jej ciotki, chociaż, o ile jej było wiadomo, ciocia Iris marzyła o czymś wręcz przeciwnym. W jej sytuacji to zrozumiałe, chciała nawiązać bliższy kontakt z synem.

- W takim razie życzę panu dużo szczęścia w interesach, panie Fontaine. Moja ciotka prosiła, by panu przekazać, że ilekroć zawita pan do Mediocrity, chętnie udzieli panu gościny pod swoim dachem.

- Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę... Pani nie życzy sobie moich kontaktów z panią Swindel, prawda?

Brad ścisnął mocniej dłoń Beth.

- Ależ proszę ją odwiedzać. Jednak pod warunkiem, że pan jej nigdy nie skrzywdzi.

- Doceniam pani szczerłość. Jesteśmy kuzynami, chyba powinniśmy mówić sobie po imieniu.

- Cóż, jak mówi stare przysłowie: przyjaciół sobie wybieramy, rodzinę po prostu mamy. - Roześmiała się, a Aubrey poszedł w jej ślady. Jego śmiech przypominał skrzek, ale widać gardło nie nawykło jeszcze do takiego wysiłku.

- Wiesz, Beth, świetnie sobie radzisz w interesach. Na pewno odniesiesz sukces. Masz to coś, tak zwany pazur, ale to chyba po rodzinie ze strony Swindelów. Jesteś lepsza niż niejeden facet. Mało komu udało się mnie przechytrzyć. Gratulacje.

Musiała mu przyznać, że umiał przegrywać. Zaimponował jej.

- Urządzą sylwestrowe przyjęcie. Zapraszam wszystkich przyjaciół, by im się odwdzińczyć za pomoc i hojność. Ciocia Iris byłaby zachwycona, gdybyś przyszedł. Przy okazji poznałbyś rodzinę. Nie jesteśmy tacy źli, na jakich wyglądamy.

- Dziękuję. - Był wyraźnie wzruszony i uradowany. - O ile będę jeszcze w mieście, na pewno przyjdę.

Beth ruszyła do drzwi, ale nagle zatrzymała się i rzuciła przez ramię:

- Chyba rozumiesz, dlaczego Iris oddała cię do adopcji? To rodzice wymusili na niej tę decyzję, ona chciała cię zatrzymać. Ale wtedy były inne czasy. „Panna z dzieckiem” znaczyło tyle samo co „kobieta upadła”.

- Tak, rozumiem. Na początku nie chciałem słuchać jej wyjaśnień, ale później doceniłem jej odwagę. Była ze mną aż do bólu szczerą.

- Tak, to wspaniała kobieta.

- A ty jesteś do niej bardzo podobna.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

W sylwestrową noc wszyscy składają mnóstwo obietnic, ale już następnego dnia zupełnie o nich nie pamiętają.

Tegoroczny sylwester był jednym z najlepszych, jakie Beth kiedykolwiek przeżyła. Przyjęcie dla przyjaciół bardzo się udało. Przyszło prawie całe miasteczko, nawet Aubrey, który o dziwo szybko wtopił się w tłum.

Wszyscy pili szampana, zajadali się pysznymi potrawami, a kiedy zegary wybiły północ, zaczęli się całować i składać sobie życzenia.

Gdy bal dobiegł końca, Brad i Beth poszli wreszcie odpocząć, by, jak się wyraził Brad, rozpocząć nowy rok od wielkiego „bang”.

- Dam grosik za twoje myśli - szepnął i pocałował jej nagie ramię.

Opadli na niezbyt okazałe łóżko Beth.

- Och, zbyt tanio wyceniłeś moje myśli, są o wiele droższe. Ale jeśli chcesz je naprawdę poznać... Myślałam o tym, że jesteś pierwszym mężczyzną, z którym kochałam się w tym łóżku. Spałam w nim jako dziecko, traktuję je niczym sanktuarium.

- Czuję się zaszczycony, naprawdę.

- Jesteś wyjątkowy, doktorze Donovan. Tylko dlatego moja matka i ciotki przymknęły oko na to, że nocujesz w moim pokoju.

- Wiedzą, że tu jestem? Trochę mi głupio.

- Ty chyba nie wiesz zbyt wiele o kobietach, prawda? Moja matka i ciotki bez przerwy wtykają nos w moje sprawy, próbują popychać mnie we właściwym kierunku. Podejrzewam, że ciocia Ivy stoi i pod drzwiami i podsłuchuje nas - zażartowała.

Brad odruchowo odwrócił głowę w stronę drzwi, a widząc kpiący uśmiech Beth, mruknął:

- Mam nadzieję, że nie zapomniała o swoim aparacie słuchowym.

- Dzisiejsze przyjęcie było bardzo udane, prawda? Dobrze, że Aubrey przyszedł. Ciocia Iris była szczęśliwa. Zupełnie nieźle się dogadują, nawet z nią kilka razy zatańczył. A o północy pocałował ją w policzek. Bardzo się wzruszyła.

- Miło mi to słyszeć. Oby udało im się nadrobić stracony czas. Na początek powinni się lepiej poznać.

- Ucieszyłam się, kiedy szeryf Murdock powiedział, że Aubrey nie miał nic wspólnego z tymi wszystkimi dziwnymi wypadkami. To prawdopodobnie kolejne wyczyny bliźniaków Mullin. Ich rodzice będą musieli pokryć część szkód.

- Hm, mógłbym te dzieciaki wiele nauczyć.

- A Lori i Bill chyba mają się ku sobie - opowiadała dalej. - Lori co prawda nie myśli na razie o poważnym związku, ale jeśli Billy trochę nad sobą popracuje, to kto wie...

- Bill powiedział mi dzisiaj, że zamierza otworzyć w Mediocrity restaurację. Będziesz miała konkurencję.

- Wiem o tym od Lori. Nie boimy się konkurencji, czasami rywalizacja bywa bardzo ożywcza i zmusza do doskonalenia warsztatu. Zresztą Bill mierzy znacznie wyżej niż ja i będzie zabiegał o nieco inną klientelę.

- A myślałaś trochę o nas? O naszym wspólnym życiu?

- Tak. Wiesz, właściwie mogłabym przeprowadzić się do Wirginii.

- Beth, chcę się z tobą ożenić. Wszystko dokładnie przemyślałem.

- To znaczy?

- Wystąpię o pozwolenie na prowadzenie praktyki w Pensylwanii. Mój gabinet w Charlottesville nadal będzie działał. Poszukam wspólnika. Tata i Opal zaopiekują się domem w Wirginii. To idealne rozwiązanie.

- Nie wiem, co powiedzieć. Chcesz dla mnie tak wiele poświęcić.

- Po prostu powiedz „tak”.

- Tak, tak, tak. Wyjdę za ciebie za męża, doktorze Donovan. Będę kochać ciebie i Stacy, obiecuję.

Brad otworzył szufladę nocnej szafki i wyjął pierścionek

- A zatem przyjmij ten pierścionek jako dowód mej miłości.

- Jest wspaniały, idealny. Tak jak ty. Nie zmieniłeś przypadkiem zdania w sprawie dzieci? Chyba nie mam instynktu macierzyńskiego.

- Nie, nie zmieniłem zdania. Mam ciebie i Stacy. To wystarczająco duża rodzina.

- Postaram się godnie odgrywać rolę żony pana doktora.

Zobaczysz, wszystkiego się nauczę.

- Nie musisz niczego się uczyć, jesteś chodzącym ideałem.

Chociaż... mogłabyś wstawić do tego pokoju trochę większe łóżko.

- Pocałuj mnie.

- Z wielką chęcią. Już myślałem, że ta pogawędka nigdy się nie skończy.

- Sam się prosisz o kłopoty, doktoru.

- Ale mam na nie wspaniałe lekarstwo.

RS